MAURYCY ZYCH



ROZDZIÓBIĄ NAS KRUKI, WRONY &

ILUSTROWAŁ STAN. JANOWSKI.

ROZDZIÓBIĄ NAS
KRUKI, WRONY

MAURYCY ZYCH

ROZDZIÓBIĄ NAS KRUKI, WRONY ◦ ◦

WYDANIE TRZECIE ◦ Z RYS.
STANISŁAWA JANOWSKIEGO

LWÓW
POLSKIE TOWARZYSTWO NAKŁADOWE
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI NARODOWEJ WE LWOWIE
1905

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

„ROZDZIÓBIĄ NAS KRUKI, WRONY"



Ani jeden żywy promień nie zdołał przebić powodzi chmur, gnanych przez wichry. Skąpa jasność poranka rozmnożyła się pokryjomu, uwidoczniając krajobraz płaski, rozległy i zupełnie pusty. Leciała ulewa deszczu, sypkiego jak ziarno. Wiatr krople jego w locie podrywał, niósł w kierunku ukośnym i ciskał o ziemię.

Ponura jesień zwarzyła już i wytruła w trawach i chwastach wszystko, co żyło. Obdarte z liści, zczerniałe rokiciny żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie, a szczególniej role świeżo uprawne i zasiane, rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schłostanych.

Właśnie o samym świcie Andrzej Borycki (bardziej znany pod przybranem nazwiskiem Szymona Winrycha), wyjechał z za pagórków rajgórskich i skierował się pod Nasielsk, na szerokie płaszczyzny. Porzuciwszy zarośla, trzymał się przez czas pewien śladu polnej dróżyny, gdy mu ta jednak zginęła w kałużach, ruszył wprost przed siebie, na poprzek zagonów.

Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł przy wozie. Buty mu się w rzadkiem błocie rozciapały tak misternie, że przyszwy szły swoim porządkiem, podeszwy swoim porządkiem, a bose stopy w zupełnem odosobnieniu. Bardzo przemókł i przeziąbł do szpiku kości. Któżby zdołał poznać w tym obdartusie byłego prezesa najweselszej pod księżycem konfraterni t. z. śrubstaków, dawnego Jędrka, króla i padyszacha syren warszawskich? Włosy mu porosły »w orle pióra«, paznogcie »w dzikie szpony«, chodził teraz w przepoconej sukmanie, żarł chciwie razowiec ze sperką i żłopał gorzałę z taką naiwnością, jakby to była woda sodowa z sokiem porzeczkowym.

Konie były głodne i zgonione tak dalece, że co pewien czas ustawały. Nic dziwnego: koła zarzynały się w błoto po szynkle, a na drabiniastym wozie pod trochą olszowego chróstu, siana i słomy leżało samych karabinków sztuk sześćdziesiąt i kilkanaście pałaszów, nie licząc broni drobniejszej. Były to wcale niezłe szkapy: rosłe, podkasane, prawie chude, ale ze świetnej rasy pociągowej. Mogły jak nic robić dziesięć mil na dobę, byleby im pozwolić dobrze wytchnąć dwa razy i uczciwie je popaść. Konie należały do pewnego szlachetki z okolic Mławy.

Stanowiły one znaczną część jego majątku, bo posiadał *suma sumarum* trzy szkapy, jednakże pożyczał ich Winrychowi na każde zapotrzebowanie. Ostatni przychodził zazwyczaj późno w nocy, stukał do okna domostwa, — wychodzili obydwaj z gospodarzem, wyprowadzali konie cichaczem, aby nie budzić parobka, wytaczali wóz i jazda! Letnią porą była to rzecz wcale łatwa, owa jazda. We dnie Winrych spał w gąszczach leśnych, a konie się pasły. Teraz niepodobna było ani spać, ani popasać. Winrych liczył na to, że go ktoś zluzuje, zwłaszcza, że najuciążliwsze posterunki i przeszkody szczęśliwie wyminął. Ale nie takie to już były czasy... Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w całem i zupełnem znaczeniu tego słowa, to on, Winrych. On jeden jeszcze chodził po broń, jeden nie upadał na duchu. Gdyby nie on i sama partya byłaby się od dawna rozleciała na cztery strony świata. Przez długi czas tych ludzi ściganych, głodnych, przeziębłych i wylęknionych wspierał swemi szyderczemi półsłowami i podniecał, jak chłostą. Teraz, gdy już wszystko runęło na łeb w bezdenną jamę trwogi, on się, jak to mówią, zawziął. W miarę tego, jak nietylko do głębi nastrojów i sumień, ale do podstaw t. z. polityki rewolucyjnej wciskać się poczęła coraz bezczelniej i natarczywiej filozoficzna zasada: *fratres, rapiamus, capiamus, fugiamusque,* — on czuł w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony...

Gdy tak zmoknięty, głodny i bardzo znużony brnął przy wozie, poczęło, jakby wraz z zimnem, wsiąkać w niego uczucie nędzy. W kieszeni nie miał już ani okruszyny chleba i ani kropli wódki we flaszce. Dziurawe

buty, absolutnie wzięte, (jeżeli nota bene był w nich milimeter rzemienia zasługujący na to, aby był absolutnie, czy tam inaczej brany), nie mogły być przyczyną owego uczucia nędzy. Nie sam głód również i nie samo zimno je wywoływało. Ale po śladach, zostawionych na błocie przez te dziurawe buty, szła za Winrychem ironia spostrzeżeń, owa bieda okrutna, co nie waha się wtargnąć do miejsca świętego świętych, co odważnie, jak plugawy lichwiarz, bierze w szachrajską swą rękę bezcenne klejnoty ludzkiego ducha i drwi z ich wartości, ubierając tę podłość w najlogiczniejsze syllogizmy.

— Wszystko przełajdaczone, — szepce Winrych, pogwizdując, — przegrane nietylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcyi i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką, na widok publiczny ukażą i ku czci, oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy...

Mocniej zacisnął pas wełniany, osłonił piersi sukmaną i ruszył dalej, zwiesiwszy głowę. Czasami ją podnosił i mówił przez zęby:

— Psy parszywe!

Deszcz ostry nacichł i siał tylko ów pył wodny, nieustanny, zawieszający tuż przed okiem jakby nieprzejrzystą zasłonę. Podmuchy wiatru szalały dokoła wozu,

gwizdały między sprychami, wydymały długie poły sukmany i targały koszulę na Winrychu.

Za zasłoną mgły dał się nagle postrzedz jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu. Mógł to być szereg wozów, stado bydła, albo — wojsko.



Winrych patrzał przez chwilę, przymrużywszy powieki. Doznawał takiego wrażenia, jakby ktoś zagiął palec pod żyłę krwionośną w jego piersiach i wydzierał ją na zewnątrz.

— Moskale... — wyszeptał.

Dał koniom po siarczystym bacie, ściągnął lejce, zawrócił prawie na miejscu i zaczął uciekać. Nie chciał, a raczej nie mógł odwrócić głowy, ażeby się obejrzeć po za siebie i zbadać, co się tam dzieje. Zdawało mu się, że umknie na bok niepostrzeżony. Nieszczęście chciało, że miejsce było gołe i puste w promieniu wiorst kilku.

Uciekający wóz spostrzeżono. Z szeregów postępu-

jącego wojska odłamała się grupa jeźdźców, wysunęła przed front i pomknęła, co koń skoczy. Winrych, patrząc już na to zjawisko, nie mógł zrozumieć, czy ci ludzie sadzą ku niemu, czy się oddalają w kierunku przeciwległym. Dopiero, zobaczywszy chorągiewki przy schylonych lancach i łby końskie, zoryentował się dobrze. Wtedy krew szarpiąca się w jego pulsach — jakby stężała i stanęła w biegu... Zatrzymał konie, omotał dokoła luśni parciane lejce i namyślał się, co wywlec z wozu do obrony: pałasz, czy sztucer nienabity?

Zanim wszakże cokolwiek przedsięwziąć zdołał, machinalnie zbliżył się do zmordowanych koni swoich i zaczął jednemu z nich zdejmować kantar ze łba i ściągać chomąto, jakby z zamiarem puszczenia na wolność tych towarzyszów niedoli. Czyniąc to, na chwilę przytulił się do szyi końskiej i westchnął.

Ośmiu ułanów rosyjskich na pięknych koniach dopadło wozu i w mgnieniu oka ze wszystkich stron go otoczyło. Jeden z nich, nie mówiąc ani słowa, począł zrzucać lancą suche gałęzie, oraz snopki kłoci i sondować głąb wozu.

Gdy grot dźwięknął, uderzywszy o lufy sztucerów,— żołnierz poklepał Winrycha po ramieniu i mrugnął na towarzyszów. Tamci sięgnęli po karabinki, założone na plecy. Winrych stał na miejscu, jak przedtem, obejmując ramieniem kark konia. Usta mu się skrzywiły wzgardliwie i w sercu zsiadło nie to męstwo, lecz pogarda bezbrzeżna, pogarda wszystkiego na tej ziemi.

— Ty do czyjej partyi to wiozłeś? — zapytał go ów rewidujący.

— Głupiś! — odrzekł Winrych, nie podnosząc głowy.

— Do czyjej partyi to wiozłeś? Słysz, polaczyszka!

— Głupiś!

— To nie chłop, — rzekł do podwładnych starszy z naszywką na ramieniu, — to powstaniec.

— Głupiś! — rzekł Winrych, patrząc w ziemię.

— Bierz psiego syna! — wrzasnął żołdak.

Dwu z nich odsadziło się natychmiast o kilkadziesiąt kroków i szybkim ruchem nastawiło lance poziomo. Skazany spojrzał na nich, gdy mieli ukłuć konie ostrogami, i zaraz, jak małe dziecko, zasłaniając głowę rękami, cichym, szczególnym głosem wymówił:

— Nie zabijajcie mnie...

Zerwali się w skok z miejsca zgodnym susem i wraz go przebili. Jeden ohydnie rozpłatał mu brzuch, a drugi złamał dekę piersiową. Trzeci ułan odjechał o kilkanaście kroków i gdy dwaj pierwsi, wyrwawszy lance i splunąwszy, usunęli się na bok, wziął na cel głowę powstańca. Pociągnął za cyngiel wtedy właśnie, gdy nieszczęsny zsunął się w bruzdę. Kula, przeszywszy czaszkę naręcznego konia, zabiła go na miejscu. Zwierzę stęknęło żałośnie i padło bez tchu na nogi konającego Andrzeja. Żołnierze zsiedli z koni i zrewidowali puste kieszenie sukmany. Rozgniewani o to, że Winrych wypił wszystką gorzałkę, rozbili butelkę na jego czaszce i podarli mu ostrogami policzki. Na głos sygnału, wzywającego ich do powrotu, wskoczyli na siodła i nabrawszy z wozu po kilka sztuk dobrych pałaszów belgijskich, odjechali za oddziałem, który zanurzył się już we mgłę i szarugę.

Dowódca szwadronu ścigał forsownie jakiś topniejący oddziałek powstańczy, to też nie miał czasu zawrócić po broń, zostawioną w polu na wozie Winrychowym.

Tymczasem deszcz rzęsisty puścił się znowu i na małą chwilę ocucił powstańca.

Powieki jego, zaciśnięte przez ból i popłoch śmiertelny, dźwignęły się i oczy po raz ostatni zobaczyły obłoki. Usta mu drgnęły i wymówiły do tych chmur szybko pędzących ostatnią myśl:

— ...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Wielka nadzieja nieśmiertelności ogarnęła umierającego niby przestrzeń bez końca. Z tą nadzieją w sercu umarł.

Głowa jego wygniotła w błocie dołek, do którego teraz spływać poczęły maleńkie strumyki i tworzyły coraz większą kałużę. Krople, trzepiąc w nią, wzbijały duże, wysoko wzdęte bańki, rozpryskujące się w nicość tak szybko i zupełnie, jak ludzkie święte złudzenia. Zabity koń stygł szybko na zimnie, a pozostały przy życiu szarpał się w zaprzęgu tak gwałtownie, jakby go kto smagał rzemiennym batem. Nagle przechylił się przez dyszel, przez martwego towarzysza i obwąchał głowę Winrycha. Skoro poczuł trupa, ślepie mu krwią nabiegły, grzywa na karku wzburzyła się dziko, szarpnął się w tył, potem cisnął naprzód całym korpusem, bił nogami w ziemię i wierzgał na wszystkie strony w takiej furyi, że tylna jego noga wpadła między sprychy przedniego koła wozu. Szarpnął ją z całej mocy i okropnie złamał powyżej pęciny. Ból wprawił go we wściekłość tem większą.

Rozjuszony, wściekłymi skokami rzucać się począł. Kość pękła na dwoje w taki sposób, że ostry i jak nóż śpiczasty jej kawałek przebił skórę i coraz bardziej, wskutek targania ją okrawał.

Dopiero nazajutrz rano pluchota bić przestała, choć wiatr wcale nie ucichł. Chmury leciały wysoko, poprze-



dzielane głębiami cieniów o kształtach dziwacznych. Pod wiatr i jakby na spotkanie obłoków ciągnęły już stadami, już pojedynczo kruki i wrony. Podmuchy wichrów odnosiły je i odpychały napowrót, nieraz zabawnie wyłamywały im skrzydła do góry, albo kamieniem ciskały ku ziemi. Nad padliną w polu leżącą ptactwo krążyć poczęło, zni-

żało lot usilnie i po długiem mocowaniu się z wichurą siadało na zagonach z daleka.

Koń żyjący wciąż stał ze złamaną nogą, zamkniętą między sprychami. Wyciągnąć jej dla wielkiego bolu już nie usiłował. Obnażona kość przy każdem poruszeniu zaczepiała się o drzewo i krajała skórę.

Ujrzawszy wrony, powolnymi kroki, z nogi na nogę postępujące ku wozowi, koń zarżał. Zdawał się wołać na ludzi osiadłych, na plemię ludzkie:

— O ludzie nikczemni, o rodzie występny, o plemię morderców!...

Krzyk ten rozlegał się nad pustą okolicą i ginął w szalonym głosie wiatru, tylko na chwilę wstrzymując postęp trupojadów. Wrony z wielką rozwagą, taktem, statkiem, cierpliwością i dyplomacyą zbliżały się, przekrzywiając głowy i uważnie badając stan rzeczy. Szczególnie jedna zdradzała największy zasób energii, żądzy odznaczenia się, czy nienawiści. Było to może zresztą po prostu namiętne odczuwanie interesów własnego dzióba i żołądka, czyli, jak przywykliśmy mówić, odwagi (co »było dawniej paradoksem, ale w nowszych czasach okazało się pewnikiem...«). Przymaszerowała aż do nozdrzy zabitego konia, z których sączył się jeszcze sopel krwi skrzepłej, okrytej błoną rudawą. Bystre i przenikliwe jej oczy dojrzały, co należy. Wtedy bez namysłu skoczyła na głowę zabitej szkapy, podniosła łeb do góry, rozkraczyła nogi, jak drwal, zabierający się do rąbania, nakierowała dziób prostopadle i jak żelaznym kilofem palnęła nim martwe oko trupa. Za przykładem śmiałej wrony ruszyły się jej towarzyszki. Ta preparowała żebro,

inna szczypała nogę, jeszcze inna rozrabiała ranę w czaszce. Najbardziej przecież ze wszystkich odznaczyła się ta — (należy jej się tytuł »tej miary«), co zapragnęła zajrzeć do wnętrza mózgu, do siedliska wolnej myśli i zupełnie je zeżreć. Ta wstąpiła majestatycznie na nogę Winrycha, pomaszerowała po nim, dotarła szczęśliwie aż do głowy i poczęła dobijać się zapamiętale do wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania.

Nim wszakże skosztowała warcholskiego mózgu i zdążyła osiągnąć t. z. tytuł do sławy, spłoszył ją nowy przybysz, co zbliżał się niespostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestyi. Nie był to wcale poetyczny szakal, lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej. Na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze, znalazły się trupy, — szedł tedy zabrać je stamtąd.

Bał się srodze Moskali, to też prawie pełzał na czworakach. Paliła go żądza poucinania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia jeszcze, pomimo lustracyi żołnierskiej, żelaztwa, postronków i odzieży na trupie. Stanąwszy wreszcie nad zwłokami Winrycha, począł kiwać głową i wzdychać — potem ukląkł na ziemi, zdjął kaszkiet, przeżegnał się i zmówił głośno pacierz.

Wyrzekłszy ostatnie *amen*, już z błyskiem pożądliwości w oczach, rzucił się przedewszystkiem do kieszeni i zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany, szmat zgrzebnych, zzuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onuczki, owinął tymi łachmanami część broni i szybko się oddalił. Po upływie godziny wrócił, aby zabrać resztę zdobyczy. Około południa przyprowadził parę koni i wyprzągł konia kalekę.

Obejrzawszy jak najstaranniej jego przetrąconą nogę, przyszedł do wniosku, że jest zepsutą zupełnie. Trzeba było szkapę na nic niezdatną udusić. Założył jej też, nie zwlekając, linkę na kark, przywiązał ją do wagi od orczyków, wlokącej się za parą jego koni, plunął w garść i popędził je, tnąc z całej mocy. Konie nagle szarpnęły, pętlica zdusiła gardziel skazańca i zwaliła go na ziemię. Za chwilę jednak moriturus zerwał się i pobiegł cwałem za ciągnącą go parą, stąpając ostrym szpicem nagiej piszczeli po błocie i po kamieniach.

Chłop spojrzał i aż zakrył sobie oczy z obrzydzenia. Zaraz odwiązał linkę i dał pokój egzekucyi. Zaprzągł konie do wozu i odjechał. Po południu zjawił się z kozikiem i zdjął skórę z konia, zastrzelonego przez ułanów. Została tylko do usunięcia skóra na koniu jeszcze żywym. Chłopowina medytował, roztrząsał sprawę i rozpatrywał ją z rozmaitych punktów. Mógłby zdechlaka zarznąć kozikiem i załatwić całą rzecz za jednym zamachem, ale nie chciało mu się »paprać« moralnie i fizycznie. Z drugiej strony — bał się nie na żarty, aby ktoś w nocy nie zakradł się cichaczem, nie zatłukł szkapy i skóry z niej nie ściągnął. Koniec końców, tknięty jakimś skrupułem, rzekł do leżącej:

— Ej — a dychaj se tu... I tak na jutro na rano kopyta wyciągniesz. Spracowałem się! Pan Jezus miłosierny pobłogosławił mnie grzesznemu... Może i nikt nie widział, może i nie przyjdzie po skórę. Dobre i to. Dychaj se tu, niebogo, dychaj...

Na uboczu, względnie do tego kierunku w jakim zdążał Winrych, były w równem polu doły kartoflane.

Ponieważ okazało się, że grunt przepuszczał wodę do wnętrza tych dworskich piwnic zimowych, więc przeniesiono je w inne miejsce, a jamy owe chwastem zarosły. Krzaki berberysu zagaiły ich dno i ściany. Belki ocembrowania pozapadały się się wraz z bryłami gliny, tworząc lochy i katakumby, pełne teraz wodnistego błota. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia, obdartego ze skóry. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły.

Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową i z modlitwą na ustach. Dziwnie rzewna radość zstępowała do jego duszy i ubierała mu cały widnokrąg, cały zakres umysłowego objęcia, całą ziemię barwami cudnie pięknemi. Głęboko, prawdziwie, z całej duszy wielbił Boga za to, że w bezgranicznem miłosierdziu swojem zesłał mu tyle żelaztwa i rzemienia...

Nagle w śmiertelnej ciszy jesiennego zmroku przeleciało nad ziemią rozpaczliwe końskie rżenie. Chłop się zatrzymał i nakrywszy oczy dłonią od blasku, patrzał pod zachód słońca.

Na tle zorzy liliowej widać było konia, wspartego na przednich nogach. Motał łbem, wykręcał go w stronę grobu Winrycha i rżał.

Trzepały się nad tym żywym trupem, wzlatywały, spadały i krążyły wron całe gromady. Zorza szybko gasła. Z za świata szła noc, rozpacz i śmierć.



MOGIŁA

LISTY I NOTATKI





Wieprzowody, 4 października.

Kochany Janie w Oleju! Upoważniam Cię n i n i e j s z e m do zawiadomienia najpiękniejszych i najbardziej tkliwych Warszawianek o tem, że mogą już szlochać po mnie, rujnować w przystępie rozpaczy kunsztowne koafiury na głowach i rozdzierać na łonach łabędzich staniki, tudzież gorsety, (którychby nawet za psie pieniądze handlarze podwórzowi nabywać nie chcieli), — skończyła się bowiem i pogrzebaną jest na długo moja

piękność cywilna. Kędziory à la Absalon ostrzygłem przy samej skórze, zwlokłem ze siebie dostojny garnitur w popielate prążki, wykwintny krawat, obywatelski kapelusz, bajeczne prawie pod względem śpiczastości kamaszki, wszystko jednem słowem, co cztery miesiące temu, z tyle forsownym ekspensem wymowy, zdołałem wyłudzić na kredyt od największego w tych czasach idealisty, pana Lejzora Klamki. Członki moje spuszczono w głębinę wańtucha, rozszczepionego w kształcie nogawic, pierś zapięto na haftki w mundur, wiotką kibić ściśnięto pasem skórzanym, delikatne stopy umieszczono w butach, przypominających (co do rozmiaru) lekkie armaty polowe, w butach rzeczywiście niezwykłych, które zresztą bez wielkiego natężenia mięśni dolnych kończyn mogę przenosić z miejsca na miejsce, a głowę przykryto okrągłą czapką bez daszka, lekką jak spódniczka baletnicy. Strój ten cokolwiek za mocno śmierdzi jeszcze dziegciem i kwasem karbolowym, a te zapachy osłabiają siłę i tęgość mojego ducha, pogrążając go w przemijające, prawda, niemniej wszakże bolesne złudzenie, że jestem aptekarzem. Karabin na ramię, tornister na plecy i — *wo front!*

List Twój odebrałem na dwa dni przed wyjazdem do Wieprzowodów (czy Wieprzowód, a właściwiej: — do miasta *Wiepriewy Wody).* Niepotrzebnie zawracasz mi głowę, namawiając do wstąpienia na medycynę w tej Warszawie. Mówiłem Ci już, — no milion, nie milion, — ale co najmniej dwadzieścia razy, że mam abominacyę do krajania przegniłych trupiąt, że muszę odsłużyć wojskowość, jeśli chcę wyjechać za granicę i otrzymać paszport, że wreszcie umiejętności cesarsko warszawskie już

mi się nosem i uszami wylewają. Chcę być mechanikiem, chemikiem, czy tam technikiem, a czegóż ja się nauczę w waszej budzie? Uczęszczania na maszkarady ze szpadą u boku? Wolę defilować ze »sztykiem« u boku, bo przynajmniej raz na zawsze pozbędę się obowiązku służenia w wojsku, coby mię w każdym razie czekało po ukończeniu studyów. Takie są moje pozycye. A Ty znowu swoje... Teraz już klamka zapadła.

Co prawda, kiedy nadeszła decyzya generała korpusu, zezwalająca na moje wstąpienie w szeregi obrońców wielkiej ojczyzny, serduszko mi się ścisnęło... Ale ponieważ jeden z pierwszych artykułów katechizmu żołnierskiego nakazuje zachowywać wszędzie i zawsze wygląd rzeźki i dziarski, zmuszam tedy ciągle do rzeźkości mojego ducha. Co będzie, to będzie! Zdaje mi się, że jedyną moją przyjemność w tym grodzie stanowić będzie odczytywanie Twoich listów. Masz tedy pisywać obszernie, przytomnie i rozsądnie. Masz wysyłać pocztą książki, jakich zażądam. Koszta zwrócę. Masz w swem prześmierdłem trupami sercu zachować niezajęte *logement*, jakie mi się z prawa należy, jako staremu koledze i druhowi.

Twój

Maurycy

junkier 43 Astrachańskiego pułku piechoty.

* * *

Nie otrzymałem odpowiedzi na list wysłany stąd przed kilku dniami, zaczynam jednak drugi w nadziei, że zdołasz oderwać się od skalpeli, aby napisać słów parę. Takie tedy jest położenie. Wieprzowody jak świadczą wszystkie podręczniki geografii, jest to miasto powiatowe w gubernii siedleckiej. Z natury rzeczy wynika, że takie miasto posiadać musi naczelnika powiatu, popa, księdza katolickiego, rabina, wielką ilość »knotów«, czyli referentów, kontrolorów, poborców, oraz zwyczajnych kancelistów w dziurawych butach i z wielkiemi gwiazdami na czapkach. I tak jest w istocie. Kwiatem, ozdobą, żywiołem miasta są oficerowie i, nie chwaląc się, żołnierze. Zastanów się uważnie, o rozpruwaczu umarłych, coby się stało na świecie, gdyby pewnego pięknego poranku zabrakło wogóle oficerów i żołnierzy. Nie będę cię straszył skutkami ogólnymi i powiem krótko, coby się stało w Wieprzowodach. Po prostu w mieście tak pięknem, tyle obiecującem, upadłaby i roztłukła się na drobne kawałki cywilizacya. Zostałoby kilkuset ogłupiałych drobnomieszczan, trzy razy tyle żydów, nie należących do żadnej klasy społecznej, garstka niewiast, której nazwiska wymieniać nie będę przez wzgląd na anielską niewinność Twej duszy, — i ruiny. A teraz, dzięki Bogu, miasto jest pełne, kwitnie, że tak powiem, przemysł i wre handel. Instytucye użyteczności publicznej, począwszy od pierwotnych i sielankowych nieco szynków, a kończąc na knajpach, w zupełności odpowiadających swemu celowi, rozweselają umysły mieszkańców; w magazynach strojów damskich

siły miejscowe produkują wielką ilość strojów damskich, nieznanych zupełnie co do kształtu i wielkości żadnemu z miast Europy; powstają hotele, koszary, cerkwie i tylko patrzeć, rychło ukażą się instytuty wesołości publicznej z zakresem szerokim, zupełnie odpowiadającym wymaganiom ludzi kultury.

Miasto leży w kotlinie, otoczonej nizkiemi wzgórzami nad melancholijną rzeczułką.

W rynku głównym stoi kolosalna cerkiew, przerobiona umiejętnie ze starego klasztoru chytrych Jezuitów. Jest to gmach z ciosowego kamienia w stylu czysto gotyckim. Posiadał niegdyś dwie wieże wysmukłe i strzeliste. Wieże te poutrącano u góry, a na ich szczytach postawiono niewymownie efektowne, złocone kopuły bizantyjskie. Na przeciwnym końcu rynku leży w gruzach drugi zabytek ultramontanizmu, były klasztor Dominikanów, a może nawet samych Benedyktynów.

Wieża tego trupa znudziła się już dawno wyczekiwaniem na reperacyę i runęła. Stos gruzu zasypał bramę w wysokim murze, okalającym to gniazdo mnisie, i część rynku. Część rumowiska podgarnięto, trochę koła wozów wgniotły w błoto, a reszta leży, oczekując na rozpadnięcie się całego gmachu. Sklepienie kościoła jeszcze stoi. Wysoko, w kątach śmiałych ostrołuków ścielą sobie gniazda jaskółki i kawki, a w przedsionkach i zakrystyach znajduje schronienie ta właśnie kategorya kobiet, nazywaniem której nie chcę obrażać Twych uczuć barankowo-niewinnych. Najpryncypalniejsza z ulic miasta podnosi się łagodnie w górę i prowadzi do kościoła parafialnego. Na rogu tej ulicy i rynku, tuż obok talerzyków kołyszących

się wiekuiście nad zakładem felczerskim pana Jojny Baszmakowa (słyszał kto coś podobnego? — Baszmakowa!) mieści się pierwszorzędna restauracya, utrzymywana od niepamiętnych czasów przez rodzone siostry Minnę i Angelę Kupferszmidt. Tam właśnie odżywiam mój strudzony mustrami organizm. Jestem w fatalnem położeniu, nigdy bowiem jednej z tych starych Niemek odróżnić od drugiej nie mogę. Nieraz ogarnia mnie nawet podejrzenie, że babiny w jakimś nieczystym celu po prostu jedna drugą udają. Czyż wypada mieć tak zupełnie podobne i tak małe głowy z tak misternymi rysami? Są to literalnie dwie uwiędłe cytryny, otoczone fiokami z siwiejących włosów, umieszczone na dwu suchych kadłubkach, odzianych w dziewicze, bronzowe sukienki ze skromnemi tiurniurami. Na powitanie wojownika, wkraczającego do „*Café*", podnosi się zazwyczaj żółta twarzyczka ukryta w cieniach szynkwasu, pochyla się z figlarną kokieteryą, a usteczka szepczą bezmyślnie dobrotliwym uśmiechem:

— *Guten Tag, gaspadin aficer!...*

Można tam dostać wódki, jakiej tylko organizm chrześcijański zapragnąć jest w stanie, — od najsłodszej, aż do najbardziej gorzkiej. Obiady są dobre, tłuste, z pieprzem, piwo z browaru w mieście Mordach i bardzo przednia biała kawa. Apartament restauracyjny składa się z trzech pokojów. W środkowym stoi bilard. Starożytny to instrument! Jojna Baszmakow, goląc mi w tych czasach brodę — (tylko bez wszelkich śmiechów, uwag i dowcipów na temat golenia mojej brody!) — powiadał o nim dowcipnie, że na takich *biłarach* grywała bogata młodzież szlachecka jeszcze jak była Polska, Bóg wie kiedy, może

aż za cesarza Mikołaja... Zrudziałe sukno, pokryte warstwą twardego tłuszczu, cerowały wielokrotnie pracowite ręce sióstr Kupferschmidt — i wiekowy bilard, mam nadzieję, jeszcze potrwa. Na ścianach, czyściutko wybielonych, wiszą niemniej wiekowe krajobrazy i sztychy, wyobrażające gwałtowne uściski kochanków z zakopconymi nosami, oraz nowoczesne oleodrukowe portrety panującego nam miłościwie monarchy, jego małżonki, synów i krewnych.

Za izbą bilardową znajduje się maleńki pokoik z podłogą monstrualnie spaczoną. Stoi tam okrągły, ciężki stolik na grubej nodze i leżą na nim dwie polskie gazety: „*Warszawska*“ i „*Kuryer*“. Przebiegłe siostry abonują te pisma i zwabiają tym sposobem na czarną kawę konserwatystów, czytujących jeszcze po polsku, ale gorzkiem doświadczeniem nauczone, nie wystawiają druku zachodnio-europejskiego na widok publiczny w salach głównych. Zdarza się bowiem, jak mi jedna z sióstr żałośnie, a pod sekretem wyznała, że panowie oficerowie, podchmieleni *usque ad finem*, skręcają z arkuszów zadrukowanych »psim« językiem piguły i wcale nie na żarty bombardują niewinne fryzury Minny i Angeli. Opisuję Ci te szczegóły, chcę bowiem, abyś nabrał wyobrażenia o trudnościach, na jakie narażony jest w tem mieście młodzian, pragnący wynurzyć swe uczucia przed przyjacielem. W koszarach pisać nie mogę... Sądzę, że tak, a nie inaczej, postąpiłby sobie w danych wypadkach mądry... „*Restaurant*“ sióstr Niemek jest miejscem nieustannego zmywania okien i podłóg. To też ja po każdym obiedzie udaję śmiertelną obawę wilgoci i wsuwam się dla wypicia czarnej kawy do ma-

leńkiego pokoiku za bilardem, przymykam drzwi, wydobywam własny inkaust, papier, pióro — i smaruję. Niechże Ci się, o przyjacielu, skazany na wieloletnie noszenie dziur w butach, piana z ust nie toczy, jeżeli w notach moich panować będzie niejaka feljetonowość porządku, albo jeżeli dostrzeżesz w nich pewnego rodzaju figlarność sensu. Przysłowie mówi, że kto pisze w pokoiku za bilardem i strzyże uszami, aby snać w chytrych czynach wytropionym nie został, ten musi co chwila własne swe myśli chwytać już to za uszy, już za ogony...

Mniejsza zresztą o przysłowia, które jednak, bądź co bądź, są mądrością narodów.

Przyjechałem tutaj sam, przedstawiłem się *rotnemu* i zostałem bez zwłoki wysłany przez niego do feldfebla. Feldfebel ma duże baki, całe piersi zawieszone orderami i... najsroższe oko. Wejrzał na mnie najsroższem okiem i kazał iść za sobą. Weszliśmy do koszar. Jest to budynek długi, parterowy, zbudowany z okrągłych belek z wydatnymi węgłami, w stylu wielkorosyjskim. Czy zauważyłeś, że koszary, więzienia, szpitale i karczmy mają jakąś jedną cechę wspólną? Przypuszczam, że w zewnętrznej fizyognomii tych budynków maluje się to, co jest ich treścią: zatarcie śladów indywidualności i zniwelowanie człowieka do skromnej roli numeru. Prawdopodobnie gromady ludzkie mieszkać będą kiedyś w takich koszarach i, mam nadzieję, będzie im dobrze, byleby tylko instytucye czasów przyszłych nie lubowały się, na wzór obecnych, w zapachach dziegciu i siarkowodoru, który baśń ludowa tak naiwnie nazywa — *russkim duchem*... Jako ochotnik, nie jestem skazany na mieszkanie pospołu z prostymi

żołnierzami. Umieszczono mię w osobnym pokoju wraz z trzema kolegami, podobnie jak ja »zapisującymi się dobrowolnie«. Pokój nasz znajduje się u wejścia do koszar. Na prawo z głównej sieni drzwi do pokoju panów ochotników, na lewo — do wielkich sal, skąd płyną echa pieśni i fale rosyjskiego ducha.

Nasz pokój, podobnie jak wszystkie sale w koszarach, ma posadzkę asfaltową i do połowy wysokości ścian pomalowany jest na kolor ogniście czerwony. Dlaczego ma ten kolor, a nie inny — tego ani ja, ani ty, ani żaden socyolog w wielkiej i bogatej ojczyźnie naszej nie wie. W czterech rogach pokoju stoją łóżka, a właściwie mary na żelaznych podstawkach. Na wązkim i krótkim sienniku rozciągnięto moje własne prześcieradło, poduszkę i kołdrę w czerwone i czarny pasy, którą — pamiętasz? — otulaliśmy się, czytając: „*Czto diełat?*“ Nad każdem łóżkiem wisi w ramkach portrecik... samego...

Kiedy umieszczono we właściwych miejscach moje efekta, feldfebel znowu kazał mi iść za sobą. Weszliśmy do magazynu, t. j. do dużej i bardzo ponurej sali, gdzie stoją ogromne paki i skrzynie, pooznaczane rozmaitemi cyframi tak wielkiemi i tak grubemi, jak słupy w przyzwoitym płocie. Cyfry te wyrażają rozmiary poszczególnych części umundurowania. W tej sali dopiero dziegieć z karbolem — moje uszanowanie! Skoro, rozebrawszy się, jąłem przymierzać szaty z rękawami i nogawicami, sala napełniać się zaczęła. Żołnierze wsuwali się cichaczem i zbliżali z wielką nieśmiałością. Słyszałem ich ciche szepty, uwagi, okrzyki podziwu albo ironii i rady, wygłaszane w formie nieokreślonej. Stopniowo ośmielili się

i uformowali zwarte koło. Teraz obserwowano cienkość płótna i niezwykły krój mojej koszuli, podziwiano gatunek tkaniny, użytej przez moją ciotkę na tę część bielizny, o której, zaklinam Cię na wszystko, co masz świętego, nie rozmawiaj nigdy z flirtującemi damami! — szczypano moje lędźwie, próbując ich gęstości, uderzano mnie z lekka pod kolana w celu zbadania mocy w kroku, wpijano paznogcie w mięśnie ramienia i t. d. Ażeby przerwać te eksperymenty, wydobyłem z żakietu *porte-tabac* i częstowałem nowych kolegów papierosami, poczynając od feldfebla. Ten z początku wzdragał się z uporem, a nawet z pewną surowością, kiedy jednak dał się wreszcie zmiękczyć moją grzeczną prośbą, wziął, prawdopodobnie przez nieuwagę cztery papierosy. Nieuwaga feldfebla udzieliła się jego podkomendnym. Każdy żołnierz najprzód zasadniczo, choć grzecznie, wymawiał się od wzięcia papierosa, a później brał przez nieuwagę cztery, pięć, sześć, albo i ośm sztuk. Jeden z nich nawet był tak dalece roztargniony, że wziął kilka ostatnich papierosów wraz z portetabakiem. Schował to wszystko do kieszeni, uśmiechnął się smętnie, wykonał rękami szereg ruchów, świadczących o niekłamanej, a bardzo dla mnie pochlebnej sympatyi i, poświstując od niechcenia wyszedł ze składu.

Zdaje mi się, że w poprzednim liście opiewałem już kształty mojego uniformu, a w szczególności tej jego części, której, niestety, płeć piękna nie przywdzieje nigdy na tym padole płaczu. — Odzież ta musi mieć, jak łatwo bystrem Twoim rozumem pojmiesz, rozmaite wymiary, stosownie do szerokości talii i długości nóg piechura. To też trzy istnieją kategorye tej sukni: bardzo duża, mniejsza i naj-

mniejsza. Jaka mi losem przypadła - nie pamiętam, to tylko mogę stwierdzić w każdej chwili, że sięga pod same pachy. Cała ta ogromna suknia zapina się na jeden jedyny żółty guzik, nie osłonięty wcale żadnym wymysłem zgniłego Zachodu. No — i co to za guzik! Przeżyłem już na tym padole doświadczeń lat ośmnaście, a jednak nie miałem sposobności obserwowania podobnego guzika, podobnego po prostu fenomenu. Na taki guzik możnaby zapinać wrota stodół, wierzeje kościołów, kute podwoje pałaców...

Skoro zostałem odziany zupełnie według formy, udałem się do kancelaryi naszej roty w celu załatwienia kilku drobnych formalności. Pokoik kancelaryjny rozdziela na dwie połowy nizka balustrada. Z tamtej strony rezyduje przy stoliku chudy i żółty *scriba*, żydek, jeżeli mnie oko nie myli, — z tej oczekują interesanci. Owego południa drzemał tam na ławce pod oknem sam jeden, zgarbiony niedbale, zgrzybiały starzec w mundurze podoficera. Lewy rękaw tego munduru cały prawie pokryty był naszywkami, na znak ogromnej ilości lat, wysłużonych w wojsku. Starzec brodę miał białą, szeroką, w kształcie łopaty, *à la car.* Począł mi się przyglądać czerwonemi ślepawemi oczyma i aż żółte zęby wyszczerzył z ciekawości. Oddałem mu należne uszanowanie i stanąłem przy drzwiach. Dostrzegłszy naszywki ochotnika na moich epoletach, oddał mi grzecznie pozdrowienie wojskowe i wciąż pokaszliwał, nie wiedząc, od czego zacząć rozmowę.

— Wy ochotnik? — zagadnął mnie wreszcie.

— Nie inaczej, panie podoficerze — odpowiedziałem, salutując.

— A do jakiej roty zaliczyli — a?

— Do czwartej, panie podoficerze.

— Czeremisowa rota — a?

— Nie inaczej...

— A do którego *wzwodu?*

— Do trzeciego, panie podoficerze.

— A do którego oddziału?

— Do pierwszego, panie podoficerze.

— Dziwi mnie bardzo, panie ochotniku — rzekł łaskawie stary wojak, widocznie zadowolony z mojej postawy i służbistości, — dziwi mnie to, że pana przyjęto. Jakim nawet sposobem stało się coś podobnego? Tu do nas rzadko kiedy biorą ochotników. Nie chcą... kłopot z tymi panami ochotnikami: — ni to żołnierz, ni to oficer, czort sam wie, co to jest takiego. Jakim sposobem trafiłeś do nas — a? Powiedz!...

— Plecy mam, panie podoficerze.

— Plecy? Patrzcie! I kogóż to? Z poruczników któryś... pojmuję...

— Wyżej, panie podoficerze.

— Ze sztabs-kapitanów? Patrzcie!

— Wyżej, panie podoficerze.

— Kapitan? — zapytał ciekawie, poprawiając się na ławce.

— Wyżej...

— Podpułkownik? któryż? Powiedz... który... — szeptał, mrugając powiekami, podobnemi do torb na sieczkę.

— Wyżej...

— Co? sam generał brygady?

— Wyżej...

Starzec wyjął ręce z kieszeni, nieznacznie uniósł się z siedzenia, pochylił się ku mnie z uszanowaniem i zapytał tajemniczym szeptem:

— Dywizyjny?...

Zbliżyłem usta do jego nadstawionego ucha i wyszeptałem:

— Wyżej, panie podoficerze.

— Generał korpusu! — wrzasnął, stając na równe nogi i salutując z wyprężeniem, niebezpiecznem nawet w jego wieku.

— Nie inaczej, panie podoficerze.

Jakim sposobem strzelił mi do głowy koncept o protekcyi generała korpusu — nie umiem powiedzieć.

Wszystko jedno zresztą... Wracałem z tej kancelaryi w anielskiem usposobieniu, jakbym zdał na piątki stosunkowo trudny egzamin. Wszystkie moje obawy, cały niesmak i niepokój — rozwiały się, niby dym. Zrozumiałem odrazu, o co chodzi — i napełnił mnie duch swobody. Zaprawdę — ten stary podoficer wyświadczył mi nieoszacowane dobrodziejstwo! Kiedy otwarłem drzwi, prowadzące do naszego pokoju, zobaczyłem w nim trzech junkrów, którzy podczas moich obłóczyn z musztry powrócili, a teraz rozwalali się na łożach. Wszyscy trzej spoglądali na mnie z ciekawością, z tą badawczą ciekawością, w której niema ani cienia sympatyi. Wyprostowałem się, wyciągnąłem ręce »wzdłuż szwów«, zbliżyłem się do pierwszego z brzegu i głośno wyraźnie, z deklamacyą wypowiedziałem:

— Mam honor przedstawić się! Jestem junkier 43 astrachańskiego pułku piechoty — Maurycy, syn Andrzeja Zych.

Tamten zerwał się z łóżka, stanął wyprostowany i wyrecytował w sposób również podniosły, co następuje:

— Mam honor przedstawić się! Jestem junkier 43 astrachańskiego pułku piechoty — Piotr, syn Anastazego Biezdonyszkin.

Podałem mu rękę i zbliżywszy się do następnego, takim samym głosem wypowiedziałem znowu:

— Mam honor przedstawić się! Jestem i t. d.

Ten zawiadomił mię, że nazywa się Bronisław, syn Wojciecha Pociosek. Trzeci wymienił nazwisko: Mikołaj Siłycz (nie wiem jak się ta nazwa tłómaczy na język środkowo-europejski) Zubcow.

Zawiązała się naprężona rozmowa. Nad samym wieczorem Biezdonyszkin i Zubcow wydalili się jakoś jednocześnie, pozostawiając mnie sam na sam z Bronisławem Pocioskiem. Zbliżyłem się do niego i zagadałem po polsku. Syn Wojciecha zbladł, stropił się niesłychanie i odwrócił od okna. Po niejakim czasie stanął do mnie frontem i rzekł po rosyjsku ostro i porywczo:

— Bardzo pana proszę, abyś mówił ze mną tylko po rosyjsku! Prawo nakazuje... Jesteśmy w wojsku, nie w salonie...

Kto wpoił w tego sympatycznego junkra przekonanie, że po polsku należy mówić tylko w salonie, tego ja naturalnie nie wiem.

No — ale dosyć tego bazgrania. Polecam Cię całem sercem opiece żandarmów i stójkowych.

Twój

Maurycy.

* * *

Wstaję o świcie, ubieram się, nakładam tornister, biorę karabin i pospołu z żołnierzykami cesarskimi wychodzę na plac musztry. Nad mieściną, nad rozkisłemi polami, nad całym światem i nad moją senną główką wisi mgła szara, zimna i mokra. Plac musztry zajmuje kawał niziny nad stojącym i zamulonym stawem. Na brzegu tego bagna stoi rząd ogromnych topól nadwiślańskich. Kiedy te wielkie drzewa sadzono, kiedy potężne dziś pnie były zaledwie małymi kołkami, łąka niniejsza, mówiąc stylem sentymentów, *alias* patryotycznym, — była wolną i niepodległą. Pierwsze pędy topolek, wybiegłszy na powietrze, stały naprzeciw słońca upojone światłością, może wówczas właśnie, gdy po tym placu defilowali w paradzie, ująwszy się pod ręce, wolni szlachcice, mniej wolni drobnomieszczanie, oraz żydowinowie i prawie zupełnie niewolni chłopkowie, śpiewając z entuzyazmem:

»Jakże ten król nasz bogaty,
Skarb jego serc miliony!«...

Dziś wydaje się, jak gdyby i topole na stare lata zruszczały... Zimne są, sztywne, poobłamywane i obdarte. Dokoła nich murawa została wykręcona obcasami, stratowana, zdeptana i wbita w ziemię. Gdzieniegdzie stoi źdźbło trawy, uczepione do gródki gleby, takie samotne, biedne, nieszczęsne i oczekujące cierpliwie na chwilę zagłady, jak buntowniczek schwytany, który w cichości i spokoju *kapieje* powolutku na wygnaniu. Za chwilę jakieś podeszwy, może nawet moje własne, zmiażdżą sierotę.

Na środku placu wznoszą się fantastyczne przyrządy do gimnastyki: drabiny, słupy, huśtawki, mostki, poręcze, baryery i t. p. Wszystko to, brutalnie wymalowane na kolor ciemno-orzechowy, dziwnie kwadruje z lichemi domostwami w stylu podlasko-słowiańskim na dalekim planie. Na krańcu płaszczyzny wali się w gruzy płot z jodłowych żerdzi. Za płotem rozciągają się stosy śmieci niewiadomego pochodzenia, z lekka ozdobione chorowitymi badylami. Nie chciej pałać ku mnie nienawiścią za to, że Cię zaznajamiam ze wszystkiem, co się znajduje na jakiemś nędznem, zamiejskiem pustkowiu. Gdybyś wiedział, mój synku, co to znaczy uczyć się musztry dzień w dzień od godziny siódmej do jedenastej i od drugiej do zmroku, — nie gniewałbyś się wcale... Gdy się z głupio wytrzeszczonemi oczyma przemaszeruje od końca łąki do końca, co najmniej pięćdziesiąt razy na dzień, wpada w oczy każdy sęk żerdzi, każda plama na murawie, wbija się w pamięć jak gwóźdź w deskę i niewymownie żywo tkwi tam raz na zawsze. Mam specyalnego nauczyciela, tak zwanego *diaďkę*. Jest to wykwalifikowany w rzemiośle rycerskiem starszy żołnierz, Wielkorus z pochodzenia. Nazywa się Archip Sinicyn. Dobry to jest z kościami człowieczyna; łagodnie zmusza mię do powtarzania po tysiąc razy tego samego »na ramię broń, do nogi broń, prezentuj broń!« — łagodnie, całemi setkami wypala moje papierosy, bez cienia chamskiej gwałtowności przełyka gorzałkę, którą mu funduję. Wiesz, że byłem zawsze »pasyonowany« do gimnastyki, że gorliwie i systematycznie wyrabiałem sobie mięśnie. Nie myślę też wcale uskarżać się na ćwiczenia cielesne; uznaję i podzielam nawet poglądy niektórych

socyologów z 43 pułku piechoty na doniosłość manewrów, znaczenie cywilizacyjne armii, wpływ ćwiczeń karabinem, rozwijających klatkę piersiową i t. d. — wydaje mi się tylko, że zbyteczną jest nieprzerwalność tej zabawy. Młodzian, który miał już przyjemność czytać w oryginale Horacego Flaka, nie może poświęcać wszystkiej zdobytej mądrości na wyłączne usługi jakiegoś »prezentuj broń!« Początkowo wlewałem w te półobroty, przysiadania, marsze, zwroty i bieganiny z wywieszonym językiem ogromny zapas inteligencyi, teraz uskuteczniam to już zupełnie machinalnym sposobem. Zdarzają się tedy takie kataklizmy, że *diad'ka* nadweręża sobie umysł wykładem, dajmy na to, systematu »broń do ataku!«, a ja wpatrując się uważnie w jego oczy, chytrze i podstępnie rozmyślam o tem, jakie u licha imię nadano na chrzcie świętym obywatelowi jednej i niepodzielnej respubliki francuskiej, niejakiemu Robespierre'owi. Zdarza się również, że słysząc i wykonywując komendę samego feldfebla, najbezczelniej przepowiadam sobie »Eugeniusza Onegina«, a nawet prześlicznego »Demona« nieboszczyka Lermontowa. Mniej nudnemi od *tête à tête* z *diad'ka* są dla mnie ćwiczenia, wykonywane wspólnie z rotą. Gdy ziemia dudni pod sztywnym, równym, żelaznym krokiem tłumu ludzkiego, czuję jakąś niewytłómaczoną rozkosz zmysłów. Zakomenderowano: — »marsz!« Idziemy w jednym szeregu od końca placu, jakby z zamiarem zdeptania starego płotu. I zdaje się, że ten niedołęga drży na swych zgniłych kołkach wszystkiemi żerdziami, że za chwilę albo padnie plackiem na ziemię, albo podwinie ogon pod siebie i w starczych podrygach tył poda. Kiedy prawie doty-

kamy go piersiami, ani o sekundę wcześniej, ani o sekundę później, — rozlega się komenda. Zmieniamy front. Wydaje się wówczas, że słychać radosne westchnienie starego płotu. Za chwilę powtarza się znowu ta sama groźba. Nacieramy całą masą: raz — dwa, raz — dwa!...

Zastanów się teraz głęboko, mój ty cudzie i wyskoku natury, nad tem, coby się stało w razie, jeśliby feldfebel w chwili, gdy ma wrzasnąć basem nad basami: »zwrot — marsz!« — zmuszony był kichnąć. Czy w rzeczy samej złamalibyśmy płot piersiami i po trupie jego w świat poszli?

Niewątpliwie — tak. A gdyby nie nakazano nam odwrotu? Wówczas wkroczylibyśmy na terytoryum niemieckie, minęli je, dotarli do morza Bałtyckiego — i w bród!... Tylko taki mocarz, jak ocean, może stawić opór rozkazom feldfebla. Przed kilkoma dniami debiutowałem w następującej operetce. Sam komendant roty obecnym był na mustrze. Coś mu się w naszych ćwiczeniach nie podobało... Wyprostował tedy całą rotę we dwa szeregi, zwrócone obliczem ku polom i zakomenderował: »na ramię broń — marsz!«

Zgadnij też, kochana secesyo przyrodzenia, jaką przestrzeń »trawersowaliśmy« za karę? Ni mniej, ni więcej, tylko pięć wiorst po zmarzniętej, pierwszej, ostrej grudzie, po polach zaoranych, po rowach, skibach, przykopach, wertepach i krzakach. Notabene trzymaliśmy karabiny bez przerwy w jednej pozycyi, to jest prawą dłonią za zamek przy biodrze. Czułem pod paznogciami wściekły ból, niby głębokie ukłócia igłą i oczekiwałem, że mi karabin lada chwila z ręki wypadnie. Opanowywała mnie

rosnąca z każdą chwilą bezsilna, a dziwnie bydlęca zajadłość. Już, już miałem skoczyć przed front, kazać szeregom stanąć, wziąć broń do ataku i zakomenderować: niech żyje socyalna... ta... jakże się u licha nazywa?...

Tymczasem Czeremisow, zwąchawszy widocznie pismo nosem, kazał przełożyć broń na ramię, a później zawrócić w kierunku miasta.

Czekam wciąż na Twój list. Jeżeli sądzisz, że mi wolno chodzić dzień w dzień na pocztę i niszczyć obuwie Jego Cesarskiej Mości — no to pogrążony jesteś w grubym błędzie!

Twój

Maurycy.

* * *

5 listopada.

Kochany w Oleju! Nareszcie otrzymałem Twoją epistołę. Czytam ją z rozkoszą od początku do końca i od końca do początku. Wszystko rozumiem! Tylko to jedno zdanie... Odczytując je, doświadczam takiego wrażenia, jakbym miał zupełne prawo do zwymyślania Cię od idealistów. Piszesz, że należałoby tu coś robić... Ładne słowo... W koszarach czyli »kazarmach« siedzą rzędem Krywicze, Weś, Mordwa, Czuwase, Letgoła, Tatarzy, Czukcze, Ukraińcy, Białorusini, Żmudzini. Siedzą i czekają... Przyjdź i zaczynaj! Kochany facecie! Wydaje mi się, że tu wszystka nasza wiedza nie zda się na owinięcie szczypty »machorki«. Cóżby naprzykład powie-

dzieć? Każdy z tych wojowników należy do jakiegoś etnograficznego szczepu, odrębnego od innych, sąsiadujących z nim w państwie, szepce modlitwę do swego własnego Boga (czasami nawet bożka) niepojętymi dźwiękami i w sposób nieraz absolutnie przekraczający granicę naszego poznania, za czemś tęskni. Kilka dni temu, pewien, zda się, Szwed z nad zatoki Botnickiej, opowiadał mi o swej okolicy. Mówił po rosyjsku i zapomocą tych kilku wyrazów, które umie, starał się wyrazić piękność swego kraju. Nidgy nie zapomnę wyrazu jego siwych oczu, gdy mówił:

— Tam jest krótka trawa, mała trawa, nie taka... Tam jest czysta woda — och — och! — zimna woda... Woda leci z góry... Woda jest biała i w wodzie muzyka gra, ciągle śpiewa, ciągle śpiewa... Tu niema takiej wody. Tu nie jest ładna ziemia...

Jest to ogromna horda barbarzyńców z rozmaitych stron przypędzona bezlitośnym biczem do podlaskich Wieprzowodów, w celu zatrwożenia wszelkiego rodzaju Polaków. Wyobrażam sobie czasami (w wolnych chwilach), że jestem inteligentnym rekrutem w zastępach Hamilkara, że wkrótce wola mojego pana popędzi mię wespół ze stadem na zdobycie wiosek kwitnących, gór niebotycznych, miast cudownych — i marzę o tem, jak to będziemy grabić, ile serce zapragnie. Czyż podobna zacząć dysputę z jakimś reprezentantem szlachetnych Czuwaszów, dajmy na to, o tajnem, powszechnem i bezpośredniem głosowaniu, albo choćby o wolności prasy? Czy warto zawiadamiać go o istnieniu dobrej i pięknej nadwartości — wobec tego, że ten obywatel przynajmniej cztery razy na

tydzień ma t. z. mordę zbitą pięściami feldfeblów, praporszczyków, podporuczników i sztabs-kapitanów, a jednak z niewysłowioną radością wyje »ura«! — ujrzawszy pułkownika, który również może mu lada chwila zepsuć paszczękę. Cóż mogę powiedzieć tym barbarzyńcom ja, tęskniący za wyśnioną przyszłością, za tą przyszłością, kiedy »otartą będzie z oczu ludzkich łza wszelka?«

Pewnego pięknego poranku zbudził mnie ze snu bardzo rano hałas w koszarach. Ubrałem się szybko, wcześniej niż moi koledzy, i wszedłem do sali żołnierskiej. Oczom moim przedstawił się pejzaż następujący. Żołnierze byli poubierani w szynele, mieli na sobie tornistry i stali w szeregu, trzymając karabiny przy nogach.

Przed frontem przechadzał się sam pułkownik. Jest to nizki, szczupły i elegancki Grek — Leonidas Iwanowicz Pizipios. Oczy ma prześliczne, czarne, ale złe, jak u pewnego gatunku kundysów owczarskich. Orli, chrząstkowy, przepysznego kroju nos jego zgina się często od jadowitego uśmiechu, głowa, ozdobiona czarnymi kędziorami, przechyla się na bok, kiedy łagodnie na pozór zaczyna indagować. Jest to nieposzlakowany służbista, majster między pułkownikami. Zdarza się, że staje niespodziewanie w koszarach i sam zaczyna słuchać katechizmu żołnierskiego. Wyobraź sobie jakiegoś Łotysza, albo Czuchnę, który ani jednego rosyjskiego wyrazu nietylko nie rozumie, ale nie może, literalnie nie może wykrztusić; jakiegoś żmudzkiego parobka, albo ciurę kirgiza, gdy im każą w y k u ć na pamięć cały kodeks patryotyczny i deklamować przed pułkownikiem. Żaden na świecie zbłąkany pies, żaden zając, ścigany przez ogary, nie czuje ta-

kiej trwogi, takiej ohydnej trwogi, jaka trzęsie wówczas tych, — żal się Boże, — ludzi. Pułkownik Pizipios słaby jest na nogi (choruje nieborak na niezładny przymiot) — podpiera się tedy grubą trzcinową laską o srebrnej gałce.

Tego poranku przechodził od żołnierza do żołnierza i zadawał na wyrywki pytania z katechizmu. Stanął przed wybladłym Kurlandczykiem i zapytał:

— Kogo nazywamy wrogiem wewnętrznym ojczyzny?

Widać było wyraźnie, jak żołnierz skupiał uwagę i pamięć. Nadaremnie!... Obce wyrazy splątały mu się w mózgu... Stał wybladły i patrzał na wodza wytrzeszczonemi oczyma. Pizipios powtórzył pytanie:

— Kogo nazywamy wrogiem wewnętrznym ojczyzny?

Żołnierz poruszył wargami i wyszeptał jakiś wyraz... Pułkownik powoli przesuwał w ręce laskę; srebrna jej gałka opadała nieznacznie ku dołowi. Powtórzył pytanie raz jeszcze głosem wyraźnie cieniującym sylaby i jakby żałosnym. Poczekał przez chwilkę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, podniósł laskę i trzepnął nią obrońcę szerokiej ojczyzny. Karabin wysunął się żołnierzowi z ręki. To doprowadziło pułkownika do pasyi; szturchnął młodzieńca w piersi tak mocno, że padł na wznak. Wtedy począł go kopać eleganckimi butami, przeważnie w brzuch, choć i twarzy nie oszczędzał. Widocznie należy do ludzi, których widok krwi rozjusza, bo odszedł już i znowu powrócił, aby zemdlonego raz jeszcze uderzyć obcasem. Nozdrza jego klasycznego nosa nerwowo drgały i różowe usta uśmiechały się melancholijnie. Zaprawdę, zaprawdę powiadam Ci, że trzeba było olbrzymiego tchó-

rzostwa, aby nie podejść wówczas do niego i nie przedstawić się wyraźnie:

— Mam honor przedstawić się. Jestem junkier 43 Astrachańskiego pułku piechoty, — taki i taki, — wewnętrzny wróg ojczyzny.

Nie poszedłem, rzecz prosta, bałem się natomiast pospołu z żołnierzami i feldfeblami, oczekując na moją kolej. Niestety — wódz odmówił mi nawet przyjemności współcierpienia z towarzyszami broni. Dostrzegłszy, że stoję na końcu szeregu, powitał mnie uprzejmie i przemówił łaskawych słów kilka. Tak się przedstawia egzamin. A lekcye i repetycye? Feldfebel, a częściej *diad'ka*, siada na stołeczku przed jakimś analfabetą i każe mu powtarzać za sobą długie zdania kodeksu. Każdy wyraz opuszczony, albo przekręcony, podpowiada uczniowi, bijąc go pięścią w zęby. Istnieje, możnaby powiedzieć, pewien rodzaj prawa zwyczajowego, dzięki któremu stary żołnierz odbija na zębach i obliczu rekruta szturchańce, które sam niegdyś otrzymał.

Po takiej lekcyi uczeń ze spuchniętymi policzkami idzie z nauczycielem na papierosa. Zaciągają się dymem szczypty grubego tytoniu, owiniętej w skrawek gazety i opowiadają sobie nawzajem pornograficzne klechdy ludowe *(zawietnyja skazki)* w najlepszej komitywie.

Po osiedleniu się w koszarach, postanowiłem przedewszystkiem, jako humanista, zbliżyć się i zaprzyjaźnić z żołnierzami. Życzliwość ich pozyskałem sposobem wcale łatwym. Ponieważ nie jem z kotła, skarb państwa wypłaca mi w zamian za strawę nie zjedzoną, rs. jeden, kop. czterdzieści miesięcznie. Sumę tę przeznaczyłem na mięso dla

kolegów, to znaczy, że kucharz nabywa za te pieniądze dziesięć funtów mięsa i *(si fabula vera)* wrzuca je do wspólnego kotła. Jeżeli owe dziesięć funtów pokrajesz na trzydzieści kawałków, a każdy kawałek na 160 części, to otrzymasz taki właśnie kąsek, jaki każdy ze współtowarzyszów w rocie, dzięki mnie, codzień przełyka. Takim kawałkiem »gawędziny« można zdobyć przyjaźń ludzką... *mirabile dictu!* Przestali na mnie patrzeć z ironią, nazywać mnie w oczy *panyczem*, a za oczy *polaczyszką*. Co prawda — zaimponowałem im oprócz tego wytrwałością w marszu, jazdą na welocypedzie (w narzeczu żołnierskiem *sahieda)* i oczarowałem sztukami gimnastycznemi. Czasami krztuszę się haniebnie, paląc po koleżeńsku machorkę, — no, ale cóż począć? Powrót do siarkowodoru, dziegciu, machorki, słowem do natury, daje mi przynajmniej niejakie zadowolenie moralne. To zadowolenie moralne jest zapewne jedną z samo-obłud, jedną z pajęczyn, za których pomocą bezwiednie staramy się zatkać i zagoić pewną wiekuistą ranę naszego serca...

Tak. Obaczmyż teraz, jak wygląda dr. Wiłkin. Młodszym lekarzem w naszym pułku jest dr. Wiłkin. Jest to młody jeszcze człowiek, ale już zdeklarowany suchotnik w agonii i zdeklarowany »gorzki«, jak mówią Rosyanie, pijanica w agonii. Warto go widzieć podczas rozmaitych rewizyi sanitarnych!...

Pewnego razu wieczorem ogarnęła mnie okrutna, ckliwa nuda. Koledzy-junkrowie grali w karty, w szyby wiatr stukał i trzepał deszcz jesienny. Strzeliło mi do głowy nagle postanowienie pożyczenia jakiejkolwiek książki, choćby medycznej, od Wiłkina.

Poszedłem do niego. Leżał już w łóżku, a raczej w prochach i śmieciach starego siennika, nakryty szynelem oficerskim. Dieńszczyk wpuścił mnie do izby niechętnie i stanął przy drzwiach w niepewności, jakby oczekiwał, że »dochtur« wyrzuci mnie za drzwi, bez żadnej zwłoki. Wiłkin podniósł głowę, patrzał na mnie



błędnym wzrokiem z pięć minut i wyciągnął wreszcie rękę, podobną do badyla łopianu. Wskazał mi ruchem głowy miejsce obok siebie na łóżku (żadnych stołków nie było) i skinął na służącego, aby się wynosił. Skoro zostaliśmy sami, zapytał obcesowo:

— No i cóż tam, marzycielu? Źle wszystko idzie?

Zdębiałem nieco i poruszyłem się niecierpliwie.

— Dlaczego nazywasz mnie marzycielem, doktorze? — zapytałem z energią.

— Bo to z oczu widać, — odpowiedział spokojnie.

— Nie rozumiem...

— Dajże pokój, młodzieńcze! Wiem ja dobrze, gdzie raki zimują... Rubel kopiejek czterdzieści na mięso dla sołdatów oddaje i pyta jeszcze: — a dlaczego nazywasz mnie, doktorze?... Lepiejbyś poszedł za te pieniądze do jungfrau, — no, potem przyszedłbyś do mnie, to swoją drogą... Ja mam dobre serce... Może żłopniesz szklaneczkę?

— Ha, jeśli doktor masz gorącą herbatę...

— Herbatę? Kiełbaśniki tylko herbatę pijają. Wódki, mówię, szklaneczkę żłopnij! To jest najlepsze lekarstwo na wszelkie »Arkadye« i te rozmaite współczucia... Na mięso żołnierzom rubel czterdzieści!... Ładny kawaler w pułku! Filantropię zaprowadza, a, kto jego wie, może i samą komunę wystrychnie. Gadaj! Może ty, Jean Jacques, każesz nam wszystkim jednakową ilość mięsa jadać i będziesz na wszystkich jednakową ilość kieliszków gorzałki wydzielał, a? co? A wiesz ty o tem, że kucharz za twoje pieniądze trzydzieści razy do jungfrau pójdzie, a później znowu do mnie!... Skaranie boskie!...

— Sam doktor pijesz za dużo — rzekłem, okrywając szynelem jego obnażone nogi.

— Co ty powiadasz, młody centuryonie? Za dużo piję? A czy ty wiesz, przeklęty Polaku, co powiedział sam Iwan Siergiejewicz Turgieniew? Powiedział: »kubeł czystej wódki ściskając w pięści, czoło wsparłszy o biegun północny, a pięty o Kaukaz, śpi snem nieprzespa-

nym ojczyzna, Rosya święta!« Znakomicie powiedział filantrop Iwan Siergiejewicz... Należy spać, aby żłopać, a żłopać, żeby spać. Na tej osi święta ojczyzna stoi. A zresztą, jakże można inaczej? Jeżeli nie pić wódki, tylko herbatę, — zaraz filantropia, Arkadya, a potem *en avant marsz!* z miejsca zamieszkania wprost na samotną wyspę Sachalin.

Ostry i gwałtowny kaszel przerwał jego śmiech nieprzyjemny. Zaledwie się uspokoił, znowu zaczął:

— Ot, kolega pański, junkier Biezdonyszkin, ten ma głowę na karku! Wczoraj zaprosił mnie i sztabskapitana Klubę na kieliszek do starych Germanek. Poszliśmy i porządnie pałki zalali. Kluba okno wywalił i na czworakach poszedł do domu, a ja wytrwałem i Biezdonyszkin wytrwał. Tęgi to łeb — ho — ho — ho! Wydał całe dwa ruble i doskonały poemat opowiedział. Jego ojciec, czcigodny nasz pop Anastazy Serafinowicz, ma dwie córki — widziałeś? Maliny! Niewinne maliny!

Podniósł się i usiadł na posłaniu, parskając złym śmiechem.

— Powiada junkier Biezdonyszkin takie słowo: oto ostatnie trzydzieści kopiejek... Ej, Niemka! dawaj karafkę gorzkiej! Pytam ja tego młodzieńca, jakim on sposobem taki gruby grosz zdobywa. Oto jak zdobywam, — woła on z zapałem. Przyjdzie do starszej siostry, Olgi Anastazyewny, sztabskapitan Izmaiłow, — ja jemu drzwi zastępuję i powiadam stanowczo: — dawaj, *wasze błahorodje,* rubel pięćdziesiąt na rękę, a nie, to — won, *wasze błahorodje!* A przyjdzie do młodszej siostry, Natalii Anastazyewny, podporucznik Płamienistow — ja go sobakę, za halc: dawaj całe dwa ruble!

— Plotki — rzekłem spluwając.

— Plotki? — zawołał Wiłkin i chwycił mnie za ramię. Otóż ja pana przekonam, pessymisto, że nie plotki! Zaraz, jak tylko miesięczną pensyę otrzymam, dwa ruble asygnacyjne w garść biorę i idę do Olgi Anastazyewny. Dwa ruble asygnacyjne dla cerbera, a tam — choćby całą pensyę! A ty siedź i gryź swego Marksa, przeklęty wrogu ojczyzny!

Zmieszałem się bezprzykładnie i wstałem, aby wyjść co prędzej. Było mi duszno i dziwnie głupio. Doktor na przemiany kaszlał, albo chichotał. Gdy wyciągnąłem do niego rękę na pożegnanie, ścisnął ją mocno i zmusił mnie, abym znowu usiadł.

— Przyszedł młodzieniaszek — zaczął znowu mówić ze śmiechem, — aby słowo powiedzieć, a drugie usłyszeć, aby przenajświętszą, pierwszą łzę młodości nad krzywdą i nędzą ludzką wypłakać na piersi braterskiej, a ja jego obuchem w ciemię! Nie mędrkuj, *juvenis,* nie współczuj! Nie wolno! Wyszedł z ósmej klasy, wprost od Wilhelma Tella, z broszurek się nassał miodu, przeróżnych *égalité, fraternité,* a tu Pizipios pokazał mu, co to za ryba *fraternité*... Gorzko i głupio — a? To nic nie szkodzi... Co dla Moskala zdrowo, — to dla Niemca śmierć! Prawda, pan nie jesteś Moskal, ani nawet nie Niemiec... Wszystko jedno zresztą, a nawet tem bardziej nie wolno marzyć ani współczuć. Rozumiesz? Na to jest prawo, abyś pan, młody Polaku, nie potrzebował zajmować się marzeniami. Ach, *juvenis, juvenis!* Myślisz, że pierwszy twój ból, pierwszy gniew i pierwszy domysł, to już jakieś kolosalne prawo... Poczekaj, parę lat przynajmniej racz się

wstrzymać... Więcej zobaczysz rzeczy ciekawych. Myśmy widzieli nie takie panoramy, a patrzajże, jak nam wódka smakuje i jak słodkimi są nasze sny. Kiedy ja byłem w twoim wieku, szedłem wraz z innymi głuptaskami do wielkiego parobka, który śpi ze szklanicą wódki w garści i wołałem w chórze z kosmatymi i niemytymi kolegami: wielki parobku, wstawaj, Ilja Muromiec, bierz maczugę! Po odśpiewaniu tej kantaty uczestniczyłem w oglądaniu placu pod powszechny parlament... I patrzajże, jak się to wszystko ładnie skończyło: na parobku nietylko niema śladu koszuli, ale mięso nawet objedzone aż do kości przez dobrze trawiące insekty, — a ten śpi, jak na bohatera przystało. Czasem tylko ze szklanki pociągnie, albo przez sen pod nosem zamruczy: »*Niczewo! Ça ne fait rien*«... O parlamencie nawet dziwnie jakoś jest pod wieczór wspominać, ale za to nasi ministrowie już obejrzeli na szczycie Righi-Culm w Szwajcaryi miejsce pod gmach (po przyłączeniu zbuntowanej Europy do naszej ojczyzny) powszechno-rosyjskiego, na całą Europę jednego i nierozdzielnego kryminału. I będzie dobrze — niema obawy! Biją w twojej obecności w czerep, przetrącają gnaty, — to nic nie szkodzi. Siedź i chwal Boga za to, żeś szlachcic, i za to, że tobie nikt piszczeli nie połamał. A gorzko ci na sercu, bierz puhar z gorzałką i pij za pomyślne prosperowanie powszechno-rosyjskiego i ógólno-europejskiego kryminału.

— Doktor się mylisz, przerwałem ten potok dowcipów, — sądząc, jakobym ja był jakimś altruistą, czytał jakichś autorów!... Nie wiem nawet, co to znaczy. Staram się być dobrym żołnierzem...

— Zupełnie, jak ja! zawołał patetycznie. — I ja ró wnież staram się być niezłym lekarzem pułkowym. Bo i pocóż miałbym się wychylać ze skromnej, a tak poczciwej sfery środków przeczyszczających? Kiedy mi się troiło po głowie, że uczciwy człowiek nie powinien być w świętej Rosyi tylko urzędnikiem, — kazano mi zwiedzić Czelabińsk. Zwiedziłem i, wyobraź sobie — nie poskutkowało. Wówczas kazano mi pofatygować się do Biericzowa. Uu — tam, bracie, we dwa tygodnie zmądrzałem! Czorta ze siebie zacząłem gorzałką wypędzać i oczyściłem się z grzechów tak zupełnie, że mi dla poratowania zdrowia pozwolono wyjechać na Kaukaz; wkrótce potem przyjęto mię do pułku, a kilka lat temu wyekspedyowano do kraju *Priwislanskiego*. Gdybym był zdrów, zacząłbym może »współdziałać«, ale teraz śmierć już przez parkan na moje podwórze zagląda.

Sięgnął po karafkę, nalał sobie pełny kubek i zaczął śpiewać półgłosem znaną piosenkę:

»Tam na Sybirze druhowie za nas konają«...

Wypił wódkę, postawił kieliszek na ziemi i zaczął wymawiać bez potrzeby tak zwane *mocne* wyrazy rosyjskie... Twarz mu zzieleniała jeszcze bardziej, a w oczach tlił się coraz jaśniej pijacki entuzyazm.

— Widzisz — bełkotał, — tak się przedstawiają moralne zwłoki *narodowolca*. Idź... nic nie rozumiesz... Śmierć idzie i ani jednego promyka nadziei... Podłość na podłości siedzi i łajdactwo pogania... Idź... czego patrzysz?

Wyszedłem bez pożegnania z sercem ściśniętem.

* * *

Mam przyjemność oświadczyć ci, że zrobiłem znakomity wynalazek. Jaki to jest wynalazek, wyjaśni następująca przypowieść.

Cztery dni temu, w godzinie obiadu, skierowałem me kroki do restauracyi sióstr Kupferschmidt i zasiadłem na miejscu w kącie dużej sali. Stołuje się tam dosyć znaczna liczba pisarzy i poborców z powiatu, poczty, biura akcyzy i t. d. Tego dnia dostrzegłem w znajomem gronie kogoś obcego. Był to młody kawaler ogromnego wzrostu, z wypomadowaną czupryną, bardzo uroczo rozdzieloną pośrodku w kształt dwu półkól globu, — z wyłupiastemi oczyma i wspaniałym apetytem. Miał na sobie korty w gatunku wyborowym, kamaszki najmodniejszego fasonu, mankiety i kołnierzyk białości nieposzlakowanej. Dobroduszna fizyognomia tego mocarza przypominała mi kogoś znajomego. Co dziwniejsza, że i ów wyperfumowany zjadacz rosołu obserwował mię bez przerwy. Kładł do paszczy wielkie kawały pieczeni, gryzł je, ruszając szczękami tak forsownie, jakby chciał pokazać sposób jedzenia, praktykowany przez społeczeństwa kajmanów, wytrzeszczał oczy jeszcze bardziej i ani na chwilę nie odrywał ich odemnie. Zjadłszy obiad, wstał z kanapy i zbliżył się wprost do mnie.

— Nie obrazi się pan — zaczął po rosyjsku, — przepraszam najpokorniej... Czy nie przeszkadzam panu?...

— Ani trochę...

— Pan mi ogromnie przypomina jednego kolegę ze szkół. Nazywał się, pamiętam Zych. Czy pan przypadkowo nim nie jesteś?...

Potwierdziłem jego bystry domysł... W owej chwili

rozdarły się mgły niepamięci i stanęła mi w oczach, jak żywa, nieboszczka klasa czwarta ze wszystkimi urwisami i łotrami, którzy stanowili jej chlubę i »tytuł do sławy«.

— »Cynamon«! — zawołałem po polsku... Rozrzewnił się poczciwina Rogowicz, »Cynamonem« zwan i porwał mnie w objęcia. Miętosił mnie długo i w sposób taki, jakby miał zamiar zbadać przy tej okazyi grubość i wytrzymałość moich kości. Czy ty pamiętasz, Janku, »Cynamona«? Wyrzucono go, nieszczęśnika, z IV klasy za niezrównaną chwiejność przekonań na punkcie *accusativus'a cum infinitivo* i za stałe wyprawianie burd staremu matematykowi. Sławny był z tego, że zjadał pełny tornister chleba i bułek, oraz z tego, że umiał ryczeć w niebogłosy z zamkniętemi ustami.

Obecnie ten żarłok ma największy w Siedlcach sklep galanteryjny i, jak mi zaraz oświadczył, żeni się z panną Maryą Kłucką, córką wice-naczelnika powiatu... Zanim zdołałem złożyć mu życzenia, już nalegał z forsą niesłychaną, aby iść z nim bez zwłoki do tej narzeczonej. Wzbraniałem się rozpaczliwie, demonstrowałem żółty guzik, buty i t. d., ale nic nie pomogło. Ujęty jego koleżeńskiemi uniesieniami, poszedłem.

Fiu-fiu! proszę pana, co za dom, co za ton, co za dywany... Panna, — żeby nie powiedzieć za mało — anioł. Oczy, jak dwie gwiazdki zaranne, włosy zaplecione w jeden warkocz, dosięgają kolan, usta... bogowie! szanowni bogowie olimpijscy... Te usta zmuszają cię do marzenia o rzeczach żałosnych i smutnych, budzą w piersiach bezcelowe westchnienia i jakąś tęsknotę. Spojrzenie ogromnych szafirowych oczu przeraża cię, przenika, dręczy

i uciska, jak namiętna, nigdy niesłyszana melodya... Każdy ruch głowy, obarczonej przepychem włosów, chwyta się twej pamięci i trwa w niej, niecąc tam ciągłą a dziwną rozkosz. Jest to jeden z tych tajemniczych kwiatów, o których poeta mówi, że zakwitają w miejscach samotnych, że są pięknością dnia, a noc kocha je, jak rosę. Jest to dziewica piękna, niby senne widziadło, czarująca każdym promyczkiem włosów, — no i głupia, jak stołowe nogi.

Kiedyśmy przyszli i ja zdążyłem zająć taką pozycyę, aby przedhistorycznymi epizodami mego uniformu oczu dam nie obrażać,wyszedł z gabinetu sam pan pomocnik naczelnika powiatu. Piękny to, tęgi i wykwintny mąż stanu. Wąs zawiesisty, ruchy co najmniej kapitańskie. Zwrócił się do mnie z niespodziewaną galanteryą i oświadczył, że i on był niegdyś farysem czyli junkrem jakiegoś tam pułku. Ponieważ w rozmowie ze mną posługiwał się językiem rosyjskim, a pani i panna rozmawiały z Rogowiczem po polsku, zauważyłem, że jestem z pochodzenia Polakiem. Pan Kłucki uśmiechnął się pobłażliwie i począł tłómaczyć myśli swe na język swojski. Myśli te były głębokie. Wszczął dyskurs o polityce (widocznie ze względu na oświadczenie, że jestem Polakiem) i bardzo gładko mówił o szowiniźmie, niewykorzenionym dotychczas; o tem, że *Polaki* niczego się dotąd nie nauczyli, a wiele zapomnieli; o tem, że młodzież, — w szczególności warszawska, — ulega łatwowiernie poduszczeniom nikczemników, mieszkających za granicami cesarstwa. Wszystkie te maksymy o charakterze policyjno-moralnym bardzo dowcipnie i delikatnie do mnie kierował. Nazwisko p. wice-naczelnika błąkało się w mej pamięci od chwili

przekroczenia progów jego domu, kojarząc się ze smutnemi wspomnieniami. Pewna broszurka, opowiadająca o dziejach »d o b r o w o l n e g o« powrotu unitów na łono cerkwi, wylicza czyny jakiegoś Kłuckiego... Może to kłamstwo, może ja się mylę...

Pasyami lubię takich ludzi! Wiesz, że nie jestem patryotnikiem, że umiem cenić fakty socyologicznie dokonane, że widzę zjawiska ekonomiczne trzeźwo i bystro, a jednak, patrząc na oblicze p. Kłuckiego i słuchając jego wywodów, podlegałem paroksyzmom ujemnej rozkoszy, tego dygotania całej duszy ze złego uśmiechu, co wyrabia w gruczołach podusznych nadmierny zapas śliny... Od chwili, kiedy elegancki gospodarz zadał mi kilka pytań uprzejmych, a świadczących zarazem o badawczości jego umysłu, prześcignąłem go w maksymach. Dowodziłem z logiką Siengalewiczów o konieczności odpowiedzenia radosnym okrzykiem na wołanie Kojałowiczów; zapytywałem wprost, specyalnie pana Kłuckiego o to, czy »słowiańskie potoki wpadną do rosyjskiego morza, czy też ono wyschnie?« Przyszły teść Rogowicza otaczał się kłębami dymu i chrząkał w sposób nic nie mówiący. Miałem nadzieję, że postara się o powstrzymanie mojego entuzyazmu, że przytoczy polityczne zdanie jakiegoś mniej zdecydowanego poety. Nic jednak nie przytoczył. Chrząkał tylko obyczajem głębokich dyplomatów, a koniec końców dał folgę słabości ludzkiej, wyrażając nadzieję, że herbata musi już być na stole.

W pokoju stołowym posadzono mnie obok uroczego dziewczęcia. Cóż to za dusza niewinna! Mówiła do mnie, tak pięknie wywracając białka swych ogromnych oczu —

rzecz zrozumiała — o balach tutejszych, uskarżała się na nudy i brak czegoś, co nazwała towarzystwem, nie określiwszy, niestety! co ten wyraz oznacza; z zachwycającą naiwnością dawała mi do zrozumienia, ilu już i jak głęboko rozkochała w sobie *ofików* naszego pułku. Nadeszła wreszcie chwila, którą w trwodze przeczuwałem: zaczęła mi zadawać tajemnicze i niezrozumiałe pytania, kazała zgadywać, o czem w danej chwili myśli... Domyśliłem się jednej tylko rzeczy, tej mianowicie, że Rogowiczowi kiszki się pewno przewracają z zazdrości, to też nie odgadłem ani jednej myśli jego narzeczonej. Nie mogłem wpaść na domysł, kogo oznaczają dwie gałeczki z chleba i wymieniałem takie osoby i kombinacye (między innemi połączyłem ją, pannę Maryę, i popa Anastazego Serafinowicza Biezdonyszkina), że piękna rusałka nabrała zapewne najfatalniejszego wyobrażenia o mojej inteligencyi.

Dopiero około godziny jedenastej Rogowicz zdołał zawiesić proces wlepiania oczu w narzeczoną, pożegnać aż do następnego dnia rodziców i pannę, a mnie uwolnić od ich towarzystwa. Szliśmy po pustych ulicach mieściny w milczeniu. Dął ostry wiatr i suche płatki śniegu cięły nas po twarzach. Milczenie, jakie zachowywaliśmy obydwaj, sprawiało mi prawie taką samą satysfakcyę, jak licytowanie się z panem Kłuckim o patryotyzm wielkorosyjski. Już na wizycie zauważyłem, że Rogowicz mienił się podczas przemowy pana domu, że słuchając moich deklamacyj, gładził wypomadowaną czuprynkę i wiercił się na krześle. Wiedziałem, że ten grubonogi i wielkogłowy pojmuje tam coś, mało wiele z przemierzłych

spraw polityczno-policyjnych i pojmuje nie tak, jak pan Kłucki.

— Bardzo miły dom — rzekłem, gdyśmy wchodzili na główny plac miejski. — Co to za śliczna panienka twoja narzeczona!...

Rogowicz pochylił się, wziął mnie pod rękę, przycisnął mocno do siebie i rzekł z namiętnością, odpowiednią do jego tuszy:

— Gdybyś ty wiedział wszystko, Zych, gdybyś ty wiedział...

— No? — zapytałem dosyć niedbale, w oczekiwaniu namiętnie-norymberskich wynurzeń.

— Wiesz, ja tak się w niej zakochałem, że jakby ona, czego Boże broń, umarła, albo wyszła za kogo innego, — to wierz mi, sumiennie ci mówię, jak pragnę Boga przy skonaniu, wziąłbym i w łeb se strzelił!

— Bagatela! zawołałem z mimowolną ironią.

— Zych! — mówię ci — ona jest dobra... A zresztą zobaczysz... U nóg jej będę leżał... zobaczysz...

— Jakimże sposobem ja podobne rzeczy mogę zobaczyć? Zastanów się, Cynamonie...

— Zobaczysz! — mówił, potrząsając mną, niby ręczną walizką. Przecież to jest najsłodsze serce. Ot, — jak mnie tu żywego widzisz, zaraz po ślubie zerwę ze starymi. Nogą u mnie nie postoją!

— A to dlaczego — spytałem z udanem zdziwieniem.

— Cóż ty mnie masz za takiego znowu... — rzekł na wpół z płaczem.

— Dajże pokój! Przyznasz, że cała sprawa nie może mnie interesować w takim stopniu, jak ciebie. Przytem

ja jestem człowiek zimny i unikający wszelkich wzruszeń, jak dyabeł święconej wody.

Bawołowaty młodzieniec sapał melancholijnie.

— Rzeczywiście — rzekł po chwili z urazą. — Cóż ciebie może obchodzić? Ale ja, widzisz, myślałem, że jako stary kolega...

— Gdybym mógł być ci pod jakimkolwiek względem pomocnym...

— Właśnie, że mógłbyś, Zych! — zawołał Rogowicz.

— Ja? Bój się Boga...

— Słuchaj, chodź do mnie na noc. Mieszkam tu naprzeciwko w zajeździe u Piernata. Są w numerze dwa łóżka...

— Ależ ja muszę nocować w koszarach. Nie wyobrażam sobie nawet, jakim sposobem dostanę się teraz.

— Powiesz rotnemu, żeś był u Kłuckich. Mój kochany, chodź, no, mój kochany...

Ujął mnie w pół i pociągnął w kierunku zajazdu. Wkrótce stanęliśmy przed bramą. Zakopcona latarnia z czerwoną od frontu szybką rzucała drżące półblaski na ostatnie litery szyldu, wrota wiszące na jednym haku i wybrzeże kałuży, która od niepamiętnych czasów zajmuje tę część rynku, oraz całą długość i szerokość sieni Piernatowego zajazdu. Rogowicz szedł przodem, z energią rozbijając rzadkie błoto ogromnymi kaloszami. Z podwórza zawrócił na zewnętrzne schodki, tak wązkie i filigranowe, że zdawały się być zaledwie etnograficznym modelem schodów podlaskich — i wprowadził mnie na galeryjkę pierwszego piętra. Namacawszy i otwarłszy drzwi, wciągnął mnie do izby, cuchnącej szczurami i cza-

dem zawcześnie przymkniętego pieca. Kiedy on zapalał świecę i wydobywał z walizki rozmaite specyały z butelką dobrego wina na czele, — ja rozsiadłem się na wyścielanej kanapie, która pod względem rozmiarów mogłaby rywalizować z napoleońskimi balkonami, i skupiałem wszystkie władze ducha w tym celu, aby przynajmniej nie zachrapać. Otrzeźwiła mię wymowna sentencya Cynamona:

— W twoje, Zych! Za zdrowie Maniusi...

— Za zdrowie Maniusi! — powtórzyłem ochoczo, niezbyt będąc pewnym, o jakiej to Maniusi mowa.

— Zobaczysz, że ja ją przekonam! — twierdził burżua.

— Pewnie, że powinieneś ją przekonać...

— Stary Kłucki — to mądry człowiek, ani słowa, na swojem miejscu, ma poważanie u władzy, trzęsie całym powiatem i licho wie, dokąd zajść jeszcze może, ale czasami gada takie rzeczy, że aż uszy bolą. Ja tam nie mogę się z nim spierać, bo nie potrafię. Na nieszczęście i z nią nie mogę zacząć rozmowy o tych rzeczach. Ot — ty, bracie, dopiero potrafiłbyś ją przekonać...

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Skończyłeś gimnazyum, — mówił dalej, unosząc się, — i wiesz doskonale, kiedy stary łże. Jakeśmy byli na herbacie, przyszedł mi do głowy projekt, żebyś ty jej dawał lekcye...

— Jakie lekcye?

— No... czy ja wiem? Polskiego, czy tam historyi. Mógłbyś na nią wpływać...

— Ale, mój kochany, z takich wpływań mogłyby być fatalne skutki. Masz mnie za starego Kamedułę, czy jak? Zbałamucę ci narzeczoną...

— Nie! ty jesteś porządny, stary kolega, nie zrobiłbyś tego. Z oczu ci patrzy...

— Skąd ty tam możesz wiedzieć, co mnie z oczu patrzy! Przecież ta panna Marya musiała chodzić na jakieś pensye.

— Chodziła do gimnazyum w Siedlcach i była w Maryjskim instytucie, ale bardzo krótko. Gdybyś ty ją był widział wtedy, jak była w czwartej klasie!...

— Nicby mi z tego nie przyszło, choćbym był i widział ją wtedy, jak była w czwartej klasie. Co do lekcyi, — to gotów jestem przystać, jeżeli mi określisz wyraźnie, co mam wykładać. Historyi polskiej ja wcale nie umiem. Z literatury — umiem na pamięć kilka romantycznych wierszy i znam kilka bezbarwnych powieści. To znaczy, że pod tym względem jestem właśnie tak samo mądry, jak panna Marya. Zresztą, jeżeli mam ci wyznać prawdę, są to zamiary bezpłodne. Tak zwana historya polska jest zbiorem faktów, spisem rozmaitych hetmanów, królów, księży, poetów, podanym w sosie miłości ojczyzny. Chcesz, aby panna Marya wyuczyła się tego wszystkiego na pamięć? Po co? Na co?

— E drwisz ze mnie i nie mówisz tego, co myślisz!... — zawołał Cynamon.

— Żal mi cię, mój stary, jeżeli to wszystko rzeczywiście bierzesz do serca. Mnie się wydaje, że panny Maryi nie można przerobić za pomocą biografii królów i poetów...

— Zych! ty prawdę mówisz, czy żartujesz?

Napadła mię ta drapieżność uczuć, dzięki której gadam nieraz więcej, niżby należało, więcej niżbym sobie

tego na trzeźwo życzył. Począłem Rogowiczowi wykładać wszystko od *a* do *z*. Dowodziłem z rzeczywistą logiką, która nawiedza nas czasami w rozmowie, jak natchnienie, ze szczególną intuicyą wybierałem takie argumenty, które musiały trafiać do jego przekonania, zdawałem sobie bardzo wyraźnie sprawę ze skali jego umysłu i gadałem lapidarnie.

Obydwaj pociągaliśmy co chwila z butelki i wyznać muszę, wino znakomicie mi pomagało w tej improwizacyi. Rogowicz słuchał podparłszy brodę pięściami. Po jego obliczu, o kolorze indyczego jaja, przelatywały najrozmaitsze uczucia. Gdy dźwignął się z krzesła i począł defilować po izbie, naśladowałem go mimowoli i *furt* dowodziłem. Ogarek świecy dopalał się w mosiężnym lichtarzu dużym, ruchliwym płomieniem. Spostrzegłszy cienie naszych postaci, włóczące się po ścianach, opanowałem się nareszcie.

W jakim właściwie celu ekspensuję tak szczodrze skarby mojego umysłu; po co usiłuję sprowadzić z drogi mieszczańskiej cnoty młode pacholę, przy którem ja, *hoplites* przecie, wyglądam, jak, Panie odpuść, cielę przy krowie; czyliż można nawrócić burżua? Z tych trzech filozoficznych zapytań wyrosło dziwnym zbiegiem wyobrażeń czwarte, skierowane wprost do Rogowicza:

— Ty często bywasz w Warszawie?

— Dwa, czasami trzy razy na miesiąc.

— Czy nie chciałbyś przywozić mi książek i listów od kolegów?

— Owszem, ale... uważasz... Nie będzie tam czego?..

— W książkach nie będzie nic. W listach ... no ...

może. Przystał po chwili namysłu. Dałem mu twój adres. Następny list wyślę już przez niego. Przysyłaj mi »kursa« Michała z rachunkiem różniczkowym i wykreślną. A co, — czy nie znakomity zrobiłem wynalazek, odkrywając Rogowicza?...

Upadam do nóg!

Maurycy.

* * *

9 stycznia.

Kilka dni temu, jeden z powiatowych woźnych wręczył mi bilecik, pisany ręką pana Kłuckiego, a zapraszający mnie na... bal. Po przeczytaniu zaproszenia pogrążyłem się w głęboką zadumę. Grube buty, uniform żołnierski i bal! W tej niepewności i rozbiciu ducha zwróciłem się z prośbą o radę do komendanta roty. Czeremisow najłaskawiej nietylko zezwolił na moją bytność w domu pp. Kłuckich podczas balu, ale nawet zapewnił, że strój żołnierza rosyjskiego nikogo z gości razić nie może. Wspomniał coś jeszcze o demokratycznym duchu czasu, ale tego już dokładnie nie zrozumiałem.

W mieście po prostu wrzało. Urzędnicy słabiej zaopatrzeni w garderobę, wysłali do Siedlec specyalnego delegata z misyą wypożyczenia u krawców tamtejszych niezbędnej ilości fraków, mężowie i ojcowie pozaciągali długi, handel i przemysł wzmógł się bardzo znacznie. I oto nadszedł pamiętny dzień czwartego stycznia. Wy-

czyściłem cholewy szuwaksem, zrujnowałem się na kupienie flaszki wody kolońskiej i, ku śmiertelnej zawiści kolegów, wyruszyłem na bal z wielką ostentacyą. Miłe złego początki... Ach, tak! Woźni z powiatu, ucharakteryzowani za lokajów, zdarli ze mnie szynel z takiem uszanowaniem, jakbym był przynajmniej podporucznikiem, a sam uprzejmy gospodarz wprowadził mnie do salonu. Boże, Boże, co świateł, jaki tłum gości! Muzyka naszego pułku, umieszczona w kuchni, wygrywała namiętną polkę z takim hałasem, waleniem w bęben i wybijaniem taktu obcasami, jakby się rzecz działa na ukraińskim stepie. Olśnił mnie blask i migotanie mnóstwa kolorów. Mieniły się różnobarwne damskie suknie, pióra starych matron, kwiaty, obnażone ramiona, dziwne fryzury, starożytne mantyle, wachlarze, nieskończona ilość paradnych szlif oficerskich oraz ponurych fraków (przeważnie pochodzenia siedleckiego). Wyszedłem bez zwłoki z sali tańców i udałem się do sąsiedniego pokoju, gdzie już rozstawiono stoliki i zasiadano do winta. Przy pierwszym siedział naczelnik powiatu, pułkownik Pizipios, ksiądz kanonik Pudełko i jakiś bogaty szlachcic. Zbliżyłem się do pułkownika, wyprostowany jak słup wiorstowy i wyrecytowałem:

— Czy »*Wasze Wysokorodje*« pozwoli być na balu?...

Pizipios poskrobał się kartami po nosie, obejrzał mnie przez ramię od stóp do głów, uśmiechnął się z delikatną pogardą i rzekł:

— Proszę — możesz pan pozostać i bawić się.

Wówczas dopiero z odwagą wkroczyłem do sali balowej. Powynoszono z niej wszystkie meble, z wy-

jątkiem jednej kanapy i kilkunastu krzeseł, wskutek czego wydawała się o wiele obszerniejszą. Wyświeżony Rogowicz tańczył właśnie polkę z narzeczoną. Obnażone ramiona panny Maryi błyskały na czarnem tle fraka w taki sposób, że od zgrzytania można było dostać bólu zębów. W tłumie oficerów, po kawalersku kręcących wąsy przy drzwiach wchodowych, słychać było szept uwielbienia i mocne wyrazy zachwytu. Nawet bezmyślnie uśmiechnięte stare damy, skazane na drzemanie w czeluściach kanapy, pochylały ku sobie głowy ze szczególnemi ozdobami na podobieństwo gzemsów, pilastrów i kapitelów, i mamrotały zbiorowe »*approbatur*«. Pięknych panien było mnóstwo, wykwintnych kawalerów niewielu, ale za to zwyczajnych kawalerów — w bród. Obywateli wiejskich można było rozpoznać po głębokich ukłonach, składanych »panu naczelnikowi« i po łamanej ruszczyźnie, a żony ich i córki po tem, że przyjechawszy na bal do takiego p. Kłuckiego, z fochami i grymasami odpędzały oficerów, zapraszających je do tańca.

Rogowicz dostrzegł mnie i począł przedstawiać rozmaitym pięknościom. Piękności spoglądały z obrzydzeniem na mój bezbarwny uniform i co rychlej odwracały piękne głowy. W kącie sali, na brzeżku krzesła siedziała młoda panienka w stroju niewykwintnym. Obok niej kręcił się sztabs-kapitan Izmaiłów. Jest to mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni i prawie przystojny... Mówię — prawie przystojny, — bo szpeci go cokolwiek po pierwsze cera nosa, żywo przypominająca barwę czerwonego atramentu, a powtóre brak lewego nozdrza. Brak ów, jak utrzymują biegli w medycynie młodsi oficerowie naszego pułku,

jest rezultatem mocnego kataru. Sztabs-kapitan rozstawia nogi, nieraz bez żadnego powodu, pluje przed siebie i posługuje się przysłowiami i anegdotami, chyba tylko w sekrecie używanemi przez ludzi t. zw. lepszego towarzystwa. Może dlatego, że panna Jadwiga Zapaskiewiczówna była ostatnią z rzędu dziewic, którym wymieniłem moje nazwisko, może dlatego, że nie spojrzała na mnie z tak dystyngowaną wyniosłością, może nawet dlatego, że sprawiała wrażenie zapomnianej — poprosiłem ją do walca. Para nasza nie wywoływała prawdopodobnie żadnego efektu. Tancerka moja miała zwyczajne, skórkowe trzewiki na grubych podeszwach, włosy gładko zaczesane z czoła do góry, suknię najwidoczniej na gwałt przerobioną z przedwiecznej jakiejś szaty balowej i całkiem liche rękawiczki.

Kiedy obiegłszy salę, usiedliśmy w owym kącie, sztabs-kapitana nie było. Panna Jadwiga zwróciła się do mnie nieśmiało, z tą nieśmiałością biednych panien, co nie tyle ma w sobie skromności, ile obawy i przygnębienia — i zapytała:

— Pan jest Polakiem — nieprawdaż?

— Tak pani.

— Ten bal jest prawie zupełnie rosyjski.

— Nie zdaje mi się. Są i Polacy.

— Ale Mos... ale Rosyan daleko więcej.

— Dlaczegóż pani zmieniła nazwę? — zapytałem ze śmiechem. Spojrzała wzrokiem wystraszonym, szeroko otwierając powieki, i zbladła. Wówczas zauważyłem, że ma oczy bardzo piękne. Są to duże, czarne oczy, w których siedzi ciągle, nawet w chwilach wesela, jakaś myśl posępna.

— Pan się nie gniewa? rzekła cicho.

— Ja? Mógłbym się tylko spierać o nazwę. Należałoby tych — nazywać inaczej...

— A jak? szepnęła, zniżając głowę.

Odpowiedź zamarła mi na wargach, gdyż Izmaiłow zbliżał się do nas, mierząc mnie złemi oczyma. Panna Jadwiga dostrzegła go, nie podnosząc głowy. Nagle usłyszałem jej szept:

— Proszę pana na wszystko — niech pan nie odchodzi stąd i zamówi mnie do kontredansa!

W imię Ojca i Syna... pomyślałem sobie w głębi duszy. Cóż znowu za tragedya? W dźwięku słów, w szybkości wypowiedzenia tej szczególnej prośby tyle było goryczy i jakiejś niedoli, że nie odszedłem choć wysoki oficer, zajmując miejsce po lewicy panny Jadwigi, patrzał na mnie w sposób, nic dobrego nie wróżący.

— Otóż — zaczął mówić po rosyjsku — stanęło na tem, że pani przetańczy ze mną wszystkie kontredanse i przynajmniej *dwie mazurki*.

— Nie, panie Izmaiłów... wcale na tem nie stanęło... — odpowiedziała po polsku, wygładzając pogięte brzegi starego i zniszczonego wachlarza.

— Co pani taka uparta? A ja panią przekonam, że pani przetańczy. Ot — przekonam!

— Być może — odpowiedziała spokojnie.

— Ach, panno Jadwigo, panno Jadwigo...

— Dawno pan wstąpił do wojska? — zwróciła się do mnie. Usta jej uśmiechały się pogodnie, podczas gdy z oczu przezierało cierpienie prawie fizyczne.

Wobec oficera nie wolno jest przemówić nie po

rosyjsku, to też zwlekałem niezręcznie z odpowiedzią, jakbym zapytania nie dosłyszał. Na szczęście orkiestra zagrała zaproszenie do kontredansa. Izmaiłow zerwał się z dziwnym wdziękiem, szczęknął obcasami, wygiął się przed panną, jak łabędź, i rzekł:

— Oto kontredans! Służę...

— Przepraszam, ale już tańczę z panem Maurycym Zychem.

— A! z *panom Mawricom*... — szepnął oficer przez zęby, wcale na mnie nie patrząc, i odszedł w kierunku grupy statystów.

Zaczęliśmy tańczyć.

— Nie pogniewa się pani na mnie, jeżeli zapytam otwarcie, czy pan Izmaiłow nie jest narzeczonym pani?— rzekłem ze spokojem, gdyśmy się zatrzymali podczas pierwszej figury.

— Na szczęście jeszcze nie jest.

— Jeszcze i na szczęście?

— Tak.

— Nie rozumiem, jak można łączyć te dwa pojęcia.

— Bo pan może nie wie jeszcze, co to jest »mus«.

— Nie mogę tego wiedzieć, bo takiego »musu« na ziemi niema.

— Jestem najstarszą w rodzinie, — mówiła, jakby w celu obalenia mojego paradoksu — jest nas w domu ośmioro, ojciec ma bardzo małą pensyę.

— To i cóż z tego?

Spojrzała na mnie z łagodnością i jakąś żałosną ironią.

— Cóż z tego? — powtórzyła, jak echo.

— Sądziłbym, że lepiej jest nie wychodzić za mąż wcale, niż iść tak, z »musu«.

— I za policyanta, panie... — powiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszałem.

— Izmaiłow nie jest policyantem...

— Ale nim będzie.

Nadeszła nasza kolej i zaczęliśmy tańczyć. Podczas następnych figur zamieniliśmy jeszcze kilka zdań. Pamiętam, że powiedziałem:

— Czy panią zmuszają rodzice?

— Nie mówmy o tem, proszę pana.

— Niech pani lepiej opuści dom i pracuje na swoje utrzymanie!... — powiedziałem jeszcze jako filozof i zwolennik równouprawnienia. Szczerze mówiąc, głupio postąpiłem. Twarz jej zbladła, jakby ją owionął mróz śmiertelny.

— Niech pan tego nie mówi! — rzekła z niechęcią.

Po ukończeniu kontredansa, zaproszono nas na kolacyę. Panna Zapaskiewiczówna zginęła mi z oczu w tłumie osób, przechodzących do pokoju stołowego. Znalazłszy się tam, spostrzegłem, że już siedzi przy niej nieodstępny, atramento-nosy Izmaiłow. Z szarego końca stołu, ustawionego w podkowę, Rogowicz przywoływał mnie znakami, przypominającymi ruchy człowieka, który za pomocą liny przyciąga do brzegu statek parowy. Przecisnałem się ku niemu i poprosiłem, aby mnie zaznajomił z niejakim panem Zapaskiewiczem, jeżeli taki na balu istnieje, i aby mię posadził przy kolacyi obok niego.

— A ja właśnie miałem zamiar posadzić cię przy Maniusi — mówił tłuścioch. — Bylibyście się rozmówili co do lekcyi.

Wybiłem mu z głowy ten zamiar uwagą, że ja, jako prosty żołnierz, nie mam prawa siedzieć w blizkości oficerów, a panny Maryi niepodobna wyobrazić sobie bez otaczającej ją plejady szlif i mundurów. W rzeczy samej panna Kłucka flirtowała zawzięcie z adjutantem Siewriugą, posługując się mową rosyjską o najczystszym akcencie. Rogowicz sposępniał i poprowadził mię do miejsca, gdzie siedział referent powiatowy, radca tytularny, Zapaskiewicz.

Jest to mężczyzna lat pięćdziesięciu, wysoki, łysy, z głową osadzoną głęboko w ramionach i plecami wygiętemi pałąkowato. Resztki czupryny i rzadkie faworyty okalają twarz wywiędłą, suchą, o kolorze szarego papieru. Zimne i tak bezbarwne, że w nich prawie źrenic nie widać, oczy pana radcy patrzą z uwagą na wszystko, co się dzieje i wszystkiemu cokolwiekby się działo, przypisywać się zdają taką wagę i doniosłość, jakby w jadalni państwa Kłuckich dokonywała się jakaś akcya, stanowiąca o całości i bezpieczeństwie cesarstwa. Zauważyłem, że ten dygnitarz ma na sobie tużurek bardzo dawnego fasonu, koszulę z gorsem, ozdobionym falbankami i zakładeczkami (epoka wojny francusko-pruskiej) i krawat zupełnie spłowiały.

— Pan Maurycy Zych — rzekł Rogowicz, trącając dosyć poufale pana radcę w ramię, — pragnie przedstawić się panu.

— A, pan Maurycy Zych... — chłodno zamruczał stary urzędnik, — bardzo mi... tego... Tańczył pan z moją córką... Bardzo dziękuję.

Podał mi długą i kościstą rękę, stworzoną do brania łapówek i posadził obok siebie.

— Tańczył pan z moją córką, widziałem... — powtórzył z drewnianym, bezmyślnym i niemiłym uśmiechem.

— Panna Jadwiga znakomicie tańczy...

— Aha... tak... znakomicie tańczy. Bardzo dziękuję.

Panna Zapaskiewiczówna siedziała dosyć daleko. Od czasu do czasu podnosiła głowę i spoglądała z pod oka na mnie i na ojca. W blasku lamp i świec, padającym wprost na nią, wydawała mi się jeszcze bardziej dziwną. Dolna część jej twarzy nacechowana była stałym, nieznikającym uśmiechem, a oczy i czoło ginęły w zamyśleniu i smutku, niby w ciemności. Zadałem sobie pytanie — po co właściwie ja się nią zajmuję? Czy jej mogę przynieść jakąkolwiek pomoc a choćby pociechę? Ani pierwszej, ani drugiej. Chyba oświadczyć się... Nie zachwycała mnie wcale. Wiedziałem dobrze, że w tydzień po ślubie obrzydłaby mi jej figura, jej ręce czerwone i szorstkie, a nawet ta posępność oblicza. Zresztą — z czegóżbyśmy żyli? Chyba z lekcyi patryotyzmu, które mam udzielać pannie Kłuckiej. A może, — rozmyślałem, — któż to wie?... Może ona będzie szczęśliwą z tym Izmaiłowem? To, co dziś przedstawia sobie jako niedolę, już po upływie roku uważać będzie zapewne jako los nietylko znośny, ale po prostu wyśmienity. Utyje, Izmaiłowa umieści pod pantoflem, wypięknieje i będzie cięła romanse z melancholijnymi porucznikami i namiętnymi majorami. Teraz jest niewątpliwie nieszczęśliwa, ach, jeszcze jak! Dość spojrzeć... Powiedziałem do niej kilka słów nierozważnych, które jej może przychodziły na myśl i przez to jeszcze wyraźniej uwydatniłem cały ten los, godny litości. Teraz może zestawia mnie z Izmaiłowem i może błąka się w jej sercu głucha.

bojaźliwa i   to trudno — skazana na zagładę nadzieja. Tak, tak... Będę nikczemnikiem, jeżeli ta dziewczyna zakocha się we mnie... Będę jednym z tych błaznów, którzy zaludniają świat współczesny, jednym z tych kłamców, co frazes szumny noszą na ustach, a nicość w sercu. Po co było gadać, po co, po co? Zaledwie ją zobaczyłem, jużem ją skrzywdził. Tak pokrzepiony na duchu, podjąłem dalszy ciąg rozmowy z panem Zapaskiewiczem:

— Córce szanownego pana coś bardzo asystuje nasz Apollo pułkowy, sztabs kapitan Izmaiłow...

Referent uśmiechnął się ni w pięć ni w dziewięć i zatkał sobie usta dużym kęsem cielęciny.

— Jaki on ma piękny nos! ciągnąłem. — Bo to i kształt i kolor. Z tego Izmaiłowa to rzeczywiście szczególny człowiek. Niech pan tylko zwróci uwagę, panie radco, na to, że syn sztabs-kapitana nie będzie potrzebował ani się osobiście rozpijać, ani długo czekać na znajomość z apteką. W czwartym miesiącu życia będzie już miał *delirium tremens,* a wprost z kołyski pojedzie do św. Łazarza.

— Złośliwy z pana młody człowiek, — mówił Zapaskiewicz, przepłukawszy gardło kieliszkiem nędznego wina. — A wie pan, że to jest porządny człowiek, z dobrej familii, sam ze siebie zamożny, no — i pensyę ma wcale niezłą. Właśnie teraz ma zamiar rzucić służbę i starać się o posadę naczelnika straży ziemskiej...

— Chwalmy za to Pana Zastępów, tylko że to nic nie ma wspólnego z jego nosem. Pierwszego rozbioru nosa już nie cofnie, choćby został nawet szefem żandarmów.

— Coś pan sztabs-kapitana nie lubisz, panie Zych. A może pana zaliczono do jego roty — co?

— Niestety, nie.

— Ejże...

— Daję panu słowo, że nie, czego bardzo żałuję. W czasie wojny naprzykład, gdybyśmy, czego Boże broń, utracili sztandar, możnaby Izmaiłowa zatknąć na kiju i nieść przed wojskiem, jako symbol i wyobrażenie państwa. Wiedziałbym przynajmniej, w jakim kierunku uderzać na nieprzyjaciela.

Mówiliśmy po cichu, a mimo to radca rzucał dokoła przerażone spojrzenia, następnie zaś skierował do mnie surową uwagę:

— Zbyt wiele sobie pan pozwalasz! Młody człowiek nie powinien nawet myśleć o takich rzeczach...

— A czyliż tylko starzy ludzie mają przywilej na obrzydzenie do nosa kapitańskiego.

— Nikt się tu Izmaiłowem nie brzydzi! — rzekł cierpko radca i począł w gniewie ruszać szczękami, jakby coś przeżuwał.

Znajomy ostry kaszel zwrócił moją uwagę w chwili, gdy miałem najmocniejsze postanowienie wylewania złości na łysinę chudego referenta. Spojrzałem po gwarnym tłumie i dojrzałem kaszlącego Wiłkina. Siedział bokiem zwrócony do najbliższego sąsiada, nie patrzał na najbliższą sąsiadkę... Pił wino małymi haustami i pokaszliwał. Gładko na skroniach przyczesane włosy uwydatniały okropną chudość jego twarzy...

— Zna pan doktora Wiłkina? — zapytałem referenta.

— Ktoby jego nie znał! Niezły lekarz, jeśli trafić na chwilę dobrą. U mnie dzieci stado, — chorują. Jak panu przyjdzie na tego człowieka kanikuła — ani weź; gotów dziecko otruć! Jak trzeźwy, — tylko proszek, czy tam pigułkę zapisze — i jak ręką odjął.

— Pan radca ma dużą rodzinę?

— Ośmioro dzieci, panie.

— Dorosłych?

— Gdzie? — Owies. Ot — najstarsza ma dziewiętnaście lat, a najmłodsza pięć.

— Córki, czy synowie?

— Pięć córek, dziękuję bardzo, i trzech synów.

— Synowie chodzą do szkół?

Stary jegomość posępnie wstrząsnął głową. Widać było na jego twarzy i w oczach powrót troski, która odeszła na małą chwilę.

— Proszę pana, — ja mam pensyi, jedno z drugiem, pięćset rubli. Jakże pan możesz dać edukacyę dziecku, kiedy za samą stancyę od jednego chłopca, gdyby go oddać do gimnazyum, trzeba płacić dwieście rubli! A wpis, a mundur, a książki? No — a tu trzeba oddać trzech, bo jeden w drugiego chłopaki z objęciem. Co to zresztą warto... Nauka, nauka... Dziękuję bardzo! Córkę oddawałem na pensyę... Najstarsze dziecko... coś tego...

Machnął ręką z wielką pogardą i prawił gniewnie!

— Uczyli ją tam przeróżnych fanaberyi... Umie tańczyć... jakoś się nazywa... czukaczę... Coś w tym guście. Ogromnie jej się to przydało, bo właśnie teraz musi myć podłogi i szorować rondle. To samo z chłopakami. Cztery albo pięć lat greckiego po to, ażeby przez całe życie w po-

wiecie albo gminie przepisywał papiery, w których nie ma ani jednej litery łacińskiej...

— Hm... A czy to najstarsza córka nie mogłaby pracować na siebie?

Stary zezem spojrzał na mnie i nierychło zapytał:

— Gdzie? jak?

— Małoż to kobiet zarabia na życie!

— A wiem. Tylko ja dziecka na taki proceder nie dam. Uczciwa nie zarobi na życie...

— Ja mówię tylko o uczciwych.

— No, to uczciwa nie zarobi tyle, aby się wyżywiła i pomagała rodzinie.

— A... pomagała rodzinie...

— Tak, panie, dziękuję bardzo! Zadanie kobiety: — iść za mąż...

— Pewno. A jakże pan myśli chłopców pokierować?

— Do wojska *huncwotów* pooddaję.

Nie zdołałem zapytać się, na jakich warunkach *huncwoty* pana radcy oddane zostaną do wojska, skoro wstąpienie do szkoły junkrów wymaga ukończenia sześciu klas gimnazyalnych, — bo nagle w sali wszczął się gwałtowny łoskot odsuwanych krzesełek. Wszyscy obecni powstali z miejsc i szli z kieliszkami w ręku do solenizanta, pana Kłuckiego, aby go uścisnąć i wypić za jego zdrowie.

Przez chwilę miałem zamiar poprosić o głos i wydeklamować piękną mowę z wyliczeniem zasług pana Kłuckiego w dziedzinie wsiekania i wrażania unitom prawosławia, ale powściągnąłem ekstazę, ograniczając wybuch do trącenia kieliszkiem o kieliszek działacza, oraz do ser-

decznego życzenia: szanowny solenizancie! bodaj wino w twoim kieliszku przemieniło się na krew i łzy...

I na tem koniec dowcipu i nic więcej? — zapytasz może, kochany troglodyto. Nic a nic więcej, bo taki jest porządek rzeczy. Ale jeszcze chwileczkę cierpliwości. Wino było cienkie, siedleckie, a jednak zrobiło swoje. W sali wzmagał się gwar, ten nieokreślony, wesoły gwar, który cechuje pierwszy stopień podniecenia ogólnego. Tu i owdzie słychać było głośniejszą rozmowę, albo srebrzysty, może o jedną oktawę za wysoki, śmiech kobiecy. Wznoszono przeróżne toasty. Nareszcie powstał siwowłosy majestatyczny pan Koptiuchiewicz, nauczyciel gimnazyum w Białej, wykładający tam język i literaturę rosyjską, a nadto niemniej rosyjską logikę, który specyalnie przyjechał na imieniny naszego gospodarza, — i drżącym od wzruszenia głosem wzniósł toast następujący:

— Piję za pomyślne, za szybkie, za skuteczne i zupełne zrusyfikowanie tego kraju! Niech ten toast obudzi w sercach naszych na nowo moc ducha: niechaj zapali bohaterską wytrwałość do pracy, do ciężkiego znoju, do twardej walki w imię świętej miłości naszej najdroższej ojczyzny i jasnej naszej prawdy! Niechaj zagrzeje tych, którzy wątpią i umocni upadających w szlachetnym trudzie.

Powiedziawszy takie słowo, patryarcha podniósł do ust kieliszek, przechylił go i wypił wino w sposób zupełnie zwyczajny, jakby spełnił tak niezwykły toast najzwyczajniejszą, niedestylowaną gorzałką. Wszyscy zgromadzeni poszli za jego przykładem. Co za miny, co za miny! Jedni uśmiechali się dobrodusznie i łagodnie, inni przypominali osoby, którym ktoś niezręcznie wycina na-

gniotki, inni marszczyli czoła, jak ludzie kombinujący, jeszcze inni, a do tych i ja należałem zapewne, wytrzeszczyli oczy na podobieństwo ludzi uchwyconych mocno za kark i wyrzucanych za drzwi bez żadnego z ich strony przewinienia. Napisałem, że powstali i opróżnili puhary — wszyscy. Popełniłem maleńkie kłamstwo, bo nie powstał i nie pił jeden tyko człowiek: — Wiłkin. No — ale ten mizerny człeczyna w daleko znaczniejszej mierze należy już do gatunku towaru, jaki ty rozpruwasz skalpelem, niż do gatunku ludzi, których wino jeszcze do czegokolwiek »zapalać, budzić i zagrzewać« może. Tak się to przedstawiało na pierwszy rzut oka, a patrzajże, co ten kościotrupek zmajstrował! Oto, — kiedy już wszyscy usiedli i kiedy nastała chwila mdłej, głupiej i niezmiernie długiej ciszy, — ujął swój pełny kieliszek dwoma palcami za podstawkę, podniósł go na wysokość oczu, i, wpatrując się w płyn pod światło, powiedział z powagą, wyraźnie i dobitnie jedno tylko słowo:

— «*Skatina!*» *).

Dlaczego on wygłosił taki wyraz, czy to była metafora, czy podmiot jakiejś oderwanej sentencyi, do którego orzeczenie miał zamiar dodać nieco później, czy może miał co na myśli i jeżeli miał, to co mianowicie, tego naturalnie wiedzieć nie mogę. Po upływie kilku sekund, nie ruszając się z miejsca, Wiłkin z rozmachem cisnął kieliszek daleko, w kąt pokoju. Cienkie szkło ze srebrnym brzękiem rozbiło się o gzems pieca i rozprysło na tysiące drobniutkich okruszyn. Oczy wszystkich obe-

*) Bydlak.

cnych machinalnie zwróciły się w kierunku pieca. Po gładkich i białych taflach kaflowych spływała wązka smużka wina, podobna do łzy.

Zapanowała cisza tak wielka, że mogłem słyszeć wyraźnie gwałtowne bicie serca pana Zapaskiewicza. Wilkin tymczasem sięgnął po skibkę tortu i począł wygryzać lukrowane migdały, nie zdradzając żadnego innego uczucia, oprócz oznak brutalnego apetytu, specyalnie do migdałów, apetytu zadziwiającego doprawdy w człowieku tak niesłychanie podobnym do zielonego trupa. Byłem pewny, że całe zgromadzenie lada chwila porwie się na nogi, wydrze doktorowi nadgryziony kawałek tortu, zmusi do wyplucia migdałów i zbije go na kwaśne jabłko. Tymczasem nikt nie zdradzał zamiaru nietylko opuszczenia swego miejsca, ale nawet podnoszenia powiek. Nareszcie powstał pan Kłucki. Brr! Skostniałem. Pan Kłucki był blady, jak chusta. Oparł z mocą na stole obiedwie pięście, podniósł brwi tak wysoko, że dosięgały prawie tego miejsca, gdzie zaczyna się czuprynka u ludzi o nizkiem czole, długo, jak można było wnosić, sądząc z pozoru, zbierał, ważył i szeregował myśli, a koniec końców wyrzekł głosem złamanym:

— Może szanowni państwo zechcą przejść do sali i rozpocząć tańce...

Przełożywszy zdanie powyższe na język polski, podał ramię pani naczelnikowej. Znowu powstał rumor odsuwanych krzeseł, zmieszany gwar podziękowań, dały się znowu słyszeć śmiechy damskie i wesołe, pieprzne, może nawet cokolwiek zanadto przeimbierowane męskie dowcipy. Barwny tłum przesunął się do sali tańców, orkiestra za-

grała siarczystego mazura, i wtedy dopiero zaczął się bal rzeczywisty. Zaledwie ukazałem się w sali, przybiegł do mnie Rogowicz z prośbą, abym przetańczył mazura z jego narzeczoną, on bowiem ma do załatwienia rozmaite sprawy wice-gospodarskie. Skłoniłem się przed piękną panną i wyłuszczyłem jej powody, dzięki którym skazaną jest na moje towarzystwo. *Evoe Bacche!* jak ona się wtedy uśmiechnęła... Stanęliśmy do mazura. Ujàwszy rękę panny Maryi, zrozumiałem dokładnie znaczenie słów Rogowicza: — wiesz, ja tak się w niej zakochałem, że jakby ona, czego Boże broń... i t. d.

Jest to nie kobieta, nie panna, ale literalnie maszyna elektryczna Bunzena, notabene maszyna, której przewodniki namiętnie i słodko ściskają cię za ręce. Byłem pewny, że nad jej ramionami unoszą się iskierki elektryczne, i, aby to szczególne zjawisko dokładniej obejrzeć, pochyliłem w pierwszym zawrocie mazura nieznacznie głowę. Chociaż prawie dotknąłem ustami szyi, nie dostrzegłem żadnych iskier. Złudzenie i nic więcej! Na tej boskiej szyi jest tylko szary mech, cieńszy, niż jedwab, a wijący się jak wełna. Narzeczona pana Rogowicza nie zwróciła, zdawało mi się, wcale uwagi na ten epizod mazurowy. Dopiero w następnej figurze, gdy byliśmy przez kilka chwil odosobnieni w kącie pokoju, powiedziała, spuszczając oczy wstydliwie:

— Szczęście, że nikt nie zauważył...

— Czego? czego? panno Maryo!

— No!

Zapewne wino, wypite przy kolacyi, wybełkotało ze mnie takie paskudne słowa:

— Kto raz w życiu ma taką chwilę...

— Czy zechce pan udzielać mi jakichś tam lekcyi? — zapytała, patrząc na mnie z pod rzęs.

— Pod jednym warunkiem.

— A mianowicie?

— A mianowicie, że podczas lekcyi będzie pani zawsze miała na sobie tę suknię.

— Dlaczegóż tę koniecznie?

— Ach, pani! to tak łatwo zrozumieć, a tak trudno wyrazić nie narzeczoną mową...

Pociągnął nas ogólny mazurek. Gdyśmy się znowu zatrzymali, rzekła szeptem zupełnie poufałym:

— Mam do powiedzenia panu coś ciekawego, ale nie tutaj... Po mazurze będzie walc. Niech pan przetańczy z kimkolwiek, a później niech pan pójdzie ostrożnie przez pokój, gdzie grają w karty, niech pan przejdzie przez następny gabinet ojca i otworzy drzwi. Tam jest korytarzyk, w którym leżą futra pań...

Pomyśl tylko, medyku! Karty, gabinet, futra i w dodatku korytarzyk! Czułem, że dzieje się ze mną coś niedorzecznego, ale ani myślałem stawiać oporu biegowi wypadków. Mazur się skończył i po chwilowej przerwie zagrano walca. Przypomniałem sobie pannę Jadwigę i spostrzegłem ją, siedzącą obok jakiejś otyłej damy. Zamaszyście ruszyłem w tamtą stronę, skłoniłem się może odrobinkę za nizko i poprosiłem smutną panienkę do walca. Podniosła się i obiegliśmy salę dwa, czy trzy razy.

Zaledwie ją posadziłem na krzesło, Izmaiłów, który oddawna stał we drzwiach, jakby na straży i przyglądał

się nam z daleka, zbliżył się do mnie i, położywszy mi rękę na ramieniu, rzekł głośno:

— Mości panie ochotniku! Co ty tu robisz na balu?

— Tańczę... — odrzekłem.

— Ja nie zgadzam się na to, abyś był na balu razem ze mną. Marsz do koszar!

Wspomiałem mu o pozwoleniu Czeremisowa i pułkownika, ale nawet słuchać nie chciał.

— Marsz! — powtórzył, rozciągając spółgłoskę tak nieskończenie, jakby w owej chwili dowodził całą rotą.

Skłoniłem mu się i wyszedłem. Całą tę scenę słyszał, pospołu z innemi osobami, Rogowicz. Pobiegł natychmiast do pana Kłuckiego, a ten wniósł *rekurs* do pułkownika. Pizipios wysłuchał uważnie całej sprawy i, nie przerywając gry, bąknął jakiś wyraz, którego nie dosłyszałem. Miny gospodarzy były rzadkie i dosyć śmieszne... Pożegnawszy ich uprzejmie, wykonałem z udaną fantazyą forsowny marsz do przedpokoju. Wychodząc na ganek, usłyszałem za sobą kaszel i śmiech Wiłkina.

— Dobranoc kochanemu panu... — mówił drwiącym tonem. — Spokojnej nocy! Uważaj pan na mostek przed koszarami. Jeden z dylów jest zgniły i może się pod panem załamać. Uważaj dobrze, kochany panie....

Posłałem mu piorun wejrzenia i wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami.

Tak się zakończył pierwszy mój występ w salonie miasta Wieprzowody.

* * *

Kochany Janku! Nieoględnie przyzwyczaiłem się do pisania listów. Po ukończeniu musztry porannej i zjedzeniu obiadu czuję usposobienie liryczne i zaczynam bazgrać. Wynika to stąd, że od chwili przyjazdu do tego miasta z nikim nie mówiłem. Pojmujesz zapewne, co chcę określić; z nikim nie mówiłem o tem, co mnie interesuje, co stanowi horyzont mojej, jeśli jeszcze można się tak wyrażać — duszy. Opisałem Ci już bal i okoliczności, jakie go urozmaiciły. Po balu nastąpiła reakcya w postaci haniebnej ciszy. Do państwa Kłuckich nie kwapiłem się zbytecznie w celu uniknięcia wszystkiego, co spotkanie z panną Maryą mogłoby za sobą pociągnąć. Taki, patrzajże, jestem świętobliwy! Ty, rozumie się, z natury rzeczy, jako przecież sceptyk, będziesz się uśmiechał z moich tryumfów w szrankach miłosnych i gotów jesteś powiedzieć, że wcale jeszcze empiryzm do wiadomości nam nie podał, po co właściwie piękna panna wysyłała mnie do zimnego pokoju, czy tam sieni, ale ja znowu nie przeceniam tak dalece całego pańskiego sceptycyzmu mój Panie!

W tydzień, zdaje się, po balu, wieczorem w niedzielę poszedłem do państwa Zapaskiewiczów. Wyznam, że, stukając do drzwi ich domu, czułem, że z takim zapasem odwagi na wojnę, dajmy na to, za dawnych czasów, niepodobna byłoby wyruszyć. Pocieszała mnie tylko ta kombinacya, że jeżeli mnie Izmaiłów znowu i stąd »*wyleje*«, to nie stanie się to po raz pierwszy. A czyliż, pytam, może powieszonemu jakąkolwiek sprawiać sensacyę po-

wtórne zakładanie stryczka? Mizerne jest całe obywatelstwo państwa referentowstwa. Trzy pokoiki, w jednym z tych nietyle chędogich, ile ubogich domków, jakie zdobią plac zwany w nieurzędowej mowie gminu »końskiem targowiskiem«. Cała, ze wszech miar godna szacunku rodzina państwa Zapaskiewiczów, dusi się, nocując w ciasnej, nizkiej i wązkiej izdebce, a najobszerniejszy z trzech pokojów wydzierżawia po to tylko, aby stał pustką i aby ta ze wszech miar godna szacunku rodzina mogła wylegitymować się przed społeczeństwem z posiadania starych gratów, na których gość, szanujący swe zdrowie i dbający o przyszłość swoich potomków zaledwie po głębokim i statecznym namyśle usiąść ma odwagę. Pokój ten wyobraża salon. A więc: kanapa, fotele, na stole lampa, dwa oleodruki i t. d. Jest i fortepian. Może to nawet jest szpinet, bo już jakoś zanadto cienki, śpiczasty, chudy i na bocianich nogach. Zresztą rozstrzygać nie myślę. Jeżeliby mi jednak ktoś chciał dowodzić, że na tym instrumencie nie grywano za czasów Franciszka Dyonizego Kniaźnina, — no — to gotów jestem zarzucić takiemu dyletantowi po prostu nieznajomość historyi kultury! W kącie pokoju, pomiędzy szpinetem i kanapą stoi ogromny oleander. Biedny więzień! Przez długie dnie i noce zimowe tęskni za słońcem, upuszcza zeschnięty liść za liściem, niby żałosną prośbę o litość...

Wkroczywszy do salonu, zastałem towarzystwo złożone z panny Jadwigi, pani domu, pana, kilka sztuk pędractwa z ostrzyżonemi przy samej skórze czuprynami i mniej lub więcej krótkich majtkach, a nadto z dwu *knotów* powiatowych. Są to młodzi mężowie stanu, na po-

czątek i chwilowo pełniący obowiązki kancelistów, panowie: Kyrewski i Pęcak. Przywitano mnie z gościnnością i posadzono przy samej pani domu. Widziałem ją już na balu, ale teraz dopiero miałem możność rozejrzenia się w tej osobie detalicznie. Bóg jej odmówił urody tak dalece, że ani tusza, ani płodność nie są w stanie zmusić cię do pamiętania o tem, że uroda u matki rodziny i gospodyni domu czczym i przemijającym jest tylko dodatkiem. Ta matka i gospodyni ma śpiące, małe, łzawe oczęta, usta szerokie i tak niepospolicie mięsiste, że zdają się ociekać tłuszczem, dziwny nos i maślany uśmieszek gościnności rozlany na obliczu, uśmieszek, który mnie natychmiast pobudza do szyderstwa. Całe jej bogate ciało trzęsie się w szlafroku, jak galareta z cielęcych nóżek, i straciło niestety zupełnie te kształty, po których ty z tak dziwną stanowczością i szybkością umiesz odróżniać kobiety od mężczyzn. Zapuśćmy wszakże na tę kwestyę kurtynę (ewentualnie szlafrok)!

— Oto jest twoja teściowa, — szepnął mi do ucha jakiś demon, — oto jest niewiasta, która zetrze głowę twoję, czyli najmniej cztery razy dziennie będzie cię prała starą miotłą!

W chwili, kiedy jakiś demon w barwach tak strasznie pomidorowych przyszłość moją malował, matka panny Jadwigi bawiła mnie dyskursem o sztukach pięknych. Z bystrością zaiste niezrównaną potrafiła wykazać różnice i podobieństwa między walcem »*Minuwszyje dni*« i walcem »*Tigrionok*«, a następnie przerzuciła się bezpośrednio w dziedzinę literatury nadobnej i oznajmiła mi, że powieść Józefa Korzeniowskiego p. t. »Szczęście za górami« czy-

tała i że *takowa* jest, według niej, najbezczelniejszym wymysłem.

Trzej panowie urzędnicy rozprawiali tymczasem o jakimś czwartym. Chodziło im o to mianowicie, czy ów czwarty ma *czuja,* czy go wcale nie ma. Dwaj kanceliści głośno twierdzili, a gospodarz domu przeczył.

— Gdyby miał *czuja* — he — he — nie byłby prosił o miejsce w głupim Łysocinku, — mówił pan Zapaskiewicz, ogromnie chytrze przymrużając lewe oko. Rzecz była jasna, jak słońce. Naczelnik w dobrym humorze, do rany go przytul, — miejsce archiwisty stoi otworem, a ten zamiast się na oczy pokazać...

— Panie radco! — wiedział on co robi. Myślał, że go stary pożałuje, że go Kłucki poprze... — wołał pan Pęcak.

— To właśnie znaczy, że ten człowiek za kopiejkę nie ma *czuja.* To panu właśnie mówię!

Zrozumiałem nareszcie, że tu mowa o psychologii powiatowej. Korzystając z momentu zajęcia się pani domu rozbrojeniem dwu walczących o serdelki młodych Zapaskiewiczów, zrejterowałem do panny Jadwigi. Siedziała przy oleandrze, prawie ze plecami referenta. Tego wieczora była daleko ładniejszą niż na balu, — tak mi się przynajmniej wydawało. Nie szpecił jej ów cień zamyślenia czy niecierpliwości, a dobry uśmiech, rozkuty z kajdan przymusu, nie schodził z jej ust. Gdym obok niej usiadł, powitała mnie spojrzeniem tak szczerem i życzliwem, że na śmierć zapomniałem o rodzicielce, która czytała powieść Korzeniowskiego, i papie, znającym się dokładnie na *czuju.* Co chwila ciemne rumieńce wy-

pełzały na jej policzki. Oczy, ilekroć je zwracała na mnie, miały wyraz nieodgadniony, przedziwny... Mówiliśmy o najrozmaitszych rzeczach, między innemi, pamiętam, o charakterach. Potępiałem w czambuł wielkie zamiary i postanowienia młodzieńcze, twierdziłem, że niema już dziś pośród młodzieży jednostek umysłowo skostniałych. Mówiłem, że zmienia się wszystko, to też i wyobrażenia ulegają zmianie tak dalece szybkiej, że o dotrzymaniu jakichś pierwszych, wielkich przyrzeczeń nie może być mowy.

— Czyżby tak rzeczywiście było? — powiedziała z namysłem. — Przecie niepodobna zaniedbać tego, o czem wiemy na pewno, że na nas czeka i że jest uczciwe...

— Zapewne... tylko, widzi pani, to uczciwe mieni się zależnie od światła bijącego z wiecznie nowych faktów.

— Mnie się zdaje, że są pewne prawdy, których żadne światło zmienić nie może.

— Jest to filozofia poetów lirycznych i... dam, więc oponować nie wypada.

— Może być, że powiedziałam coś aż tak śmiesznego. Powinien się pan strzedz, aby nie zostać poetą lirycznym, bo toby dopiero był wstyd!

— Proszę pani — ja już się »rozanielam«. Zaczynam wierzyć, jako w nieomylną prawdę, w pewne dobre serce... Ale to tylko jeszcze jeden więcej dowód zmienności charakterów młodzieży współczesnej.

Milczenie.

— Czy pani pamięta naszego pierwszego kontredansa?

— A czy też pan pamięta przedostatniego pańskiego

mazura? Teraz rozumiem, że to powiedzenie o wierze w dobre serce stosuje się...

— Ależ ja nie będę się wcale bronił! Muszę tylko zaznaczyć wyraźnie, że z pani zły obserwator.

— Nie moja wina, że nie troszczy się pan o to ani trochę, aby mnie nauczyć trafnie obserwować.

Mówiła to, odwracając głowę, z tym dziwnym uśmiechem na ustach.

— To prawda... ale zawsze z pani zły obserwator.

— W takim razie muszę przypuścić, że mieszka w panu usposobienie panny Maryi Kłuckiej.

Zaczęliśmy się śmiać oboje i taki był nasz nastrój, że mogliśmy śmiać się z tych słów wesoło i ze swobodą.

— Powinienby pan agitować, aby przyszedł do skutku drugi bal u państwa Kłuckich, o którym głucha wieść chodzi po mieście.

— W tej promienistej nadziei, że znowu z wielką paradą wyrzucony będę za drzwi...

Brwi jej drgnęły i wesołe słowa uwięzły w gardle. Trzymałem w ręku kilkanaście suchych liści oleandra, które machinalnie pozbierałem z wazonu w ciągu tej rozmowy.

— Czy pan chce próbować wyroczni: — kocha, lubi, szanuje? — zapytała mnie po chwili.

— Nie, bo wiem dobrze, jaki wypadnie rezultat...

— A może ty wyręczysz pana Zycha... — wmieszał się do rozmowy radca, który bardziej uważnie, niż sądziłem, przysłuchiwał się temu, co mówimy.

— To właśnie nieszczęście — rzekłem ze śmiechem, — że panna Jadwiga wcale się tem nie interesuje, jaki wypadnie rezultat...

Panienka zamilkła i pokruszyła liście, podane przezemnie. Długo potem nie podnosiła głowy. Gdy nareszcie udało mi się zajrzeć w jej oczy, zobaczyłem w nich znowu smutek. Niby z odległego i dzikiego krajobrazu wiał z nich chłód jakiś i pustka.

Potrzebny zaiste byłem na tej wizycie, jak pies w kręgielni! Zaczęło się pontyfikalne picie herbaty i udzielanie sobie nawzajem wiadomości, jakie ani jednego obywatela na całej kuli ziemskiej nie mogły nigdy zajmować, nie zajmują i zajmować nigdy nie będą. Na domiar złego młodzi powiatowicze nie są wcale miedzią brzęczącą, lecz są bez żadnej wątpliwości cymbałami brzmiącymi. Rozgrzeszam ich z tego, że nie będąc kosmopolitami, nie należą również do żadnego narodu, ani do polskiego, ani do rosyjskiego, ale nie mogę darować im jakiejś zupełnej bezklasowości. Co to jest za grupa? Przepisują litera za literą głupstwa, wymyślone przez zwierzchników, mają »*czuja*« i pragną stać się tak doskonałymi, jak pan Kłucki doskonałym jest, wiedzą bowiem dobrze, że wówczas »reszta będzie im przydaną«.

Na umysły ich spłynął chrzest łaciny z wysokości klasy trzeciej i bierzmowanie d o b r e g o t o n u z mitycznych salonów, z salonów, których nigdy nie widzieli.

Mają jakiś swój, najśmieszniejszy kodeks światowy, podlegają przepisom nieznanego rytuału...

Usiłowałem zawiązać z nimi rozmowę, zachodziłem z daleka, unikałem najstaranniej olśniewania ich jakimkolwiek gatunkiem wyższości, a jednak zdaje się, obadwaj obrażeni są na mnie. Ha, cóż począć! Niezbadanemi drogami zdąża Opatrzność do swoich celów... Po herbacie

rozsunięto stolik i zmuszono mnie do odsiedzenia trzech godzin przy wincie.

Panna Jadwiga odegrała tymczasem na szpinecie »coś poważnego«. Co to było — nie mnie nędznemu robakowi odgadywać. Około północy wyszedłem stamtąd znudzony i głupio smutny...

* * *

24 stycznia.

Miałem zamiar list poprzedni uzupełnić i wręczyć Rogowiczowi, którego spodziewałem się dopiero za dni kilka. Tymczasem on dziś przyjechał i oddał mi paczkę. Znalazłem w niej kurs geometryi i *mirabile dictu,* — wszystkie listy, które stąd pisałem do Ciebie, wszystkie, od pierwszego do ostatniego. Początkowo myślałem, że włożyłeś je przez nieuwagę i chciałem Cię mieć za niewinnie roztrzepanego pokrakę. Tymczasem — na marginesie kursu znalazłem Twoją ręką pisane następujące wyrazy: »Nie powtarzaj za drugimi zdań oklepanych. Wszystko a wszystko trzeba sprawdzać w życiu... Nie zapomnij o mnie«. To jest rzeczywiście zabawne! Czy Ciebie, Janeczku, główka nie boli po całych dniach w okolicy ciemienia, czy nie doświadczasz mocnych zamgleń zmysłów, które i tak odznaczały się wiekuistem osłabieniem? Rogowicz mówił, że byłeś roztargniony, że kazałeś mu, aby mię ściskał i całował w Twojem imieniu. Ja tu akurat

omdlewam z żalu, umieram z tęsknoty bez Twoich pocałunków. Napisz, mówię, co to znaczy. Rogowicz będzie u Ciebie jeszcze w tym tygodniu.

M.

* * *

2 lutego.

Wczoraj odebrałem kartkę od Rogowicza. Naznaczył mi spotkanie za miastem, na szosie siedleckiej. Tam mi powiedział w największej pasyi, że posyłałem go na oczywistą zgubę, bo Janek w tych dniach został... schowany. *Da liegt der Hund begraben...*

* * *

5 lutego.

A więc Ciebie, Janku, już niema... Izbę Twoją wymieciono i zdołano zapewne wynająć komu innemu, książki, poduszkę, siennik i korepetycye, których udzielaniem na chleb zarabiałeś, rozchwytano — i zapomnieli o Tobie dobrzy ludzie, jak się zapomina o trupie, wyniesionym z domostwa i zakopanym w ziemi. *Sic transit gloria mundi,* mój mały! Szkoda mi tylko starej... Jeżeli ja, obcy, tak wyraźnie słyszę jej płacz, to jakże on się musi rozlegać

w Twojem synowskiem sercu! Z czego to biedactwo żyć będzie? Wiedziałem dobrze, choć to starannie przedemną taiłeś, że jej posyłasz połowę pieniędzy, zarobionych na burżujskich korepach. Co to zresztą gadać!... Powiadają, że tak zwany altruizm jest zamaskowanym egoizmem, że go wcale niema. Gadanie... Ja starą Twoją matkę, z którą rozmawiałem ze trzy razy w życiu — po prostu na jawie widzę. Widzę, jak siedzi w oknie i trzęsie się nie od płaczu, ale od tego bólu, którego małą cząsteczkę, niejaką podobiznę ja w sobie czuję.

Miała syna... I dlaczego, na mocy jakiego prawa go zabrali? A na mocy takiego prawa, że miał duszę tak czystą, jakby się narodziła ze łzy Chrystusa, wylanej w żalu nad wszystką przeszłą i przyszłą nędzą i krzywdą, nad wszelkim uciskiem tego świata, — na mocy takiego prawa, że to był »facet«, który mógłby się był stać zaszczytem swego pokolenia, gdyby wszystkie potęgi jego niezwykłego umysłu znalazły wsparcie i oręż w nauce przezeń obranej, — na mocy wreszcie takiego prawa, że był źdźbłem leczniczej trawy, stojącej na drodze pochodu barbarzyńców.

Możesz, osierocona babino, płakać tak długo, aż ci stare oczy we łzach wypłyną, bo jego już pewno nie ujrzą. Będzie się poniewierał po rozmaitych norach i gdzieś, za światem ze skorbutu, czy suchot, w nędzy zemrze...

* * *

7 lutego.

W ciągu dnia, na mustrze, w nocy, wszędzie i bez przerwy myślę o Tobie. Im dłużej rozważam sam fakt, tem dziwniejszem wydaje mi się Twoje nagłe zniknienie, Twoje opuszczenie miejsc, gdzie tak długo pracowaliśmy ramię przy ramieniu. Czyliż podobna przystać na to, że Ciebie już niema tak zupełnie, że zostałeś tylko jako odruch przestrachu w naszej pamięci... Czemuż nie jestem z Tobą, czemu nie mogę trzymać Cię w ramionach, gdy czujesz, że męstwo Twoje omdlewa, gdy jesteś, co najstraszniejsza, znudzony do cna, a masz właśnie z umiejętnością bronić wszystkiego, masz uciekać w każdym ruchu i słowie, jak wściekły pies, którego za jakąbądź cenę postanowiono dosięgnąć i zgładzić... Co uczynię, ażeby znaleźć kaucyę? Czem zmyć potrafię Twoje posępne upadki ducha i chwile żrącej goryczy, które pojmuję i trzymam w sercu — tutaj, wygodnie śpiąc, specerując, celowo ćwicząc ciało i prowadząc mądre dyskusye? Jakiemże prawem nazwę się Twoim przyjacielem po tylu dniach i nocach, spędzonych przez Ciebie na rozmyślaniu, na rozmyślaniu raka, wydobytego przez pastuchów z nory wodnej i wrzuconego na płonące węgle? Wiem dobrze, kiedy do Ciebie znajduje przystęp małoduszność, wiem, kiedy ściskasz i natężasz wytrwałość, ćwiczysz przebiegłość, oszukujesz, kłamiesz, zaprzeczasz, milczysz... Wiem, kiedy zacinasz zęby i w bohaterskim uporze, z królewską dumą, po swojemu mówisz w myśli: — a więc zginę, szubrawcy! a więc zginę!

Wszystko to wiem, jakby w moich piersiach biło

Twoje serce, jakby mój mózg patrzał z więzienia na świat i życie Twojemi myślami, — i nic nie mogę przedsięwziąć! Siedzę w pokoiku sióstr Kupferschmidt i licho wie po co, na co i do kogo piszę to wszystko, namyślając się nad każdem zdaniem i usiłując pisać uroczymi zwrotami. Każdy przebłysk współczucia, czy cierpienia, chwytam i utrwalam. Co można bardzo dobrze wyrazić przez *a*, ja muszę wyrazić przez *a* w potędze *n*. A gdyby mnie pułkownik Pizipios zapytał, czy Ciebie wypadkiem nie znam, — odpowiedziałbym, patrząc mu w oczy z dziecięcą zaiste prostotą, żem Cię, jako żywo, nigdy nie widział.

Tak bracie! A przecież jestem z Tobą przez wszystkie minuty...

* * *

8 lutego.

Prawdopodobnie umiałbym zginąć bez zmrużenia oka, ale teraz przebiega po moich nerwach lodowaty dreszcz, jak w przedsekundzie rzucenia się w nurty bezdennej wodnej przepaści. Obudzę się jutro raniutko i, zaledwie otworzę powieki, muszę pomyśleć: aha — to dziś.

Ta pierwsza myśl mierzi mię i nęka. Męstwo podobne jest do żołnierza prezentującego broń. Stoi nieruchome, aż do tej chwili, póki głos tajemniczy nie wyrzecze: — pal! Wówczas martwa bryła złoży się, weźmie na oko

i śmierć zada. Ale wymódz na sobie zdolność wydania tego rozkazu, tego wyroku śmierci na samego siebie...

Nic w naturze nie ginie. Przecież ja jestem — *summa summarum* — żak i »kawaler« dziewiętnastoletni. Nie zdążyłem jeszcze wydychać ze siebie uczniowskiego »p i e t r a», tej bojaźni okrutnej, która przez dziewięć lat długich ogarniała mię, jak powietrze, czyhała na mnie za każdym węgłem i wiecznie groziła.

Teraz zaczęła się bardziej kawalerska subordynacya? A kto i kiedy uczył mię, jak się powinno ginąć? Cały świat, wszyscy ludzie mądrzy głosili zawsze jedno i to samo: choćby postawiono kij i kazano słuchać jego rozkazów, słuchaj, albowiem to nasz »rozum stanu«, nasza cnota i honor. I ta bojaźń, ta filozofia ludzi rozsądnych, jak grzech pierworodny na mnie ciąży.

A teraz ja sam jeden, żak i »kawaler«, muszę przecie wyratować kolegę. Wyratować, — to znaczy, skromnie mówiąc, rozpocząć akcyę i poprowadzić ją z taką szczególną chytrością, z takim »rozumem stanu«, aby najznaczniejsza część win Janka na mnie spadła. Mam poprowadzić wszystko tak, aby on się o tem dowiedział i, — bagatelka!! — aby na to przystał.

Jutro zacznę starać się o urlop. Pojutrze wyjeżdżam do Warszawy. Ach, wy nędzne zielska pętające nogi, wy podłe obawy, plugawe przesądy, wy znaki tajemnicze, co latacie przez mózg, jak pioruny po chmurach w czasie nawałnicy! Spartanie przed bitwą śmiertelną trefili włosy, namaszczali mięśnie oliwą i ozdabiali głowy kwiatami. Wówczas wielbiły ich zakochane kobiety, błogosławili starcy, wspierały zazdrością i żalem tłumy dzieci i kalek.

Takich, jak ja, idących w tajemnicy przed światem, nie popchną na drodze powinności łzy niczyje. Uwieńczmy jednak, o bracie, nasze głowy kwiatami, my dwaj!

* * *

15 kwietnia.

Otóż i piętnasty! Dzień ciepły, jasny, przejrzyste niebo, wiatr z południa wieje. W oczach wyrasta trawa i już naokoło połyskuje świetlistą zielonością. Pagórki za miastem obeschły i popielate smugi ról przesłania, jak mgła — jasno-zielona, nikła, delikatna, przejrzysta siateczka ozimin. Drzewa nad wodą, około cerkwi i kościoła wypiękniały i zmieniły się do niepoznania. Wierzby wyciągają nad wiosennemi wodami pękające, cienkie gałązki, stare wiązy, modrzewie i sosny cicho szumią, a niewysłowiona ich melodya unosi się nad tą ziemią. Ulegam złudzeniu, że to ku mnie zniża się z wysokości orszak pogrzebowy, śpiewając nad kimś zmarłym „*Dies irae*"... Ulegam złudzeniu, że drzewa oglądają się za mną, że młode trawy inaczej migocą, gdy nadchodzę, że woda głośniej pluszcze o nagie, wyziębłe brzegi, gdy na nią patrzę zamyślony, że drogi gładkie, jak powierzchnia wody — wyciągają się na moje spotkanie jeszcze równiej, abym szedł po nich, dokąd oczy poniosą:

»Nie jest punkt geometrów długi ni szeroki,
A jednak wszystkie tworzy linie i boki...
I szczęście jest nie w miejscu, tylko w sobie leży,
Cierpienie tylko wieczne ciągnie się i szerzy«...

Jak ono wynosi wysoko, jak uczy, jak wszystko zrozumieć pozwala! Doznaję rozkoszy dręcząc się i zaglądając z szyderstwem we własne sumienie, bo zdaje się, że wtedy zbliżam się znowu do Janka, a chociaż nigdy nie spotkam go już w przestrzeni świata, podobnie jak niemal styczna, wiekuiście dążąc do prostej, nie zetknie się z nią nigdy, — to jednak sama ta tęsknota dążenia, samo beznadziejne omamienie — ulgę przynosi.

Bardzo być może, iż niezdrów jestem moralnie, że zapadłem chwilowo po prostu na *weltschmerz* z radykalnym *katzenjammer'em,* czy może uczciwszy uszy, na romantyzm z mistycyzmem. Cóż mię wszakże mogą obchodzić nędzne słóweczka, ubogie w dowcip przezwiska, wymyślone w wesołych knajpeczkach przez ludzi regularnego apetytu, między siódmym a ósmym kubełkiem. Zapewne, że to jest sentymentalizm wysokiej próby, kiedy młodzian postanawia z furyą bersekiera: idę na odsiecz Jankowi! — a następnie, zdradziwszy tego Janka najbezwstydniej, opuściwszy pogrążonego w niedolę najgorszą, bo w zwątpienie o prawdziwości przenajświętszej prawdy, — chodzi koło płotów, układa dramat i na pierś plugawca usiłuje zarzucić płaszcz melancholika. To jest sentymentalizm! I cóż z tego, kiedy to jest zarazem i boleść. Pokazuje się, że oprócz mnie zawinił tu ktoś drugi, i, jeżeli tchórzostwo jest powodem mojej obecnej niedoli, to przyczyna jest zupełnie co innego. Wszakże pojechałem wtedy do Warszawy, a to był krok największy, bo trzeba było samego siebie ująć za kark żelazną prawicą...

Pamiętam, jak wyjeżdżaliśmy stąd z Rogowiczem. Konie były dobre, sanie szerokie, droga jak po stole.

Gdyby Janek pokutował w Siedlcach, byłbym niewątpliwie przystąpił do rzeczy natychmiast po przyjeździe.

Pamiętam każdy zakręt drogi, każdy przedmiot nawijający się na oczy — dopóki jechaliśmy saniami.

Nie doświadczałem wtedy żadnych prawie uczuć, byłem skupiony w sobie, chociaż nie myślałem wcale o tem, po co jadę. Skoro przesiedliśmy do wagonu — wszystko się rozprysło. Zaczęła się robota nerwów. Było mi tak źle i duszno, że prawie cały czas przestałem na platformie wagonu. Któżby zdołał opisać ból, jaki mi sprawiało szybkie uciekanie ziemi, widoków, wiosek, płaszczyzn, lasów!... Któżby zdołał wyrazić całą moc pragnienia: — gdybym tę krzywą sosnę, tę drożynę zawaloną śniegiem, ten skrawek głuchego pustkowia jeszcze raz mógł zobaczyć!

Gdy minęliśmy Miłosnę, pokazała się Warszawa.

Zapadła noc i nad tem wielkiem mrowiskiem ludzi rozciągał się coraz wyraźniej nikły, niebieskawy płomień łuny. Miliony świecących punktów wynurzały się z ciemności w miarę zbliżania się pociągu do Pragi. Nareszcie rozległ się przeciągły sygnał. Serce ścisnęło mi się boleśnie. Ten świst zdawał się wołać do mnie: pójdź, pójdź, pójdź!...

Jak błędny wysiadłem na dworcu i zostawiwszy Rogowicza, który miał do odebrania jakieś tam paczki, wsiadłem do tramwaju i pojechałem na Zjazd. Tam wyskoczyłem i poszedłem przed siebie Krakowskiem Przedmieściem.

Była godzina ósma, to jest ta właśnie pora wieczorna, kiedy z magazynów, sklepów, fabryk, z przeróżnych nor i ognisk pracy wysypuje się na chodniki

wszystka »ulica«, na chwilę oddycha świeżem powietrzem, na chwilę prostuje spracowane ramiona i na chwilę zanurza się w dowcip.

I wre Krakowskie, kipi Nowy Świat. Stratowany śnieg iskrzy się w przepysznym blasku, buchającym z poza szyb sklepowych, jęczą dzwonki mnóstwa sanek, wije się ta nieskończona fala twarzy cudacznych, śmiesznych, głupich, chytrych, tajemniczych, zrozpaczonych...

Eh — ty Warszawo, ty ukochana, ty serdeczna! Jakże ciebie było na zawsze porzucić?... Szedłem szybko, aby zadusić w sobie i stratować wzmagający się napływ refleksyi. Byłem oszołomiony, jak po wypiciu tęgiego kieliszka koniaku. Nie chciałem za żadne skarby świata dopuścić do sformułowania w myśli tego, co już się we mnie dokonało. Okpiwałem się jeszcze, jak głupiec, pojedyńczymi wyrazami, zadawałem własnej imaginacyi śmiertelne ciosy, aby się znowu porwała na nogi...

Skręciwszy na Chmielną, cwałem pobiegłem do Michała. Wszedłem cicho po schodach i zatrzymałem się pode drzwiami. Słychać było rozmowę. Zadzwoniłem. Drzwi się uchyliły, — zostałem poznany i wciągnięty do środka. Kilka ramion zaczęło mnie dusić, kilka par rozpoczynających karyerę wąsów i kilka wątpliwych bród muskało mnie naraz po twarzy. Był Piotruś, Migdał, Knajpofilus oficinalis, Dżibbennenosah czyli Natan Duch Puszczy, Walery i Michał. Ściągnęli ze mnie szynel, z wielkiej gościnności zanieśli i powalili na łoże, wszyscy sześciu usiedli przy mnie, a raczej na mnie i zaczęli opowiadać, wypytywać się, podziwiać moje buty, szarawary, mundur, naszywki i całość szczęk oraz zębów.

No, a cóż Janek? — przerwałem te głupstwa.

— A tobie co do Janka, *sołdat?* — rzekł Walery. — Janek jest tęgi frant, jak zawsze. Na dziesięć dni przed skandalem zwąchał pismo nosem, wszystkie ślady za sobą, jak lis, ogonem zatarł, a teraz podobno same anegdoty opowiada.

— Ty właśnie wiesz, co on opowiada, — przerwał mu ponuro Dżibbennosah. — Sprawa Janka źle stoi — to niema co w bawełnę obwijać.

— Ja myślę, że źle stoi, bo ten chuderlawiec po upływie roku będzie miał typowo piękną gruźlicę, a może i kopyta wyciągnie — rzekł Piotrek.

Słuchajcie... — zacząłem, — ale dalszy ciąg patetycznej mowy jakoś nie chciał wyleźć mi z gardła.

Michał, zaparzywszy herbatę, zbliżał się właśnie i z ciekawością słuchał, co powiem. Zdawało mi się w owej chwili, że mądre i spokojne oczy tego matematyka widzą wszystkie moje myśli i że uparte ich wejrzenie waży mię na niewidzialnej szali.

— Ja, uważacie, jestem zdrów, jak koń meklemburski, jestem wygimnastykowany...

Zaciąłem się znowu.

— Ależ tak — jesteś wygimnastykowany, — mówił Michałek, gryząc mundsztuk papierosa. — I cóż dalej? O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, że Janek, przypuszczam, ma wszelkie dane po temu, aby mógł pracować z wielkim pożytkiem, jeśli się go uwolni...

— Naturalnie, — jeśli się go uwolni.

— Powiadacie sami, że zatarł wszelkie ślady. To

znaczy, że dotychczas ciążą na nim tylko podejrzenia, które możnaby skierować na kogoś, kto przetrzyma...

— No i ty niby...

Dżibennenosah parsknął śmiechem, wstał i, wywijając pięściami, zaczął mi wykładać:

— Równałoby się to postępowaniu trznadli, których gniazdo wyżeł zwąchał i wystawia. Wiadoma rzecz, że stara trznadlica rzuca się wtedy prawie psu w paszczę, trzepie skrzydłami, wrzeszczy, zupełnie jakby wołała: oto ja jestem winna! oto mnie masz! Można, widząc taką scenę, rozedrzeć szaty z rozczulenia, a z rozmyślania nad ogromem miłości w przyrodzie dostać rozmiękczenia mózgu, ale nie należy podobnej metody stosować w naszem życiu.

— Janek — albo skapieje i wtedy — trudna rada — damy mu tylko wiekuiste, dobre wspomnienie, albo wszystko przetrwa i wtedy będzie z niego prawdziwy człowiek. Nie pierwszy on i nie ostatni, ale ty, trzeba ci to przyznać, jesteś najpierwszy baran, jakiego zdarzyło mi się widzieć w tym kraju. Znakomity obywatel! On sam pójdzie do szlachtuza i powie ze skromnością: zakłujcie mnie, panowie rzeźnicy, zamiast tamtego, pełnego nadziei baranka, albowiem... Zrozumże dobrze, że ciebie zamkną, a tamtego jeszcze lepiej przymkną, bo znajdą pierwszą nić łączącą was obu. *Poniał?*

— Wygłaszasz myśli sparciałe, jak stara rzepa, i obawiasz się jeszcze, że nie zostaniesz dokładnie zrozumiany — odpowiedziałem niedbale, — zamiast naradzić się nad sposobem wykonania planu...

— Któż tu może radzić o absurdzie, mój kochany? To jest głupstwo, może bardzo szlachetne, ale tylko głup-

stwo. Niema żadnego środka na przeprowadzenie takiego interesu...

— Jest środek! — zawołałem z (dobrze rzecz malującem) uniesieniem. — Dość będzie, jeśli Janek, po prostu w protokole mnie wymieni. Nie ja, lecz wy rozumujecie, jak marzyciele materyaliści. Powinien być podział pracy i podział cierpienia! Pozwolić, aby zginął w zapomnieniu taki, co samotny na ramionach góry nosił z miejsca na miejsce, za stu pracował o głodzie i pośród śmiechu plugawców, — według mnie świadczy o egoizmie, ale nadto o niedomyślności, o ślepocie!

— Mój ty, Mucyuszu Scevolo, — rzekł Michał, obejmując mnie za szyję.

— Moja ty, mąko z cebulą, — mówił Knajpofilus, — wpadasz w entuzyazm, sądząc, że taki powinien być podział pracy i, jeżeli już chcesz koniecznie, ten podział cierpienia. Daleko logiczniej postąpi, kto będzie dobrze naśladował Janka w pracy i wytrwałości. Powtarzam te słowa: w pracy i wytrwałości. Dla mnie był on rzeczywiście tylko idealnym wykonawcą swych pięknych urojeń.

— Aż urojeń! — zawołałem szyderczo.

— Tak, — zaczął znowu Dzibbennenosah, — bo ostatnimi czasy, ten facet licho wie, dokąd zawędrował. Pokumał się z patryotyzmem i na każde żądanie miał gotowy wykrzyknik: niech żyje Polska! Ja tam nie myślę obniżać jego zasługi, uchowaj Boże! Było to jego osobiste, sentymentalne wierzenie, ostatecznie nawet nieszkodliwe, aleć zawsze my powinniśmy traktować te rzeczy bardzo ostrożnie. Nigdy dosyć tego powtarzać nie można, że owe Polski, ojczyzny, narody i t. d. grożą nam roz-

płynięciem się w jakichś dążeniach klas najrozmaitszych, zbitych w jedną bezmyślną kupę. Janek nie pojmował dokładnie egoizmu klasowego. Zawsze miał na ustach swoje »społeczne etyki«...

— No — nie wydzióbuj mu tak znowu zupełnie oczu... po śmierci... — szepnął z ironią Michał.

Kiedy Dżibbennenosah mówił to wszystko, czułem w sobie utajoną radość, radość niezmierną, że mam pretekst do uwolnienia się od powinności. Wiedząc doskonale, że kłamię, kłamałem wobec własnego sumienia, a daleko wyraźniej i z większem wrażeniem wobec tych młodzieńców. Odegrałem rolę wahania się, rolę łez w oczach żalu, namysłu, może nawet rolę rozpaczy.

Rozmowa się ucięła. Piliśmy herbatę i rozmawiali o rzeczach obojętnych. O godzinie dziesiątej poszedłem do hotelu i zanocowałem w numerze, u Rogowicza. Ten, jak się okazało nazajutrz, w sprawie zupełnie dla niego obojętnej zrobił, ile tylko było w jego mocy. Udał się do jakichś potężnych burżujów, łaził przez dzień cały i przyniósł na kaucyę dla Janka 150 rubli. Zanosił się od śmiechu, rozpowiadając, jak to znajomi jego wydobywali mamonę w nadziei, że umożliwiają wyjazd do Davos choremu na suchoty studentowi. Pieniądze złożyłem u Michała z uczuciem Piłata, umywającego ręce — i, w obawie nagany z ust rotnego za przetrzymanie urlopu, następnego dnia wyjechałem z powrotem do Wieprzowodów. Wracałem sam, ponieważ Rogowicz, zajęty zbieraniem składki, zaniedbał swoje interesa, i musiał jeszcze na dwa dni pozostać w Warszawie. Gdyśmy się rozstawali, wsunał mi w rękę pachnący list do narzeczonej i prosił o doręc-

czenie go niezwłocznie po przyjeździe. Nie było rady — musiałem, wylazłszy z sanek, iść do państwa Kłuckich. Na moje spotkanie wybiegła sama panna Marya. Oddawszy jej list, chciałem wynieść się w te tropy, ale na to nie przystała. Musiałem wejść do salonu i zająć miejsce na fotelu. Pani Klucka już spała, pana nie było w domu, byliśmy tedy sami w pokoju na pół oświetlonym jedną lampą. Śliczna panna przeprosiła mnie uprzejmie za to, że list przy mnie odczyta, na co nawet nic nie odpowiedziałem, i zaczęła czytać. Zegar, stojący na bocznym stoliku, szybko, i jakby wesoło kołatał, ogromne topole, które otaczają ten dom, głucho huczały, w zimowym wichrze, a w salonie tak było cicho, tak ciepło, tak jakoś zacisznie... Dobrze pamiętam te chwile.

Byłem nietylko zadowolony, ale po prostu szczęśliwy. Napawałem się do syta pewnością, że jestem wyprowadzony na wolność, powrócony do życia — i tak mocno czułem wszystek jego czar, całą piękność. Byłem pełen dobroci, gotów do poświęceń i wszelkich ludzkich uniesień.

Narzeczona Rogowicza przeczytała list powoli, zmięła go z grymasem niechęci i schowała do kieszeni. Siedziała ślicznie rozparta w rogu kanapy. Jej przepyszne ramiona i talia w jedwabnym, czy atłasowym staniku, odrysowały się na jasnem tle pokrowca tak wyraźnie... Nie pamiętam, jakim sposobem przesunąłem bez szelestu po dywanie mój fotel do tego rogu kanapy i, nie wiem w jakim celu, zacząłem całować ręce panny Maryi, ręce tak białe i tak wypieszczone.

— Co pan robi, co pan robi?

Wówczas nachyliłem się nad białą szyją, którą liryczni poeci zupełnie słusznie nazywają liliową, i zacząłem, jak zwykli mawiać ci sami poeci, pić słodycz ustami pełnemi. Później, gdy jakiś szelest spłoszył sen upojenia, mówiliśmy, oczekując na następną chwilę pewności, że nikt nas nie widzi.

— Więc pan utrzymuje, że można broić, będąc narzeczoną?

— Co za broić, jakie broić?

— Miłe złego początki...

— Ja myślę, że i dalsze ciągi są bardzo miłe.

Gdy nauczając mnie, jaką to narzeczona być powinna, pochyliła się, usta nasze po długiej pogoni i ucieczce spotkały się przypadkowo i nieumyślnie.

Z wesołym uśmiechem mówiła do mnie po upływie chwili:

— Dlaczego stara się pan mnie bałamucić?

— Nie mam żadnych danych do starania się o coś podobnego. Robię to tylko, co robią bezwiednie wszyscy zakochani do szaleństwa.

— Ile też razy w życiu powtarzał pan ten frazes?

— Pierwszy raz wymawiam go, aby dać świadectwo prawdzie.

— A panna Zapaskiewicz?

— Nie znam ani jednej panny Zapaskiewicz.

— Ach, panie, panie! Ciekawam wyrazu twarzy mojego narzeczonego, gdyby przypadkiem widział to wszystko.

— To znaczy! idź już brunecie do koszar?

— Niech mnie pan nie gniewa! Muszę przecież my-

śleć o tem, co zrobić, gdyby ojciec powrócił z objazdu i zobaczył przez okno taką oto scenę.

— Cóżby pani zrobiła?

— To moja tajemnica. Ale czem ja jestem dla pana w takim razie.

— W jakim razie?

— Pan wcale nie wie, zupełnie nie wie, co się tu wyrabiało przed chwilą?

— Wiem tylko, co się tu będzie wyrabiało za chwilę, gdy usłyszę, że nikt nie nadjeżdża...

— Boże, Boże! Czem ja dla pana jestem?

— Jakto, czem? No, rozumie się, że aniołem.

— Aniołów nie całuje się w usta...

— To być nie może! Gdzieżby się w takim razie całowało aniołów! A zresztą przecie, jak wół stoi napisane...

— Nie wolno! Słyszysz pan?

— No jużci słyszę. I nietylko słyszę, ale nawet nie rozumiem. Bo proszę pani...

Wiatr jęczał i wył, zginając suche gałęzie ogromnych drzew. Zdawało nam się co chwila, że słychać zgrzyt kutych sanic po śniegu i odgłos stąpania koni po brukowanym podjeździe. Nasłuchiwaliśmy z wielką uwagą. Widocznie chcąc rozpröszyć obawy, panna Marya podniosła się, zbliżyła twarz do szyby i wyjrzała na uliczkę, a następnie opuściła storę aż do dolnej ramy okna. Gorączkowo śledziłem jej ruchy i niepomału byłem zdziwiony, gdy zasłoniwszy okno jak najszczelniej, usiadła na drugiej, mniejszej kanapce w ciemnym kącie pokoju. Rozkosznym giestem wskazała mi miejsce obok siebie.

Rzecz prosta, że skwapliwie i dokładnie wykonałem jej rozkaz. Zaczęło się nadzwyczajne całowanie. Było tego słodkiego tak dużo, że chwilami niezupełnie dokładnie wiedziałem, gdzie się znajduję i na jakie niebezpieczeństwo siebie i tę pannę narażam. Pocałunki jej stawały się coraz bardziej przeciągłymi i nienasyconymi.

Nagle panna Marya zaczęła drżeć mocno, śmiać się głośniej... Wysunęła mi się z ramion i upadła na kanapę. Wtedy dopiero spostrzegłem, że ona mdleje z nadmiaru wrażeń. Nim zdołałem zerwać się na nogi, już leżała zupełnie bezwładna, w pozie tak olimpijsko czarującej, że do reszty traciłem władzę nad sobą.

Otrzeźwiło mnie dopiero przerażenie na widok jej ciągłej i zupełnej bezwładności. Zrozumiałem, że dziewica, kokietująca tak śmiało — musi być chyba zemdloną. Wówczas ogarnęła mnie prawie rozpacz. W całym domu panowała śmiertelna cisza. Wiedziony błogosławionym instynktem wyszedłem na palcach do sąsiedniego pokoju i namacałem w ciemności na jakimś stole karafkę. Powróciwszy co tchu do sali, zlałem śliczną kokietkę wodą aż zanadto szczodrze i otrzeźwiłem ją nareszcie. Spojrzała przytomnie, uśmiechnęła się, wypiła kilka haustów wody i usiadła o własnej sile. Wtedy bez pożegnania wyleciałem z tej sali, jak przestraszony jeleń, z błyskawiczną szybkością przebyłem szereg pokojów, potrącając w ciemności stołki i stoły, a znalazłszy się na ulicy, rwałem z kopyta w kierunku koszar. Dopiero pode drzwiami naszego pokoju poczułem w sobie jakieś ździebełko odwagi.

Moi koledzy grali, jak zwykle, w karty. W izbie

było tyle dymu, że wchodząc ze świeżego powietrza, z trudnością odróżniałem twarze grających.

— A, pan Zych! — zawołał mój osobisty nieprzyjaciel, Pociosek. — Cóż tam w Warszawie, bunt zaczyna się, czy odłożony?

— Cha! — cha! — cha! — wybuchnęli wszyscy trzej.

— Nie udawaj głupiego, panie Pociosek — powiedziałem, śmiejąc się jeszcze głośniej od nich. — Kto ma tak znakomite stosunki, kto potrafi porozumiewać się z buntownikami, nie budząc niczyjej podejrzliwości, jak to pan czynisz, ten o buncie musi wiedzieć najdokładniej.

— *Kak?!* — wrzasnął ten głupiec. Cisnął karty na stół i skoczył do mnie z pięściami.

— Ach, ty psie! — zawołałem po polsku w przystępie wściekłości. Chwyciłem go za gardło i powaliłem na łóżko. Biezdonyszkin i Zubcow rozbroili nas i poczęli uspakajać. Ochłonąwszy z gniewu, począłem zbierać myśli i szukać przyczyny tego powiedzenia Pocioska. Czyżbym się zdradził?

Wszystkie listy Janka, moje pisane do niego i notatki późniejsze miałem przy sobie. Musiałem przyjść do wniosku, że ten nikczemny chłopak nic o mnie nie wie, że użył takiego argumentu, ponieważ wydawał mu się w miarę silnym. Dwaj koledzy nie ustawali w namawianiu nas do zgody. Chcąc zbadać rzecz do gruntu, musiałem pierwszy podać rękę Pocioskowi. Rzucił mi się zaraz na szyję i, jak wszyscy ludzie obłudni, począł uniżenie prosić o zgodę.

— Czyż »rycerz« *(woin)*, czy człowiek honoru nie powinien wstydzić się rzucenia podobnej kalumnii na

współtowarzysza? — mówiłem, patrząc mu w oczy uważnie.

— No, palnąłem głupstwo, przyznaję, — ale ja żartowałem, a pan musiałeś natychmiast wystąpić ze swoim polskim *psem*, — odrzekł z junkierską boleścią.

— Brednie, dziecińśtwa! — wołał Biezdonyszkin. — Ot — wiecie co? na to się ludzie kłócą, aby się godzić. Bez rektyfikacyi odpuszczenie grzechów — to rzecz prawie niemożliwa. Wiem dobrze, — jako popowski syn... Słowo honoru! Mówię redy tak: — zróbmy składkę, ja pójdę po szklaną szyjkę... Zych — chcesz pić z nami?

Pierwszy raz ten płatny kontrolor swoich sióstr mówił do mnie *ty*.

— Ja zawsze piję z ludźmi honoru!

— Ot, to ja rozumiem! To po naszemu i po oficersku! A czemu to ty byłeś dotąd taki hardy, gadać z nami nie chciałeś? Nic dziwnego, że nam było przykro... Myśmy ludzie zwyczajni...

— Dosyć! — huknął tęgi Zubców. — Będziemy pili na zgodę, przyjaźń i braterstwo! Od dnia dzisiejszego mówimy sobie *ty*. Dobrze? Chcesz?

— Czyliż możecie o to pytać? — rzekłem z przyprawnem wzruszeniem.

— Chcesz, Zych, grać w *stukułkę?* — cicho i prawie ze łzami w oczach zapytał mnie Pociosek.

— Ależ nietylko w *stukułkę*... W samego czorta grać będę z takimi kolegami!

Biezdonyszkin wyszedł po wódkę, a my zasiedliśmy do tej głupiej gry.

Głupiej gry! Śmiałe a jednak niezupełnie ścisłe

określenie, bo przecież przez dwa ostatnie miesiące ta gra zajmowała mi wszystek czas, wolny od musztry, snu i spożywania posiłku. Nietylko zabierała czas, ale zabierała myśli i uczucia, podobnie, jak wrzód absorbuje wszystkie władze cielesne na swą wyłączną korzyść. Grywaliśmy nieraz po całych nocach. Zdarzały mi się znaczniejsze wygrane i przegrane. Pamiętam, że raz wygrałem od Biezdonoszkina 15 rubli. I tak wesoło upływał czas. Karty, śledź, wódeczka, panienka, albo dla odmiany: panienka, wódeczka, śledź, karty. Poznałem prawie wszystkich młodszych oficerów, bywałem u nich, pozawiązywałem stosunki przyjaźni z ludźmi głupszymi i wstrętniejszymi od szympansów. Nieraz po pijanemu staczałem z nimi haniebne dysputy, uczestniczyłem w monstrualnie bezmyślnych skandalach. Nareszcie pewnego razu ogarnęło mnie śmiertelne znudzenie. Wysłano nas do zimowego obozu. Pamiętam tę noc, spędzoną w okrągłym namiocie płóciennym z otworem u szczytu, tę noc bezsenną i dziwaczną. Leżałem pospołu z żołnierstwem w »g w i a z d ę«, nogami, albo głową zwrócony do ogniska, płonącego po środku namiotu. Kiedy głowę rozprażało ciepło ogniska — nogi kostniały z zimna. Wówczas zmieniało się pozycyę: nogi szły do ognia, a głowa na świeże powietrze.

Nikt z nas wtedy nie spał. Wszyscy paliliśmy papierosy i gwarzyli. Z początku bawił mnie ten cały dowcip, później opamiętał, wreszcie zaczął dręczyć. Ogarnęła mnie ze wszech stron ta ckliwa nuda, ta czczość, ta pustka wszerz i wzdłuż. Pojąłem wówczas, leżąc na śniegu i jak psina zanurzony w słomę, że całe moje dawne

życie, moja górna młodość, spokój sumienia, odgrodzony od wszystkiego brudu ziemi nieprzebytą fosą uczciwości, że moje zamiary, plany i wyobrażenia — niby olbrzymi pociąg uciekły po za moje plecy i zginęły w oddaleniu. Musiałem przed sobą wyznać, że we mnie nie ma już materyału, miazgi na człowieka takiego, jak Janek. I płakałem wtedy, jak pokutująca grzesznica.

Od owych nocnych marzeń datuje się epoka *welt-schmerz'u*. Stan ten nie słabnie, ale się wzmaga, »ciągnie się i szerzy«, jak powiedział tamten stary poeta. Jest to takie uczucie, jakbym się z furyą dobijał pięściami do czegoś, co jest moją własną duszą, a ona zawsze jednako brzmiała odgłosem zupełnej próżni.

Ach, gdybym na jedną przelotną minutę mógł zobaczyć twarz Janka i spocząć wzrokiem w tych oczach mądrych i miłosiernych.

* * *

17 maja.

Co godzina z burych, szybko pędzących tumanów zlatuje deszcz ciepły i rzęsisty. Drzewa, zmoczone aż do korzeni ukrytych najgłębiej, rozpuszczają wielkie liście. Na kasztanach zjawiły się stożkowate kwiaty, niebieścieją całe kępy bzów i bielą się po rabatach narcyzy. Gdy deszcz spada na urocze zarośla, słowiki zanoszą się od śpiewu. Może kąpiąc się w tym dżdżu, doznają rozkoszy, może on zaspakaja ich pragnienie, a może dokucza samicom, które szczelnie skrzydłami otulają gniazda.

Allegra pieśni tych szczególnych ptaszyn są coraz dłuższe i coraz bardziej rozmaite. Są w nich odbicia, czy odpryski głosu podobne do niezmiernie dalekiego echa tonu, co szybko ginie i zamiera między skałami górskiej przepaści. To znowu następują po sobie trzy akordy, niby trzy upadki ogromnych kropel w głęboką wodę, lub wylatuje w przestrzeń jęk okrutny, przeraźliwy, urwany, rozdarty, jakby zamknął w sobie otchłań ludzkiej boleści. Jęk ten rozpada się, rozlatuje, zaczyna naśladować ciche głosy, prawie szelesty, prawie szmery, których nie mogę wytłómaczyć inaczej, — chyba przyrównywując je do uderzeń serca, gdyśmy ujrzeli piękną kobietę i przeczuwamy, że ogarnia nas dla niej miłość bezgraniczna.

Z pokoju, gdzie siedzę (rozumie się za bilardem), i gdzie niniejsze sentymenty wypisuję, widać w kępie bzu tego nadzwyczajnego tenora. Drży, dygoce, zgina głowę, mocno obejmuje długimi palcami gałązkę i śpiewa bez odpoczynku, najprzelotniejszej uwagi na słotę nie zwracając.

Gdyby można przywieźć tu rozmaitych niedołęgów, takich naprzykład, którzy od dawna siedzą w więzieniach i myślą sobie, w sekrecie beznadziejnie myślą o wsi i o polach... Gdyby to można zezwolić, aby tylko przez dwa dni posiedzieli na murawie w cieniu drzew, — aby mogli posłuchać, jak śpiewają ptaki i jak szemrze woda, lecąc po kamieniach z przeźroczystego stoku... Gdyby to wolno im było przypomnieć sobie, że istnieje przestrzeń, że nad nieobeschłą ziemią wschodzi i zachodzi słońce, że na polach w ciepłych wiatrach kołyszą się młode zboża...

Majaczę... Gdzieżby na takie ekscesa mogli pozwalać

ludzie mądrzy, sprawiedliwi i przewidujący? Dziwię się nawet, jakim sposobem mogłem powierzyć atramentowi podobne westchnienie...

Wracajmy, wracajmy co prędzej na drogę statecznego rozumu i posłuszeństwa!

Wczoraj byłem widzem następującego *teatrum*.

Zdarzył się w naszej rocie żołnierz, obdarzony przez naturę nadzwyczajnie żywym temperamentem. Jest to wcale, na oko, przyzwoity chłopak, Małorus z pochodzenia, — wesoły, figlarny, kpiarz nad kpiarzami, — no, ale cokolwieczek złodziej i w pewnej mierze nałogowy pijak. Do tego stopnia lubi np. damskie towarzystwo, że gotów zastawić w karczmie nietylko państwową manierkę, buty, ale nawet mundur. Zanim wstąpiłem do wojska, on już był kilkakrotnie pod sądem wojennym i odsiadywał coraz dłuższe rekolekcye w kozie. Niedawno, powrócony na łono macierzystej roty, skroił znowu jakąś sztuczkę z damami i zastawieniem rzeczy państwowych, za co, jako niepoprawny, skazany został przez sąd pułkowy na chłostę. Po obiedzie dowódca batalionu kazał nam wystąpić pod bronią i udać się na miejsce musztry. Tam uszykowano batalion, formując zwarty i zamknięty czworobok. W środku znalazł się skazany, mnóstwo oficerów i jakiś jegomość w mundurze oficerskim: prawdopodobnie urzędnik z sądu pułkowego. Przyniesiono długą ławę i stołek polowy dla lekarza. Z tłumu oficerów wysunął się Wiłkin, usiadł na stołku i założył nogę na nogę. Po bokach ławy stanęli dwaj żołnierze z brzozowemi wiciami w ręku. Są to grube i długie na jakie trzy do czterech łokci gałęzie z cienkiemi odnóżkami. Zakomen-

derowano: prezentuj broń! Wówczas jegomość z sądu odczytał wyrok, skazujący naszego kolegę za pijaństwo, hardość, *duraczestwo,* roztrwonienie własności rządowej i tym podobne występki na 150 razów.

Odetchnąłem. Sentymentalne moje serce po prostu lękało się widoku np. 300 razów. Sto pięćdziesiąt »miotełek« — wielkie rzeczy! Za Jeroboama gorzej bywało. Bito wówczas bez czytania wyroku, bez asysty i kontroli reprezentanta nauki i, jak świadczą dzieje ludu wybranego, bito *basałykami,* czyli batami o żelaznych końcach. Nasza dobroczynna cywilizacya nietylko poobrywała żelazne końce batów, ale nadto i same *basałyki* zamieniła na *knut,* a ten ostatni na pędy rośliny tak niewinnej i poetom miłej, jak brzoza płacząca.

Srogooki feldwebel pomógł delikwentowi do z jednej strony całkowitego, z drugiej częściowego pozbycia się uniformu i do zajęcia miejsca na ławie w pozie nieestetycznej, co prawda, ale za to uwypuklającej bardzo dobrze część ciała, przewidzianą w danym wypadku przez prawo.

Nie jestem wcale tak zepsuty, abym nie rozumiał tego, że prezentując broń przez czas trwania operacyi, my wszyscy, widzowie, czciliśmy w tym wypadku przejaw potęgi prawa pisanego, ale zanim pierwsze razy padły i kiedy wszyscy mieliśmy oczy zwrócone na obnażonego, scena miała sens taki, jakby ta ogromna kupa ludzi oddawała z najwyższem namaszczeniem honory wojskowe — tym razem wystawionej manifestacyjnie na pokaz, a zazwyczaj zasłoniętej szczelnie okolicy ciała ludzkiego.

Rozległa się komenda Czeremisowa:

— Raz, dwa, trzy, cztery...

W przerwach między jednym a drugim rozkazem słychać było świst wici i głębokie westchnienie skazanego żołnierza. Jego białe, drgające ciało pokrywały gęste, granatowe pręgi. Nim oficer naliczył pięćdziesiąt, zaczęła krew tryskać. Po każdem podniesieniu i zamachu wici krew ta, strącona z gałązek, do których przylegała, padała kroplami na obecnych. Operowany kwiczał chwilami, jak prosiak. Kilkakrotnie usiłował porwać się na nogi, wskutek czego Czeremisow kazał go »potrzymać« towarzyszom i *misterium* odbywało się dalej w porządku.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że człowiek tak posiekany nie mógł w dostatecznej mierze panować nad rozmaitemi, najzupełniej zresztą zgodnemi z naturą, funkcyami cielesnej powłoki i przedstawiał się oczom naszym w postaci budzącej odrazę, co właśnie musiały mieć na oku mądre prawa naszego państwa.

Kiedy naliczono tego dobrego około stu, wici opadły. Byłem zdumiony. Czyżby nadeszło ułaskawienie? Toć wyrok naznaczył 150 uderzeń... Dowiedziałem się później od biegłego w prawie feldwebla, że skazanemu na rózgi służy przywilej rozłożenia kary na dwie raty. Nasz wczorajszy bohater miał swoje chamskie wyrachowanie i po odebraniu pierwszej porcyi owych stu »miotełek« pójdzie do szpitala, wypróżnuje się, wyśpi, wyleży, a dopiero kiedyś tam, gdy się rany zupełnie zagoją, skóra jego wydaną znowu zostanie na pastwę pięćdziesięciu uderzeń. Po drugiej operacyi znowu pójdzie do szpitala, znowu będzie sobie próżnował, spał, leżał jak król...

Tymczasem opatrzono go, zapięto i postawiono na nogi. Patrząc na tego człowieka, na bydlęcy wyraz jego

twarzy, przyszedłem do przekonania, że... *à la guerre comme à la guerre.*

Śpiewaj słowiczku! Kiedy słucham twych pieśni, wydaje mi się, że mam jeszcze mózg w czaszce, że jeszcze warto myśleć i czuć.

* * *

19 maja.

Zdaję egzamin na podoficera, musztruję tedy żołnierzy i mam ręce tak sforsowane od wykonywania ruchów karabinem, że pisać nie mogę. Upał... Za chwilę trzeba iść znowu. Zeusie! jakże to wszystko jest niezabawne...

* * *

24 maja.

Jestem podoficerem! Nareszcie mogę wcale nie chodzić na mustry. Wyspałem się dziś, jak odyniec. Teraz nic nie będę robił! Zanim się zaczną przygotowania do egzaminu oficerskiego i zanim nadejdzie czas manewrów, będę próżnował absolutnie, powstrzymam się nawet od pisania tych notatek. Niech tam wszystko jasne *pioruny* spalą! jak ma zwyczaj deklamować pewien mój znajomy, piwowar z zawodu. Przed południem spałem w lesie na tak zwanem cmentarzysku Jadźwingów. I Jadźwingów niech *pioruny* spalą. Wszystko mi jedno! Po południu idę natychmiast spać w zboże. Legnę w pierwszej lepszej

bruździe żyta i zabawię się tym porządkiem do wieczora. W owsie spać nie myślę, bo gotów mnie wytropić jakiś »cham« i poczęstować kołkiem. Jutro znowu pójdę na cały dzień spać w żyto. Ja jestem zupełnie osobno, a cały tak zwany świat zupełnie osobno. Niczem się nie będę zajmował, żadnymi tak zwanymi ludźmi...

* * *

2 czerwca.

Tak mi było dobrze, tak spokojnie!.. Sypiałem po rozmaitych miedzach, w krzakach albo w lesie, zajmowały mnie tylko mrówki, pędraki, paprocie i młode srokosze...

Przedwczoraj rano odnalazł mnie w obozie Izmaiłow i poprosił uroczyście na ślub swój z panną Zapaskiewiczówną. Zapomniałem o tej dziewczynie na śmierć od czasu moich *weltschmerzów* i nie widziałem jej chyba ze trzy miesiące.

Ślub odbył się wczoraj w tutejszej cerkwi. Ponieważ zapowiedziany był na godzinę piątą po południu, chciałem tedy dopiero o tej porze ukazać się w cerkwi i wyjść niezwłocznie po hecy. Ale znowu ten, wyznać trzeba, głupi Rogowicz zjawił się u mnie o czwartej i namówił do odwiedzenia domu państwa Zapaskiewiczów przed ślubem. Taki, powiadał, panuje w Wieprzowodach kodeks towarzyski. Usłuchałem go i poszedłem. W całym domu radcy tytularnego pełno było oficerów, wymownych żon oficerskich, urzędników i ich połowic w tureckich

szalach, obywateli miasta i innych figur zakazanych z minami szczególnego kalibru. Na kanapie siedział stary pop Anastazy z żoną, obok której skromnie kwitły dwie »maliny« — Natalia i Olga. Towarzystwo dystyngowane w całem znaczeniu tego wyrazu schroniło się na ganek, osoby nieco mniej wykwintne, oraz osoby z brudnymi paznogciami — już to uparcie i wytrwale sterczały w kątach salonu, już wysączały z kieliszków resztki wina, niedopitego przez roztrzepanych podporuczników. Wrzask wogóle był nadzwyczajny. Na dwu stolikach oficerowie grali w karty. Znaczna większość gości była już o tyle podchmieloną, że można było słyszeć wesołe piosenki. Śród ciżby przechadzał się pan Zapaskiewicz, łypiąc oczami i częstując gości drewnianym i bezmyślnym uśmiechem. Powitał mnie jakby z frasunkiem i odszedł zaraz, kierując swe wejrzenia i uśmiechy do osób bardziej ode mnie godnych jego szacunku. Panna Marya Kłucka przechadzała się po maleńkim ogródku z jakąś wysoko urodzoną przyjaciółką. Zobaczywszy mnie w otwartem oknie, zarumieniła się i, że tak powiem, straciła na chwilę możność czarowania oficerów. Złożyłem jej z daleka głęboki ukłon i pogrążyłem się w melancholię oczekiwania na koniec tego wstępu do sakramentu. Czekałem bardzo długo, bo aż do godziny szóstej.

Nareszcie drzwi, prowadzące do sypialni rodu Zapaskiewiczów, zamknięte dotąd, otwarły się szeroko i wyszła najprzód pogrążona w atłasy pani referentowa z miną taką, jakby wychodziła po to jedynie, aby zemdleć przy świadkach. Oczy jej zdawały się nikogo nie widzieć, grube wargi były zaciśnięte z wielką godnością. Za matką szła

panna Jadwiga w bieli, okryta nieskończenie długim welonem. Na twarzy jej nie widać było żadnych wzruszeń, ani cierpienia, ani smutku. Uśmiechała się spokojnie, obojętnie, witała zgromadzonych spojrzeniem chłodnem i poważnem. Panowie oficerowie przerwali grę i wszyscy obecni zbliżyli się gromadnie do panny młodej w celu złożenia jej życzeń, czy czegoś w tym rodzaju. Byłem ostatnim bodaj w kolei winszujących... Cóż było powiedzieć i czy godziwą było rzeczą mówić cokolwiek? Uścisnąłem jej rękę i rzekłem szczerze z głębokiem współczuciem:

— Życzę pani z głębi serca...

Nie mogłem namacać w myśli wyrazu na określenie owych życzeń z głębi serca. Przez całą chwilę mego namysłu patrzyła mi w oczy spojrzeniem ciężkiem, jak ołów, bezwładnym i zimnym wzrokiem ironii i dawno przecierpianej krzywdy. Z uśmiechem martwym, przez gwałt woli wywołanym na usta, odpowiedziała doprawdy niemiłosiernie mściwem słowem:

— »*Spasibo*« *).

W tym domu wesela wszczął się nagle zamęt tak wielki, że mogłem niepostrzeżenie wynieść się do ogródka, a stamtąd na pole. Szedłem miedzą w górę pośród zbóż podrosłych. Zwolna nadchodził zachód słońca. Łagodny wiatr przesuwał po niebie puszyste obłoczki o brzegach fioletowych. Zboża na działkach mieszczańskich i chłopskich uginały się, jak fale i mieniły w złotem świetle. Zdawało mi się, że ciągle słyszę ten wyraz...

*) Bóg zapłać.

— »*Spasibo*« — kiwały niebieskiemi głowami bławatki, »*spasibo*« — wołały koniki polne i cały ten rozległy widok, góry i wąwozy, drogi i chaty, łąki i lasy wołały za mną, jakbym był Piłatem, czy Kainem: »*spasibo*«, »*spasibo*«... Wśród głębokiej ciszy rozległy się dzwony cerkiewne. Najprzód mały dzwoneczek, bijący raz za razem dźwiękiem jednostajnym i przeraźliwym, a za nim po kolei cała ich zgraja uderzyła niby hymn tryumfu i potęgi. Uczułem w sercu boleść i przestrach. To już druga istota... Czyż z każdą szlachetną duszą na tej ziemi tak będzie? Wewnętrzna, głęboko chowana bojaźń mówiła mi, że tak będzie. Zdaje mi się, że *oni* to nazywają... niewolą.

* * *

22 czerwca.

Podoficerstwo moje jest, że się tak wyrażę, synekurą: nie wymaga spełniania obowiązków przywiązanych do tytułu, brzmiącego tak mile i do naszywek ze złoconego szychu, błyszczących tak żółto. Dźwignij niedbale rękę do czoła, gdy ci na ulicy prości żołnierze salutują, — oto wszystko. Korzystając z okoliczności tak dalece przyjaznych, wałęsałem się samopas po okolicy i uprawiałem bez przerwy obszerną niwę melancholii. Czasami, ale tylko czasami, widywano mnie na placu, gdzie hołota ćwiczy się w sztuce strzelania do celu. Czeremisow zwrócił w końcu uwagę na moje wolne próżniactwo i dał mi do wykonania przyjemną misyę, a mianowicie — kazał zna-

leźć w okolicy dwór taki, gdzie żołnierze z jego roty mogliby mieć na dogodnych warunkach zajęcie przy żniwie. Żadna na kontynencie głowa nie mogła wykombinować nic lepszego! Tego właśnie dusza moja pragnęła gorąco.

Przed tygodniem, przywdziawszy uniform najlżejszy, bo tylko żołnierską białą koszulkę bezpośrednio na kształty, wziąłem patyk w rękę i wymaszerowałem, co się nazywa prosto przed siebie. Gdziem ja nie był! Docierałem aż prawie do Buga, błąkałem się po najbardziej nieznanych drogach i ścieżkach i wstępowałem do przeróżnych siedlisk szlacheckich. Nie mogę powiedzieć, aby to był kraj nadzwyczajnie wesoły. Na piaszczystych zagonach rośnie rzadkie, płowe żytko, na sapowatych rozdrożach zielony owies — rychlik.

Między żytem a owsem bieli się tatarka i zielenią smugi pastwisk i łąk. Dokoła równy, suchy las wyciąga ramiona. A gdy się trafi gdzieniegdzie porządne pole za lasem, to możesz, wędrowny podoficerze, iść forsownym krokiem od południa do zmroku, nie spotykając po drodze ani wsi, ani człowieka, ani domowego zwierzęcia, ani nawet żandarma. Pole z jego lichem zbożem, przepaścisty piasek — »szczyrek« na drodze porżniętej kolejami, które plączą się i wiją w beznadziejnem poszukiwaniu twardszego dla kopyt końskich gruntu, nizkie sosenki, jałowce, kamienie i dopiero na końcu horyzontu las siwy. Zarabiając się w »szczyrku« po kostki, prażąc na słońcu, marzy wędrujący podoficer, że za owym dalekim lasem napewno ujrzy ziemię obiecaną, płynącą latifundyami i pałacami. A tymczasem za »*hajem zełeneńkim*« znowu płaska, pusta i przestronna równina... Dla odmiany i rozweselenia masz

tam »ogrody« szlachciców zagonowych, i gdzieś daleko w jakiejś dużej wsi — cerkiew moskiewską.

Dziwnie niesmaczne uczucia ogarniają przyzwoitego ateusza, który na te nędzne pola przypadkowo zabłądził. Któżby żałował zburzonych kościołów, któżby się nie cieszył z rozpędzenia na cztery wiatry wydrwigroszów w sutannach?

Szkoda jednak, że się to rozpędzenie odbiło tak mocno na plecach kultury. Niema co prawda sutan i rewerend, ale za to są *riasy*, niema tonzur, ale za to niestrzyżonych kołtunów, jak naprał. A my tutaj w Europie nie mamy wcale potrzeby sadzenia i pielęgnowania objawów cywilizacyi azyatyckiej. Przytem — jeśli się wsłuchasz w historyę tych pól, wpatrzysz w straszliwą i niezmierną noc pańszczyzny, w dzieje zażartego rozgrzebywania tych piasków nieurodzajnych na skwarze słonecznym i w słoty bezlitosne przez półnagie stada antropoidów, których jedynem uczuciem był smutek, a jedynym trybunem — Chrystus... Przed wiekami nauczyli się wierzyć w Pocieszyciela stokroć smutniejszego niż oni, w dobrotliwego Władcę, który nawet najbiedniejszych miłuje. Z obrazem Jego zrosła się mowa, obyczaj i cały zakres obrzędów. To też ta wiara ma korzenie długie, jak jałowiec — i panowie tyrani napocą się jeszcze, zanim ją wydrą.

Pierwszem dominium, o które po drodze zawadzić musiałem, był Ciapiec Lacki. Na krańcu, jakby rozległego płaskowzgórza stoi obszerny dwór murowany między kępami lip, topól i kasztanów. Duży zapuszczony ogród zsuwa się po pochyłości na dół, a otaczające go parkany docierają aż do stawu i trzęsawisk w nizinie.

Była może godzina czwarta po południu, gdy wszedłem na dziedziniec tego dworu w nadziei, że tam napewne ubiję interes. W cieniu grupy drzew, stojących przed gankiem na środku owalnego gazonu, siedziało przy stole dosyć liczne towarzystwo. Skoczyła przedewszystkiem na moje spotkanie zgraja małych i dużych psów; z wielkim trudem rozpędzili ją obywatele, zajęci roznoszeniem imbryków z kawą i tac z bułkami. Następnie zwróciły się na mnie oczy całego towarzystwa. Jedna z pięknych dam przyłożyła lornetkę i, pochlebiam sobie, nie żałowała podjętej w tym kierunku fatygi. Druga, wprawdzie bez lornetki, ale za to szczegółowo, jak przez mikroskop, oglądała mnie od czuba do obcasów. Odrazu poznałem, że te smaczne kobiety są albo zawiedzionemi mężatkami, albo wdowami haniebnie stęsknionemi. Obiedwie po wypiciu kawy powstały od stołu i, ująwszy się w pół, poczęły spacerować dokoła gazonu. Prowadziły półgłosem następującą rozmowę:

— *Vois tu ce petit russe? quel beau gars! Est-il assez bien fait celui là?*

— *Si... Mais quelle ampleur en pantalon!*

— Rzeczywiście — cha — cha...

— *Et quel ravissant duvet à lèvre... supérieure... ma foi, il est tout jeune!*

— *Tu te trouves mal?*

— *Pas le moins du monde! — plutôt, bien...*

— *Oh, oui! celui te suffirait probablement?*

— *Et à toi?*

— *Oh! après toi, sûrement non...*

— *Et avant moi?*

— Daj pokój... Czyż to nie warto połowy życia? Słyszałem urywki tego dyalogu w przerwach między jednem a drugiem zapytaniem samego dziedzica. Siwowłosy potentat rozpytywał mnie szczegółowo o warunki. Mówił licho po rosyjsku, ale usiłował kłaść akcenty na właściwych sylabach. Poznałem go odrazu: był na balu u pana Kłuckiego i grał w karty z pułkownikiem, gdy mnie stamtąd wyrzucano. Skarżył się przede mną na robotę żołnierską przy żniwie, zapewniał, że nigdy nie warto najmować »tego bydła«, a jednak usiłował załatwić interes. Chcąc mnie widocznie przejednać i zmiękczyć, kazał jednemu z synów, czy krewniaków, aby mi wyniósł kieliszek wódki. Podziękowałem dość szorstko i prawie bez pożegnania zabrałem się do odwrotu. W pobliżu bramy, wymijając piękne niewiasty, uchyliłem czapki z *nonszalancyą* i rzekłem mniej więcej po francusku:

— *Vous-êtes en erreur, mesdames, en me prenant pour un hercule... Ce ne sont que fausses apparences, rien que* pozory, łudzące pozory! *Adieu, mesdames...*

Urocze damy przybrały dostojne miny cnotliwych wdów, czy tam małżonek, i odeszły, rozmawiając o rzeczach wzniosłych, szlachetnych i pięknych. Wieczorem już przyszedłem do Czerniewa, folwarku p. Brzeszczotowicza, o którym, jak się później dowiedziałem, złośliwa fama głosi, że niegdyś wieprze pędzał do granicy pruskiej. Jest to niewielki człowieczek, łysy jak melon i wrzaskliwy, rzeczywiście jak wieprzownik. Przyjął mnie w swoim gabinecie. Biegał po pokoju, ogryzał paznogcie i patrzał na mnie z pode łba. Czasami zatrzymywał się i gadał, patrząc wtedy na sufit:

— Za nic na świecie! Czterdzieści kopiejek... Nie... Za co, za co? Niesłychane ceny!

— Jakto za co? Za czternaście godzin żniwa.

— To są zaiste niesłychane ceny!

— Aha, — caca — caca! Ja się będę zabawiał w rozczulania i pójdę w świat z torebkami...

— Ja pana przecież nie zmuszam do rozczuleń, — rzekłem wychodząc. Żałuję z całego serca, że w owej chwili nic nie wiedziałem o spacerach pana Brzeszczotowicza do granicy pruskiej... Byłbym mu przylepił takie słowo, że to — ha!

Trzeba było szukać noclegu w karczmie. Szynkarz tamtejszy pozwolił mi przespać się w stodole na świeżem sianie. Nazajutrz raniutko poszedłem w dalszą drogę ku Bugowi. Zawadzałem o wsie, prowadziłem rozmowy z brodatymi chłopami, o ile ze mną rozmawiać chcieli.

To tak wygląda ów »fakt dokonany!«...

Rzuciliśmy tę Ruś na pastwę czarnej reakcyi, nie mamy dla niej nietylko »ani jednej skałki«, ale nawet ani jednego uczucia, a ona, sierota, złem słowem nas nie wspomina. Jedni z nas umieją tylko wzdychać na wspomnienie o tej sprawie, ale nie stworzą nic nad to, inni nie zdążyli jeszcze wyszukać w niemieckim kodeksie i przetłómaczyć na polskie paragrafu, co do tych chamów. A ten paragraf napewno tam być musi... Ojcowie Jezuici gmerają kiedy niekiedy w tym interesie swymi niezawodnymi paznogciami... — Tymczasem naiwny Podlasiak bawi się w Pratuliny, Szpaki, Kornice i całkiem o to nie dba, że jest tym najśmielszym, tym bohaterskim junakiem, co pierwszy zaczepia wspólnego wszystkim nieprzyjaciela i szlachetną swą piersią »zgniły« zachód zasłania...

Nareszcie w Ciepielu rządca p. Przewalca najął do robót moich żołnierzy na warunkach pożądanych. Spisałem z tym obywatelem półurzędową umowę, wypiłem kilka szklanek piwa, nagadałem się o europejskiej polityce i pod wieczór wyruszyłem w drogę z mocnem postanowieniem maszerowania przez noc całą i przybycia do Wieprzowodów na rano.

W ciągu tych kilku dni słońce przepaliło mnie na wskróś, jak cegłę, a dokuczliwe widoki i obserwacye znużyły moralnie. Rad byłem bardzo, że już za Ciepielem niema ani jednej wsi rusińskiej, że już idę po ziemi czysto polskiej. Cierpienie ludzkie jest jakby chorobą naszej duszy. Nie patrzeć na nie, tracić je z oczu, znaczy powracać do pełni sił.

Wtedy egoizm roznieca w sercu jakąś ciągle tlejącą iskrę radości, której wspomnienie najbardziej ponure zadmuchnąć nie jest w stanie. To uczucie tak cyniczne i tak proste napełniało mą duszę, gdy szedłem szerokimi krokami ku Wieprzowodom. Zachód słońca zastał mnie na jednem z owych pól, o których wyżej była mowa.

Na wschodzie gromadziły się chmury ciężkie, granatowe, powleczone ponurym, rdzawym blaskiem gasnącej zorzy. Błyskawice latały po nich bez ustanku, a głuchy grzmot huczał, niby pod ziemią. Burza szła stronami, omijając spragnione deszczu »szczyrki« podlaskie. Kiedy niekiedy mała chmureczka odbiła się od stada, przeciągnęła szybko nad moją głową, rzuciła kilka dużych kropel, które spadły w sypki piasek pustkowia, ciężko, jak ołowiane śruciny — i pożeglowała na łeb na szyję ku dalekim błyskawicom.

Nastała noc ciemna, choć oko wykol. Zefiry, akwilony i zwyczajne wietrzyki ucichły, błyskawice migały coraz słabiej... Brnąłem po piasku z determinacyą, zgadzając się na to, że napiję się wody aż dopiero w Wieprzowodach, jeżeli notabene trafię do jakiego miasta i jeżeli przedewszystkiem dziki zwierz nie pożre mnie na tej puszczy.

Usiadłem na kamieniu przydrożnym, aby odpocząć i zapalić papierosa. Wtedy dosłyszałem dalekie — dalekie szczekanie psów w kierunku ukośnym do mojej drogi. Natychmiast ruszyłem w tę stronę i po upływie dobrej godziny zbliżyłem się do długiego łańcucha chałup. Skierowałem me kroki ku pierwszemu budynkowi i trafiłem na tylną wrótnię stodoły. Pić mi się chciało tak dalece, że nie zwracałem uwagi na niebezpieczeństwo, grożące moim łydkom ze strony zębatej i szczekającej nocnej straży tej wioski. Przelazłszy przez płot, z wielkim impetem wpadłem w gnojówkę, z nieporównaną zręcznością wyskoczyłem na brzeg i zbliżyłem się ostrożnie do okna chaty, w której świeciło się jeszcze. Spora gromadka bab, parobków, dojrzałych chłopów, wyrostków i dzieci stała lub siedziała w rozmaitych miejscach izby, na ławie pod piecem i na skrzynkach. Jakieś szerokie barki i kosmaty łeb zasłaniały połowę okienka. W kącie stancyi, na brzegu ogromnego *wyrka,* siedział stary chłop w koszuli i, nizko schylając głowę nad kagankiem naftowym, głośno czytał. Wymawiał słowo po słowie akcentem z podlaska śpiewnym, tonem uroczystym i żałością przejętym.

— We wsi Dołhobrody, w parafii położonej na granicy powiatów bialskiego i włodawskiego pod dyrekcyą

naczelnika Gubaniewa trzy roty dopuściły się tyranii. Włościanie na rozkaz dostawienia 60 wołów, przyprowadzili 69. Zapytani, dlaczego dają więcej, odpowiedzieli, że wszystko co mają oddadzą, lecz wiary łamać nie chcą...

— Ou — ou — ou... — wzdychali słuchacze.

»Wówczas we wsi liczącej przeszło półtorasta osad, naczelnik zebrał mężczyzn na pole i otoczonych wojskiem, kazał wobec innych rozciągnąć obnażonych po kilkunastu na ziemi i, dodawszy do każdego po dwu kozaków, ćwiczył dotąd, póki nie wymógł podpisu na przyjęcie Galicyanina *). Niektórym dostało się więcej, niż po 200 nahajek. Takie egzekucye praktykowały się w kilku miejscowościach. W Choroszczyźnie...«

Słuchałem uważnie tej historyi, oparty o ścianę. Nie jestem chłopomanem, nie rozczulają mnie przepocone magiery, ani zabłocone buty... Ale pomyśleć tylko... Jakaś czcigodna ręka przelała na papier to żałosne opowiadanie, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców ufają aż do śmierci, że przysiędze, jakiejś cnocie czy prawdzie należy wiary dochować. Tę myśl składał przy blasku płomyka gazu wyzyskiwany zecer, przenosił ją jako zabroniony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nieznany a na śmierć gotowy wyznawca swojej idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia, tam, gdzie chciało marzenie prawych i »*in tenebris lux lucet...*«

Właśnie, (wciąż stojąc pod okienkiem), przychodziłem do tak melancholijnych refleksyi, gdy nagle stała się

*) Popa apostaty z Galicyi.

rzecz, krótko mówiąc, straszna i niesłychana. Jak piorun z nieba zleciały na mój kark, ramiona, żebra, biodra, plecy i kołnierz, niewidzialne barbarzyńskie kułaki, schwyciły mnie w różnych miejscach, jak obcęgi, wywinęły mną w powietrzu, niby szczotką do czyszczenia butów i w ciągu nadzwyczaj krótkiego przeciągu czasu wniosły mnie do izby. Cały ten proces wybuchnął i odbył się tak szybko, że zaledwie zdążyłem zamknąć oczy i pomyśleć:

— Aha — nadeszła chwila! Trzeba będzie, zdaje się, trzasnąć kopytami i wyzionąć ducha w ofierze »za szybkie, pomyślne i zupełne zrusyfikowanie tego kraju...«

Otworzywszy oczy, ochłonąłem cokolwiek. Otaczała mnie wprawdzie grupa parobków z groźnemi minami i pięściami, wymownie ulokowanemi na moim karku, ale nie miała zamiaru odbierać mi życia bez sądu i natychmiast. Po prostu te chamy stały i patrzyły na mnie — no i ja również stałem i patrzyłem na nich.

Koniec końców rzekłem pierwszy:

— Dobry wieczór, chłopcy! Cóżeście mnie wnieśli do izby tak ostrożnie, jak koszyk z jajami?

— My takie jaja, co pod *oknamy* łażą i podpatrują, nieraz tłuczemy *teeż!* — zaśpiewał jeden z gromadki, mrugając ku mnie lewem okiem bez cienia uczuć przyjaznych.

— Przez szyby to tylko złodziej może zaglądać, a ze złodziejem to jest krótka sprawa — rzekł drugi, patrząc obojętnie na koniec mojego nosa.

— Jeszcze *bełwan* po polsku będzie mówił — widziałeś?.. — mruknął ktoś z kąta.

Tymczasem ten, co mnie najsilniej, o ile sobie mogę

przypomnieć, trzymał w objęciach, nieznacznie przysunął się do łoża starca i rzekł do niego półgłosem:

— Piechotny... *jąkier*...

Stary chłop wyjął skądś grubą księgę, podobną do mszału, rozłożył ją nabożnie i począł czytać:

— »Boże, wszystkich wiernych Pasterzu i Rządco, wejrzyj dobrotliwie na wszystkie stany państwa ruskiego«, (to *russkiego* wymówił z ogromnym naciskiem), »i królestwa polskiego i łaski im swojej miłościwie udzielaj, aby wszyscy we wszystkiem ku dobru powszechnemu zmierzali i z drogi prawdy Twojej nie zbaczali...«

Zauważyłem, że czyta zupełnie inaczej. Poprzednio z nielegalną broszurą było mu daleko poręczniej, wysławiał się doskonale po polsku, najtrudniejsze wyrazy wypowiadał płynnie i czysto. Później wodząc palcem po tej książce do nabożeństwa, udawał głupiego, sylabizował mozolnie, bąkał, stękał, umyślnie przekręcał zwyczajne słowa.

— My sobie tu czytamy takie modlitwy, panie żołnierzu — rzekł do mnie z dobrodusznym uśmiechem.

— A widzę...

— Skądeście też, panie żołnierzu?

— Jestem z Wieprzowodów. Chodziłem po dworach z zapytaniem, czy gdzie nie wezmą sołdatów do żniwa.

— Z Wieprzowodów? — powtórzył pytająco starowina.

— Ehe. Jestem Polakiem. Z musu odsługuję wojskowość. Szedłem drogą tamtędy do lasu, usłyszałem szczekanie psów i zboczyłem tu do was, bo mi się bardzo

pić chciało. Dajciez mi z łaski swojej półkwarcie wody, napiję się i pójdę dalej, a wy czytajcie sobie z Bogiem tamtą książeczkę. Nie macie się czego obawiać, ja was nie zdradzę.

— Jakąże to niby książeczkę? — zapytał stary lis, przybierając minę jeszcze głupszą.

— Tamtę o Gubaniewie i Kutaninie...

— Tak jakoś gadacie, panie żołnierz, że nic nie mogę zrozumieć. Czegóż wy od nas chcecie? Słyszyta przecie chłopcy, że ciągiem plecie: czytajcie książeczkę...

— A cóż nie mamy słyszć? Słyszymy! — odpowiedzieli chórem.

Usiadłem na ławce pod oknem i zamilkłem.

Okropną rzecz rozsiali pośród nas ci Moskale: między jednym a drugim człowiekiem nastawiony jest, dzięki im, puginał zdrady, nieufności i podłej trwogi, w oczach siedzi trucizna podejrzenia, a cała nasza mowa stała się wyrazem jednego uczucia: obłudy. Czemże mogłem udowodnić tym ludziom, że nie jestem szpiegiem? Czy jest na ziemi i w niebie taka świętość, którejby ci wrogowie w ich oczach nie zdeptali nogami, albo nie uczynili przedmiotem handlu? A czyż mogłem odejść stamtąd, przerwawszy im czytanie świętej historyi i zostawiając po sobie wspomnienie wroga? Chwyciła mnie za gardło taka zażarta mściwość, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyłem w życiu. Zacząłem rozpowiadać o wszystkiem, com wiedział, a więc: o unii, o prześladowaniach, krzywoprzysięstwach, wylanej krwi, o tem, jak być powinno...

Kiedy zacząłem mówić o tem, jak być powinno, oni wspomnieli... o Polsce.

Co to jest Polska? Grupa etniczna, republika demokratyczna, rozwój przemysłu?... Tak, tak... Stał człowiek na przyzwoitem stanowisku klasowem, a teraz zacznie brać w rachubę wyobrażenia i mgliste przeczucia bezklasowych chłopów... No! — ale słyszałem przecież na własne uszy wyrazy tych marzeń, tych tęsknych przeczuć i — do cholery! — łzy mnie duszą...

Musiałem gadać przekonywująco, skoro mi tacy ostrożni ludzie zaufali. Nie od razu się to jednak stało. Stary najdłużej trzymał się nieufnie. Wpatrywał się we mnie wzrokiem bezczelnie badawczym, coś żuł, mruczał pod nosem, ciągle wspominał o pańszczyźnie i o darowaniu, wówczas nawet, kiedy młodsi już mnie przyjaźnie rozpytywali. Nareszcie zmiękł i on.

— Tak to, tak... — zamruczał. — Nie co innego se myślał i ten... Kościuszek. Znacie go?

Zasłaniając sobie usta jedną ręką, drugą wskazał na obrazek, wiszący nad łóżkiem w ciemnym kącie między świętymi bohomazami.

Z każdej zmarszczki pergaminowej twarzy dziada śmiał się ciągle figiel, a w oczach świecił jasny, przenikliwy rozum.

— My se ta sukmaniarze jesteśmy, a przecie swoję rzecz wiemy. Jużci jakby on był za dziesiątą granicę toto wygnał, toby teraz batami ludzi nie rżnęli.

Zacząłem się żegnać z tymi ludźmi i prosiłem, aby mi dali kogoś, coby mi wskazał drogę do Wieprzowodów. Starzec zaczął wołać na wnuczka drzemiącego na skrzynce przy łóżku:

— Pietruś! słyszysz, Pietruś!

— Hy?— mruknął chłopak, przecierając oczy.

— Pietruś, *chodzi* tu.

Dwunastoletni pędrak zbliżył się do dziadka, który wskazywał na mnie palcem i mówił:

— Pietrek — widzisz go! — Sołdat...

— Yhy...

— Moskal.

— Ale Moskal! Po polsku gada.

— Po polsku gada, podlec, a po moskiewsku myśli.

— Ij — stulcie gębę!

Stary wykrzywiał się zabawnie i chichotał.

— Pietruś, — twój ojciec w jakiem wojsku służył?

— Niby nie wiecie? — W moskiewskiem.

— A twój stryjek?

— No! w moskiewskiem.

— A dziadek! Niby mój ojciec?

— To się pradziadek nazywa. Pradziadek w polskiem.

— A ty w polskiem będziesz służył?

— W polskiem.

— Chi, chi, chi... A będziesz *żgał* Moskalów!

— Będę!

— Jezusieńku! Za co?

— A bo to ony tatusia nie zeprały *kijamy?*

— Chi, chi, chi...

— Nie boicie się uczyć malca takich rzeczy? — zapytałem. — Wygada się przed złym człowiekiem i biedę wam na kark sprowadzi.

— Jabym się ta i bał, ale kiedy mi się już i nie chce strachem se głowy zaprzątać na starość. Jużciż ostrożność — pierwsza rzecz, ale ta i mój wnuczek nie kukułka. Wie on dobrze, co do kogo gadać — nie bójcie się.

Niedawno tu dostałem był *powiastkę*, żeby się na tychmiast stawiać do naczelnika żandarmów. Słabowałem wtedy, po drogach topiele stały, bo to jakoś w wielkim tygodniu się trafiło. Nie poszedłem. Masz, myślę sobie, psubracie, interes, to pójdź do mnie. Ja ta już stary, gnaty *me* bolą, osobliwie pod *wiesnę*.

A no i przyszło ich chyba z piętnastu. Bobrowali po skrzyniach, pod *dachamy*, dyle odrywali, jeden to aż do pieca chlebowego łeb wściubiał, gębę sobie zamorusał, a u mnie narącze książek leżało w drewutni, między statkami. Tylko mi dymisyę zabrały, com ją miał po ojcu. Pod Madalińskim był *sierżantem*... Miałby był oto Pietrek pamiątkę po mnie.

— Cóż to były za książki, że trzeba je było aż do drewutni chować? — zagadnąłem.

— Takie se ta książki, różne... To o tem, to o owem. Drukarz się widać zdrzemnął, zapomniał, że trza stawiać *„dozwoleno cenzuroju"*, — no, i przyszło je pochować. Będę to robił ambaras panu naczelnikowi? A skąd, a jak, a od kogo, a po co? «Jego białobrodzie» i tak ma z nami dosyć utrapienia — chi, chi...

— Możebyście radzi przeczytać teraz coś nowego?

— A ja ta zawsze rad. Leżę w izbie, dzieci mi się porozłażą do roboty, to sobie i czytam, a wieczorem zejdą się do mnie ze wsi ciekawscy, to im znowu baję, co wiem.

— To ja tu, uważacie...

Poszeptaliśmy ze sobą kawałek czasu. Dziwny chłop, taki chłop — no — no! Ścisnąłem mu na pożegnanie rękę, jak najbliższemu przyjacielowi. Wtedy kiwnął jeszcze na mnie palcm i szepnął mi do ucha:

— Nie znacie wy tam w Wieprzowodach córki jednego urzędnika z powiatu, Zapaskiewicza? Jadwiga jej na imię.

— Znam — odrzekłem.

— Najlepiej, jak co, — jej oddać. Więcej nie trzeba. Powiedzcie jej, że teraz jedna litera nie pójdzie i że Błażejowa w Drohiczynie. Więcej nic, tylko tyle: teraz nie i Błażejowa w Drohiczynie. Ona ta już będzie wiedziała co to znaczy.

— Nie wiem, czy się z nią będę mógł zobaczyć, bo wyszła za mąż.

— Za oficera?

— Aha!

— Ulina! — krzyknął do synowej, która w sieni z kimś rozmawiała, — Ulina! Wydały *Jagodę* za tego bez nosa...

— Wydały... — westchnęła żałośnie ta kobieta, a za nią kilka jeszcze osób w sieni.

Szybko ich wszystkich pożegnałem i wybiegłem z tej chałupy. Wnuczek Pietrek dreptał obok mnie, aż na koniec wsi. Wskazał mi wązką drożynę na prawo i pędem wrócił do domu.

Była już pewno północ. Nieznana mi okolica leżała w mroku. Bielał tylko przede mną pas drogi na przestrzeni kilku kroków i niezmierzona mleczna droga na niebiosach. Zdawało mi się, że ciemność nie tylko mnie otacza, ale że idzie przeze mnie na wskróś, jak idzie przez wodę.

Miękkiemi, niewidzialnemi piórami swych skrzydeł dotykała każdej myśli i gasiła iskierki pociechy. I myśli rozprószyły się, a potem wsiąkały w bezgraniczny mrok żalu. Czułem w sercu powolne, na dnie, tygodnie, miesiące i lata rozłożone podlenie nieocenionych uczuć panny

Jagody, wszystek ich bezsilny, rozpaczliwie beznadziejny opór. Cóż ją ma wesprzeć, co ogrzać? Czyż jest śmierć tak straszliwa, którąby się równała życiu tak nędznemu? Mężnie jak Dawid samotna szła «w imię pańskie» naprzeciwko wroga, a my wszyscy, którym nieszczęście odebrało rozum, związaliśmy ją naszemi prawami i oddali do łoża temu właśnie wrogowi...

Nie pamiętam, jak długo się wlokłem. Gdy ciemność znikać zaczęła i pierwszy brzask stanął nad dalekimi lasami, spostrzegłem, że zbliżam się do Wieprzowodów. Byłem na jednym z pagórków, otaczających miasto. Szary zmrok panował jeszcze w kotlinie, z której wznosiły się i widniały tylko dwie wyniosłe wieże cerkwi, nadzwyczajnie podobne z daleka do dwu kominów samowara z dwoma na szczytach «tulskimi» czajnikami. Stanąłem na owem wzgórzu i rozmyślałem, jak okrutnie długim jest czas mego życia, spędzony w tem miasteczku. W szczęśliwych krajach dziesiątek lat takby człowieka nie pochylił ku ziemi... Brylantowe strzały uczuć i pragnień, co je serce wyrzucało w nieskończoność tak jeszcze niedawno, wszystkie zleciały i ostrymi grotami utkwiły w tem samem sercu, zadając mu doprawdy krwawe rany. Strasznie szybko żyjemy w niewoli. Jeszcze się włos nie wysypał na brodę, a już nam tęskno do śmierci....

* * *

Obóz pod Krępą.

2 września.

Jak to dobrze mieć własny namiot, spać na dywanie i nie wystawiać ani kawałka grzbietu na słońce! Jeszcze

nie wydychałem z płuc wszystkiego pyłu, jeszcze mię boli każda kość z osobna. I taki pan pochodzi wprost od sarmatów, którzy pod Wiedniem i gdzieś tam jeszcze... Pędraki obrzydliwe — nie ludzie! Sławny nasz pułk wyruszył z Wieprzowodów 25 z. m. Pochód do Siedlec zabrał dwa dni czasu, a stamtąd na miejsce — okrągłe trzy. Szliśmy po sześciu w szeregu, jedną długą, nieskończoną szosą. Nie widziałem zupełnie okolic, które przebyłem. Za grzechy dowódców (a zapewne najosobliwiej sztabs-kapitanów) zesłał Pan Bóg takie gorąco, takie upały, jakich nigdy jeszcze nie doświadczono o tej porze w siedleckiej szerokości geograficznej. Żar leciał z nieba na ścierniska, na badyle kartofli, a przedewszystkiem na tę szosę przeklętą. Stąpanie całego pułku ludzi, kilkudziesięciu koni, ciągnących furgony, kuchnie, szpital i oficerskie wozy, wzbijało kurz nieprzejrzany i niesłyszany. Przynajmniej ja nie miałem wyobrażenia o czemś podobnem. Czapka, tornister, spodnie i buty towarzysza, postępującego tuż o krok przede mną, zlewały się z otaczającym kurzem tak zupełnie, że stanowiły tylko jak gdyby twardą, zbita, skonsolidowaną bryłę tego samego żywiołu. W skąpem, szarem polu widzenia ciemnemi kresami znaczyły się jedynie lufy i bagnety karabinów. Ludzie szli jak automaty, a stękali jak bydło. Każdy z nas miał oczy zamknięte, a nos zupełnie zatkany barykadą pyłu, wskutek czego oddychał otwartemi ustami i otwierał je raz za razem. Doznawałem ciągle złudzenia, że gardło mi się rozdęło, że jest daleko grubsze, niż głowa, i że mi się w niem żyły lada chwila porozdzierają. W skroniach czułem nieznośny ból za każdym krokiem, jakby ktoś gibkim, cie-

niutkim, wiklowym prętem chłostał mnie z całej mocy w te miejsca czaszki. W płucach literalnie wyczuwało się ziarna piasku, no, a w mózgu panował zamęt całkowicie waryacki. Koledzy moi nie szamotali się tak bardzo. Szli mniej więcej przykładnie, a mdlał zaledwie jakiś czterdziesty, pięćdziesiąty. Za to «kurzą ślepotę» będą mieli w tym roku, zdaje się, wszyscy. Najłagodniejsze wzniesienie gruntu, najbardziej nieznaczne dźwiganie się drogi ku górze tak dalece powiększało fatygę, jakby się człowiek wdrapywał na stromą wyniosłość. Pot leje się strugami, rynnami, kanałami, wodospadami... Tornister odparza plecy, wskutek czego formują się tam grupy wrzodzianek, niesłychanie dokuczliwych; nogi bolą, człowiek cuchnie i uczuwa fizyczny, nieprzełamany wstręt do sąsiada; w ustach niema śliny, a język niby zeschnięta, chropowata drzazga obciera się o potrzaskane wargi i szorstkie dziąsła. Smugę szosy, wysłaną miekką i grubą na kilka cali warstwą pyłu, zakończoną po obu brzegach obrębem spalonej murawy, upiększają i urozmaicają tylko pryzmy tłuczonych kamieni i słupy wiorstowe. Pryzmy i słupy, pryzmy i słupy!...

Gdy daje się słyszeć odgłos kroków i turkotu furgonów, — to znaczy, że idziemy przez las.

Kto może, wytęża wówczas wzrok i przez zasłonę pyłu stara się przynajmniej z daleka cień zobaczyć. Ale dostrzega tylko nikłe sylwetki figur drzew i nic więcej. Jednem słowem — istota tak nadzwyczajnie inteligentna, jaką ja jestem — zmuszoną była przez władzę do naśladowania uczuciami, pragnieniami i popędami (jeżeli już nie wypada się przyznawać, że myślami) koni, baranów, owiec, wo-

łów (jeżeli już nie wypada się przyznawać, że i osłów). Istota tak nadzwyczajnie inteligentna pragnęła porzucić karabin, zdjąć mundur, czapkę, buty *et caetera,* oddać komu należy wszystko, co należy do cekauzów cywilizacyi — i w sposób chociażby najpierwotniejszy, najwyraźniej stwierdzający teoryę ś. p. Darwina — pójść do lasu na trawę.

Wytężałem wszystkie siły, żeby wytrwać do końca. No i wytrwałem. Chwyciły mnie mdłości i obaliłem się na ziemię. Zawołano felczera i ten mnie odprowadził do wozu z czerwonym krzyżem. Takie wozy idą na samym końcu pochodu już w stosunkowo mniejszym pyle. Wydostawszy się na nieco lepsze powietrze, oprzytomniałem jako tako i mogłem iść dalej. Wymijały mnie furgony, wozy z różnemi żonami oficerów, bryki pułkowe, okryte budami z żaglowego płótna i t. d. Opuściwszy uszy, lazłem w cieniu jednego z takich wehikułów krokiem wcale nie podoficerskim, melancholizowałem sytuacyę, gdy z nagła tuż nad mojem uchem rozległ się wesolutki okrzyk:

— *Kikiryki!...*

Z oburzeniem podniosłem oczy do góry i ujrzałem wysuniętą z budy twarz Wiłkina. Uchylił brzeg płótna i przypatrywał mi się jednem okiem bardzo poważnie.

— Wymioty cię stargały republikaninie? — zapytał po upływie sporej chwili czasu.

— Doktora już widzę wódka stargała do reszty? — odciąłem się z gniewem.

— Słyszane rzeczy? To maleństwo już się umie gniewać. Ktoś mi rozpowiadał, że on nie tylko potrafi ubliżać,

ale się już kocha bez wzajemności, — nie wierzyłem, a to jednak najoczywistsza prawda. Piszesz dla Izmaiłowej ballady, czy sonety?

— Ja piszę tylko satyry na głupców.

— Bardzo dobrze moje dziecko. Tak postępowali najwięksi poeci. Jak tylko Beatryks poszła za pierwszego lepszego naczelnika straży ziemskiej i straciła swój czas, co właśnie ma miejsce w historyi twej miłości, — zaraz pisali satyry na głupców, z pychą wieszczom właściwą, siebie stawiając na pierwszem miejscu w tym szeregu...

— Jakąże to drogą doktor przyszedłeś do posiadania takich sekretów? — zapytałem, zdaje się, ze łzami w oczach.

— Sekretów? Toż szczęśliwy Izmaiłow przez tydzień latał z tą wiadomością po całem mieście, jak kot, gdy mu ogon wszczepić w patyk. Podobno naczelnika dywizyi drogą urzędową zawiadomił o pomyślnych skutkach zabiegów około powiększenia zastępów wielkiego rosyjskiego ludu, który, jak ci zapewne wiadomo, odrodzi i uszczęśliwi w niedalekiej przyszłości «zgniły zachód».

— I cóż ty na to, Romeo?

Nie odpowiedziałem ani słowa.

— Słuchaj, ty Zych — ciągnął dalej, — u was wszystkie Julie takie łakome na odgniłe nosy moskiewskie? Jeżeli tak — to twoje sonety i elegie oceniam *suma sumarum* na grosz. Niema innej rady, tylko pluń, przejdź na prawosławie, albo, nie zwlekając, zakochaj się w Minnie Kupferchmidt. Ona pochodzi z tego samego narodu, co Henryk Heine... Rozumiesz: klin klinem. A zresztą — jaki ty nudny jesteś i z romantyzmem i z «polską intrygą»

i z temi uczciwemi oczami. Żeby ciebie już raz z pułku dyabli wzięli! Kiedy się od nas wyniesiesz nareszcie?

Ponieważ wcale mu nie odpowiedziałem, więc cofnął się w głąb budy. Szedłem obok jego wozu aż do miejsca t. zw. dniówki.

*
* *

4 września.

Jest to, zaprawdę, kolosalna scena! Na równych polach, pomiędzy folwarkiem Krępa i miasteczkiem Maciejowice umieściły się te trzy pułki naszej dywizyi, które już wypoczęły, i odbyła się pierwsza, wstępna niejako ich rewia. Pułk czwarty wypluwa jeszcze piasek. Stałem w szeregu, oczekując wymarszu, na łagodnej wyniosłości i mogłem bardzo dobrze obserwować szyk i sprawność tej machiny. Ma ona kształt litery E.

Południowe ramię tej litery kierowało się ku zachodowi i zajmowało przestrzeń między Podzamczem i błotami, korpus główny stał prostopadle do tego ramienia na przestrzeni pewnie trzech wiorst, a ramię północne, na którego końcu i ja, uzbrojony w karabin, odgrażałem się wrogom zewnętrznym, oraz wewnętrznym, lokowało się na wydmuchach po wyrąbanym lesie, upstrzonych pniakami. W środku błyszczał sztab, oczekując na przyjazd komendanta dywizyi. Sterczeliśmy tak, Bogu dzięka, ze trzy godziny. Dopiero około pierwszej ukazał się powóz od strony Sobolewa. Wtedy z kupki oficerów wyszedł ktoś błyszczący. Mignął na słońcu jego pałasz i jednocześnie, jak mogło ucho pochwycić, na całej linii rozległa się

komenda podpułkowników, stojących przed szeregami na koniach: — prezentuj broń! Błyskawica, kiedy się wali z chmur na ziemię i wstrząsa posadami całych okolic, nie migoce tak jakoś strasznie, jak bagnety i lufy karabinów, w jednem mgnieniu oka sprezentowanych przez ośm tysięcy ludzi... No, — a przecież *ce sont des „pustiaki“:* ośm tysięcy ludzi... Jest to zaledwie jakby maleńkich rozmiarów manometrzyk olbrzymiego kotła, na którym stoi cała fabryka. Śpijcie spokojnie, szanowni panowie *burżuje*... To całe pole, ledwie okiem objąć się dające, podobne było do jakiegoś zwierza, okrytego «szczeciną ze stali», jak powiedział pewien «Byron z duszą rosyjską». Co do mnie, to z całą serdeczną otwartością wyznaję, że mi na ten widok «*rura*», czyli fantazya unteroficerska na amen zmiękła. Jeżeli kiedykolwiek uczuwałem pohop do zdrady, to wówczas właśnie. Biedna *kanalia!* Z nagiemi piersiami, osłoniętemi przepoconą bluzą, ze zwiniętym kułakiem na tę ostrą »szczecinę»... Przygasły od pyłów fabrycznych wzrok jej musi spotkać się z tym błyskiem...

*
*   *

6 września.

Zaledwie dziś około południa powróciłem z manewrów do budy i nie umyty, zakurzony jak pocztyljon rzuciłem się na posłanie, gdy nadszedł posługacz Wiłkina. To duże, niezgrabne chłopisko dygotało na całem ciele i łzy miało w oczach.

— Czegóż ty chcesz? — zapytałem.

— Doktor was woła, chodźcie, bardzo woła!

— Po co?

— Nie mogę wiedzieć, chodźcie!

Udałem się tedy aż pod Maciejowice, nie zwlekając. Gdym wszedł do namiotu doktora, żałosne oczom moim ukazało się widowisko: leżał na posłaniu skulony, usta miał bezwładnie rozwarte... Tylko ceglasty wypiek na lewym policzku wskazywał, że jeszcze życie nie uciekło. Stanąłem u wejścia. *Dieńszczyk* począł dosyć głośno odmawiać modlitwę. Powieki doktora uchyliły się z ciężkością i zaraz wykrzywiła jego usta tak bezgraniczna boleść!... Nigdy jeszcze nie widziałem na twarzy ludzkiej podobnego wyrazu. Kiedy się nad nim schyliłem, dźwignął rękę i chudymi, zimnymi, sztywnymi palcami z mocą, na jaką go stać było, ścisnął mi końce palców. Zwrócił potem na mnie oczy pełne łez, smutku prawdziwie śmiertelnego i jakiegoś błagania czy miłości... Usta mu drgnęły i wyszeptał:

— *Prosti...*

Dziwny wyraz, bo znaczy zarazem: przebacz i żegnaj na zawsze.

Gdy umierający przymknął znowu powieki, jakby dla powstrzymania łez, co cienką strugą toczyły się po jego policzku, — wyszedłem stamtąd i udałem się do starszego lekarza. Tamten jadł właśnie obiad i trzeba było czekać blizko godzinę. Usiadłem na brzegu jednego ze stawów obok parku Podzamcza, no i czekałem, wiedząc aż nadto dobrze, że to wszystko trzech groszy nie warto. Śliczny był dzień. Ostatni raz słońce spoglądało na ziemię i ukośne jego promienie przesuwały się ze smutkiem po czarnych smugach piasku, po stajankach zeschłych ba-

dyli kartoflanych, po ścierniach. Czerwone, rdzawe, brunatne, jasnożółte i płomieniste barwy okryły park przecudny. Suche liście, niby łzy drzew, spadały na ziemię. W przestrzeni czystej, na niciach pajęczyn leżało jakieś słowo, czy zdanie, jakaś myśl okrutna, tyrańska, podła.

Starszy lekarz najadł się koniec końców i wyruszył w celu ratowania kolegi, sapiąc i wyklinając piwo i baraninę. Gdyśmy się zbliżali do namiotu Wiłkina, już było po wszystkiem. Posługacz stał z gołą głową przed wejściem i żegnał się nabożnie.

— No? — zagadnął dr. Piestricyn.

— Pan Bóg się zlitował, *Wasze Wysokorodje.*

-- Nie oddycha?

— Nie inaczej *Waszeskorodije.*

Piestricyn wszedł do namiotu i zaraz potem wycofał się, kreśląc ręką przed nosem i zatłuszczoną jeszcze brodą coś w rodzaju znaku krzyża.

Szedłem powoli, czując na sobie wielki ciężar samotności i głębokie rozdarcie moralne. Byłem jakby schłostany rózgami, napojony goryczą i wstydem. Już nic nie mogłem postawić we własnych myślach naprzeciwko tych wszystkich zjawisk. Na duszy mojej usiadła i wpiła się w nią żądlem, jakby zła mucha, która przed chwilą ssała zatrute, ostatnie uczucia konającego Wiłkina. Czułem ten jad padliny, jad podłości we wszystkich moich żyłach. Nie był to już dawny *weltschmerz!* Wtedy, dawniej wyczuwałem po za sobą ogniska święte i nietykalne znicze. Istniał dla mnie Janek, panna *Jagoda*. te bluzy, guńki, łachmany, a w owej chwili wszystko to w śmiech się obracało. Jeszcze chwila i z lekkiem sercem plunąłbym był

na pamięć Janka... Alboż nie głupiec, alboż nie śmieszny głupiec? Jego los powinien być przestrogą i środkiem trzeźwiącym, a nie podnietą... Minąłem właśnie Krępę, brnąc środkiem piaszczystego gościńca. Za ogrodem folwarku ciągnie się kawał dzikiego trzęsawiska. Na suchych kępach w sitowiu i wodnym chwaście stoją gdzieniegdzie olszyny, a pośród nich widać kopiec i krzyż. Cały ten obszar otacza płot gnijący. Stare wrota pochyliły się, wlazły w miękką glebę, zabito je tedy na głucho bretnalami i zawalono tarniną. Przeskoczyłem płot i poszedłem ku krzyżowi. Ścieżka zginęła w zaroślach łopianu, pokrzyw i ostu, na rowie deska zgniła.

Stoi kopiec niewysoki pośród kęp gęstej olszyny i tarek, a rośnie na nim dzikie ziele i paproć. Na samym szczycie usycha krzak głogu dzikiego, dawno przez kogoś posadzony i oddawna przez wszystkich zapomniany. Przed kopcem, od strony gościńca wyciąga ramiona krzyż modrzewiowy z napisem.

«Na cześć braci poległych za Ojczyznę
w dniu 10 października 1794 roku».

Odczytawszy te słowa, przypomniałem sobie dopiero, że stoję na miejscu maciejowickiego pogromu. Tędy nastąpiły na Europę i jej kulturę hordy Kałmuków, pojmawszy w tem bagnie najlepszego, najczcigodniejszego jej obywatela i obrońcę. Nieoceniona krew Tadeusza Kościuszki, którą na tem miejscu przelał, zawołała na mnie z ziemi. Z ostrym bólem w sercu i z płaczem dotknąłem ustami piasku mogiły. Nareszcie poznałem ją, zrozumiałem, co ona jest i uwielbiłem na zawsze — tę Ojczyznę.



ŹRÓDŁO

Kto i kiedy nadał Jankowi pseudonim All-de-Barana, nie potrafię ściśle określić, ponieważ jednak nikogo to prawdopodobnie nie interesuje, poprzestanę więc na zaznaczeniu, że pseudonim powyższy przylgnął do Janka w sposób dziwnie nieodlepiony. Obecnie Janek od jakichś piętnastu miesięcy zajmuje lokal książęcy, którego umeblowanie stanowi «łóżko, miotła — nic więcej»...

Począwszy od ścian sufitu nietyle pomalowanych, ile pomazanych niebieskawo-szarem wapnem, a kończąc na szparach w popaczonej podłodze — wszystko badał już Janek z zadziwiającą systematycznością, to też w ciągu zajmującego nas obecnie momentu jego żywota, zajęty jest innemi zatrudnieniami: studyuje z pewnym odcieniem pogardy swe paznogcie długie i zakrzywione, jak szpony jastrzębia, wyskubuje kupki nici z tych miejsc surduta, które w odległej przeszłości ozdobionemi były przez rzeczywiste guziki, wymierza za pomocą skrawka papieru objętość swych zatrważająco chudnących łydek, tępi zaciekle wielkorosyjskie pluskwy i czasami defilując po izbie, wypowiada monologi. Błękit tęczówek jego oczu spełzł,

nadając tym wymownym niegdyś, płomienistym i czarującym oczom kolor sopla lodu, wargi zawinęły się wewnątrz prawdopodobnie wskutek częstego zacinania zębów, policzki zapadły, skronie zżółkły zupełnie jak u starca. Niktby nie przypuścił, patrząc na mizerną postać tego młodziana, — gdyby, notabene, ktokolwiek miał możność oglądania jego mizernej postaci, — że on to właśnie usiłuje trwale wypełnić jedną z najtrudniejszych do wypełnienia maksym życia: usiłuje patrzeć na cierpienia chwili obecnej ze stanowiska przyszłości.

— All-de-Baranie! — mówił do siebie Janek, — wypada ci wiedzieć, że zestawienie rzeczy dyametralnie różnych wytwarza dowcip, lub boleść. Zajmować się wytwarzaniem dowcipu w tym oto pawilonie jest, o ile mi się zdaje, rzeczą zbytkowną, — zajmować się wytwarzaniem boleści, — jest rzeczą szkodliwą — n'est ce pas ?... «Nessun maggior dolore», jak powiedział Dante Alighieri, a może nawet sam Torquato Tasso. Otóż, wychodząc z tego, że tak powiem, założenia, powinieneś uspokoić się zupełnie, umieścić wygodnie «sphincter ani» na stanowisku przyszłości i patrzeć na chwilę obecną z pobłażliwością i spokojem. Zabijają cię, męczą, wyciągają z ciebie nerwy i żyły — to takie proste, naturalne i logiczne. Czy sprawiedliwe — to rzecz inna. Twoja wina, żeś się zbłąkał, jak ptak wędrowny nad głębiami oceanu, leciał długo bez tchu i odpoczynku... Cóż dziwnego, że teraz spadniesz i rozciągnie się nad tobą wiecznie milczące oblicze przepaści? Któż ci zaręczył, że nie jest najwyższem dobrem — według starej edycyi — «śmierć, sąd, piekło, niebo»,— a według nowej — «niepoznawalna?» Tam, poza pawilonem, taka wahająca się wątpliwość budzi

przestrach i tajemniczą trwogę, — dla nas myślicieli, stanowi przecie jedyną szczelinę, którędy wyjść stąd można. My nadto posiadamy niemal pewność, że stada ptaków podobnych do nas, lecieć będą tym samym szlakiem, a najcięższa podobno boleść traci połowę swej niszczącej siły, o ile staje się cierpieniem gromadzkiem, nie mojem, ani czyjemś osobistem, ale naszem wspólnem, gromadzkiem. Wierz mi, All-de-Baranie, że istnieje w tej dolinie łez pewnego rodzaju kooperacya serc umęczonych, która...

W chwili, gdy Janek wygłasza ten monolog, zakładając nogi na poręcz łóżka w sposób prawdziwie oryginalny, — uchylają się drzwi i wchodzi na paluszkach pan.

Pan jest kawalerem bardzo wysmukłym, ma na cienkim nosku szare binokle, dokoła brudnego kołnierzyka obwiązane coś w rodzaju fantastycznie wystrzępionej i niezdatnej do użytku pończochy, wykwintny i subtelnie modny tużurek, jaki wobec oberwanych krótkich majtek i rozpłaszczonych, a tak długich jak sanice, kamaszków, zdaje się uniewinniać ze swej bezwłasnowolnej i przypadkowej obecności na grzbiecie wkraczającego. Stosunek tego tużurka do podziurawionego materyału, jaki otula piszczele dolnych kończyn młodzieńca — wzbudził w umyśle Janka przypuszczenie, że ma przed sobą psychologa, już wówczas, kiedy nieznajomy po raz pierwszy zjawił się w tym lokalu. Późniejsze, prawie codzienne konwersacye z panem potwierdziły domysł pierwotny. W rozmaitych porach dnia psycholog wkracza, rzuca się desperacko na krzesło i mówi płynnie swym drewnianym i przykrym głosem, kończąc każde zdanie jakiemś kategorycznem zapytaniem. Obecność pana, jego podstępne i plugawe badania nie robią na Janku

wrażenia przykrego dlatego po prostu, że jest to mowa ludzka. Wstaje tedy z łóżka, przechadza się po pokoju z rękami w kieszeniach i marzy cichem, sennem marzeniem, jak wielką byłaby taka radość, gdyby zamiast pana wszedł do tej stancyi jakiś najuboższy, najprostszy, najgłupszy człowiek, byleby tylko można było na maleńką miarę czasu oprzeć głowę na jego piersi i posłuchać, jak bije serce ludzkie.

Tymczasem pan, kończąc wykwintnie zełgany okres, mówi:

— Czy nie życzycie sobie kolego, przeczytać cokolwiek? Ja mam ze sobą rozmaite książki, a że siedzimy razem...

— Nie panie, który nazywasz mię swym kolegą. Czytuję tylko w pewnych odstępach czasu «Dyalogi króla Salomona z Marchołtem grubym a sprosnym» — nic nad to.

Wówczas psycholog szybko zaczyna z innej beczki. I znowu wymawia mnóstwo wyrazów i szereg ich kończy, pytając:

— Czy nie czujecie kolego, apetytu.

— Och, nie. Sądzę jednak, że herbata nie powinna właściwie mieć smaku rosołu, otrzymanego po wygotowaniu funta używanych grzebieni gęstych, smak jej, jeżeli mię pamięć nie myli, inny jest zupełnie...

— Czyż przypuszczacie, że pamięć już was myli? — pyta psycholog badawczo.

— Bardzo być może. Pan, który badasz skrytości serca ludzkiego, wiesz najlepiej, że myli nas wszystko. Ja jestem chory, chory — i nie pamiętam nic. Nic a nic, panie z białym nosem. Niestety! panie, który, nie wiem z jakich

powodów, odmawiasz sobie przyjemności noszenia skarpetek.

— No, ale Józka, zwanego «Marginesem», waszego kolegę uniwersyteckiego, musicie pamiętać — cóż znowu? mówi psycholog wpijając się oczami w oczy Janka.

Boleść zjadliwa kąsa All-de-Barana, w głębi serca, gdy słucha tych słów i dowiaduje się o losie «Marginesa». Odpowiada jednak z uśmiechem:

— Znałem tylko Hrabanusa Maura, który napisał dzieło: «De nihilo et tenebris» — uważa pan, a Marginesa żadnego... «De nihilo et tenebris» — zabawna historyjka... Scholastyczne dziełko — co?

— Nie chcecie odpowiedzieć, — a przecież, jak to raz już wspomnieliście, w młodzieńczych latach mieszkaliście w mieście gubernialnem, gdzie «Margines» właśnie...

— Mylisz się gentlemenie... To co kiedykolwiek mówiłem, stosowało się zawsze do przyszłości. Mówiłem, że będę kiedyś jechał konno na młodej klaczy z białą strzałką na czole, ze skórą cienką, jak papier, w cichą noc letnią, gwiaździstą, kiedy żyto dojrzewa. Posłuchaj, panie, będę czuł, co to jest ruch każdym muskułem, każdą żyłą, każdym nerwem, będę oddychał całemi płucami, w ogromnem powietrzu, będę pędził w cwał tak, żeby koń dotykał brzuchem ziemi — i obydwu nam, mnie i koniowi, będzie bujny wiatr warczał koło uszu, aż nam krew w żyłach zacznie bić, jak nabój w lufie podczas wystrzału, aż się zapamiętamy w dzielnej rozkoszy niepohamowanego pędu do pięknej ukochanej ziemi... ach, Boże!...

Słania się Janek z kąta w kąt izby, gdy to mówi zatacza się, łka wewnętrznem szlochaniem, wydzierającem się

z głębi piersi, niby dławione wysiłkiem rzężenie. Za chwilę uspokaja się i z suchemi już oczami zatrzymuje się przed swym gościem. Patrzy mu w oczy łagodnie i kiwa głową jakoś zabawnie, jak małe dziecko, które zgadza się na każdą zabawkę, jaką mu podsuwają.

— Chwilowa niedyspozycya, łaskawy panie, — mówi, — małe, nieświadome pragnienie ruchu, po prostu, jeśli nie sprawi panu jakiej trudności skombinowanie tego zjawiska — odruch...

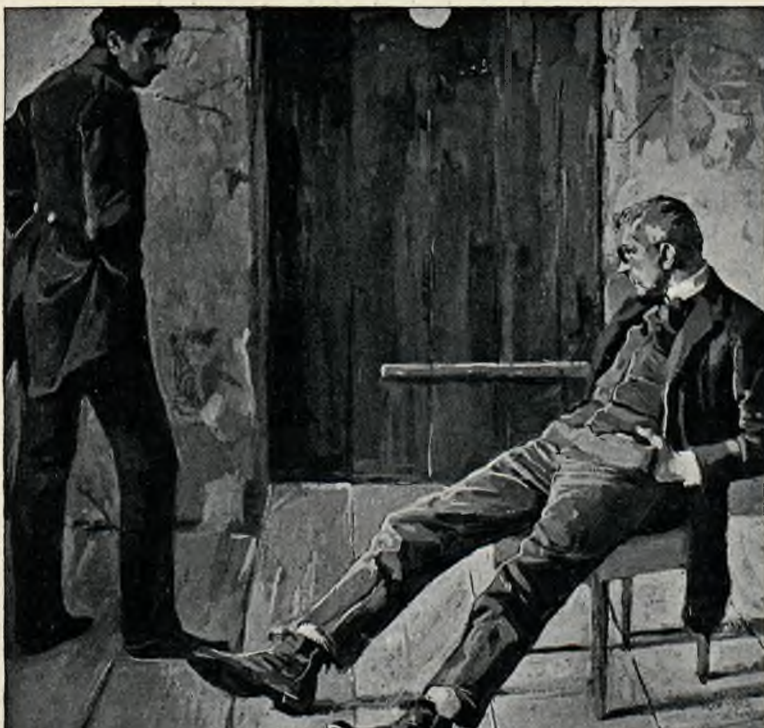
Młodzieniec odziany w cudzy tużurek milczy teraz, leżąc na krzesełku z nogami, wyciągniętemi przed siebie tak bezwładnie, że nie stara się ukryć nagości brudnych gnatów, widocznych nad cholewkami kamaszków. Głowa jego przechyla się na ramię... Znać, że doznaje na widok odruchów Janka jedynego szczątkowego uczucia: znużenia. Leży tak z wysuniętemi wargami i zdaje się nie widzieć, że Janek wpatruje się weń rozszerzonemi źrenicami, jakby zaglądały w ciemność, że schyla się nad nim i całuje go w usta.

Po chwili dopiero podnosi głowę, odsuwa się i słucha dziwnych słów z tym samym wyrazem wstrętu czy znużenia:

— Bracie mój nieszczęśliwy... Jeśli doznasz kiedykolwiek, jak w tej chwili, goryczy — nie zabraniaj łzom płynąć... One rozmiękczą grudę, pokrywającą twe serce zatwardziałe, nauczą cierpieć szlachetnie i widzieć brata w człowieku... Zapłacz nad sobą i uczynkami twoimi.

Psycholog odsuwa w tył krzesełko, wstaje leniwie i zmierza ku drzwiom. Tam zatrzymuje się i odwraca, aby spojrzeć na skurczoną postać Janka, stojącego pod oknem.

— Idyota — ech — idyota, mówi wychodząc. Gdy



drzwi zamknęły się za nim, Janek chodzi po izbie na palcach i mówi do siebie półszeptem:

— Połknąłeś moje słowa, jak wilk zamrożoną w sadle sprężynę, będzie się rozkręcała w tobie, będzie cię nękała, aż poczniesz płakać i kajać się...

Myśląc o tej kwestyi, defiluje po izbie aż do zmęczenia nóg... Zaczyna mu się dawać we znaki, dzięki rozmowie z psychologiem, znużenie wewnętrzne, upadek ducha, wzmagający się z każdą chwilą, któremu opierał się dotąd tak wytrwale. Jeszcze jedno targnięcie nie wiedzieć jaką nazwę noszącego podmuchu i rozerwie się zdolność do trwania, włos naprężony.

Zaczyna gorączkowo chwytać rozmaite pojęcia kojące i czepiać się ich myślami. Jest to jednak ta chwila, kiedy myśl odbija się od każdego zjawiska, od każdego wspomnienia, jak od rzeczy martwej, ślizkiej, plugawej, kiedy przez nagłe i oślepiające jasnowidzenie spostrzegamy wszędzie nicość, lub ruinę.

Usiada ze skurczonemi nogami na łóżku i dziwnie się przeistacza. Zdaje mu się, że leży sam jeden na jakiejś niezmiernej pustyni, na nagim, zrytym i spustoszonym gruncie, pozbawionym drzew, roślin i mieszkań, gdzie nie przebywa żadne istnienie, nad którym przemija tylko czas w nieskończoności swej nieugięty i straszliwy. Tam leży dusza jego umierająca w męce bezsilnej, jak robak na grzbiet przewrócony, wije się, woła ostatnim jękiem na tę istotę ukochaną, której już nie ujrzeć...

Niegdyś na ziemi kochał dziewczynę szlachetną i piękną, pracował z nią razem, w pocie czoła, w pościgu, o kawałku chleba.

Była to miłość więcej niż dobra i mądra, bo piękna, dobór miłosny dusz szlachetnych, arcydzieło przyrody niemniej wielkie i godne uwielbienia, jak przyciąganie ciał niebieskich. Cierpienie chwili obecnej nie oszczędza i tej istoty...

I ona musiała się wmieszać w tłum, musiała powiększyć stado o jedną jednostkę. Z tej więc pustyni i nocy, gdzie panuje zimny i bezlitośny mrok śmierci — idzie do niej, jak duch, a raczej jak samo uczucie, znajduje ją i nie głosem, nie dźwiękiem, lecz nagłem uderzeniem w jej nerwy, bolesnem zawieszeniem myśli, przeczuciem przelotnem mówi jej, że umarł...

Poznaje potem po skróconych nagle średnicach jej źrenic, po ustach uchylających się do krzyku, jak cierpi dusza. Podobnie, jak głód lisa rozbudza widok krwi, którą przelał, tak miłość jego, ta sama cudna i nieśmiertelna rozbudza go, trzeźwi i dźwiga.

W SIDŁACH NIEDOLI



Stanąwszy na progu mieszkania o godzinie dziesiątej wieczorem po powrocie z długiej włóczęgi w parku łazienkowskim, Jakób Ulewicz drgnął całem ciałem. Uderzyło go z niezwyczajną siłą poczucie brudu i tej okropnej nędzy. Usiadł na łóżku i długo myślał o matce i ojcu, dawno zmarłych, o dostatnim domu rodzinnym i przecudownych wieczorach letnich, spędzanych tam u kolan kochanych rodziców, na ganku starego dworu. Rozmyślał tak aż do godziny drugiej w nocy, ciągle mając na uwadze swój ogromny, pusty pokój, z łóżkiem na koślawych nogach, brudnem prześcieradłem, ze słomą wylatującą z dziurawego siennika, ze spaczonym stołem, który hańbiłby każdą kuchnię, z pogruchotaną lampą, stertą pudełek po zapałkach i gilzach, oraz zaduchem pomyj, od trzech tygodni wcale nie wynoszonych. Gdy nieustanny a tak nieznośny trzask doróżek pędzących po bruku, ucichać zaczął i na schodach płomyki gazowe przykręcono, zniósł z czwartego piętra dwa pełne do ostatniej linii wiadra pomyj i wylał je na śmietnik. Operacya ta trwała bardzo długo, należało bowiem stąpać tak ostrożnie, aby jej stróż Wi-

ktor nie spostrzegł i aby nie trzeba było nazajutrz obserwować jego figlarnego uśmiechu. Następnie poszedł z dzbankiem po wodę. Jakże długą chwilę nędznego cierpienia przetrwać musiał, gdy odkręcał kran wodociągu tuż obok okna stróża! Z jaką pogardą siebie znosił dudnienie wody, wpadającej w głąb pustego dzbanka, dudnienie, co napełniało hukiem, łoskotem, grzmotami to całe zamknięte podwórko, wszystkie, zdawało się, sienie, korytarze, klatki schodowe, przedpokoje, mieszkania na wszystkich piętrach, porywało ze snu i stawiało na równe nogi wszystkich mieszkańców, poczynając od złośliwego stróża, a kończąc na prześlicznej blondynce z drugiego piętra!...

Na szczęście było to tylko przykre złudzenie.

Cały dom spał jak poprzednio, gdy Kubuś przeskakiwał po cztery stopnie, zdążając na swoją górę z dzbanem pełnym wody. Znalazłszy się nareszcie u siebie, upadł bez tchu na łóżko. Później, odpocząwszy, zapalił lampę i zajął się radykalnem reformowaniem mieszkania. Przesunął łóżko pod okno, obok łóżka tak umieścił stolik, aby siedząc na pierwszem, można było pisać na drugim, nie uciekając się do pomocy krzesełka, którego zresztą zupełnie w mieszkaniu nie było. Pod stolikiem umieścił kuferek. Stary kuferek, pamiętający lepsze czasy, kiedy przymocowywano go w tyle powozu starszych państwa Ulewiczów!.. W pobliżu pieca młodszy pan Ulewicz umieścił blaszane wiaderka na pomyje, maszynkę do gotowania herbaty, miednicę za złoty groszy ośm, którą nawet można całkiem bezstronnie nazywać obrzydliwą glinianą michą, szklankę i herbatnik fajansowy. Największa w tej izbie ściana nie wymagała żadnych zgoła ulepszeń, ponieważ na

niej, ani obok niej nic nie było, wyjąwszy małej, rzeźbionej półeczki, na której spoczywała niewielka stosunkowo warstewka kurzu. Na trzeciej ścianie wisiały rozmaite przedmioty, a przed innymi nader podłego pochodzenia szafka na książki. Była to swego czasu paka na mydło. Jakób Ulewicz oderwał deskę nakrywającą, a resztę przybił do ściany dużym bretnalem. Stało tam i leżało kilka książek, które przybyły z najrozmaitszych stron świata. Leżały tedy zwłoki słownika polsko-niemieckiego obok dzieła Hipolita Taine'a »O literaturze angielskiej« i kilka luźnych arkuszów litografowanego kursu farmakologii obok tomu poezyi Maryi Konopnickiej, uwikłanego w wężowych uściskach dwu nierównych kawałków wystrzępionych szelek. W sąsiedztwie tej półki gwóźdź, wbity w ścianę za czasów tak zamierzchłych, że był kilkakrotnie wraz z całym pokojem bielony i malowany, służył za wieszadło na pewien symbol paltota. Symbol należał do współlokatora pokoju, studenta medycyny, i pozostawiony został Ulewiczowi nietyle na pamiątkę, ile z prośbą o darowanie go jakiemukolwiek tworowi tej ziemi, gdyby naturalnie twór podobne palto przyjąć zechciał. Na dwu następnych gwoździach dyndały jeszcze dwa przedmioty, a mianowicie: na pierwszym — jasno-popielata marynarka, a na drugim — ręcznik, zasługujący również na miano ścierki, przeważnie ze względu na niezwykłą obfitość pokrywających go nagromadzeń brudnego iłu. We framudze okna stały kałamarze atramentu i zdawała się rozpaczać lampa z rozbitym i zakopconym kloszem. w towarzystwie zardzewiałego kozika, łyżeczki do herbaty i flaszki, na dnie której czerniało trocha skrzepłej jodyny. Za piecem

leżało i stało kilka spadłych z etatu słoików musztardy, wspaniała kolekcya porozbijanych rurek, fiol, kolb, retort, palników i słojów, a nadto wytarta do ostatniego włosa szczotka do butów. Na szczycie pieca piętrzyła się barykada z »artykułów«, drukowanych w postępowych tygodnikach, pożyczonych przez rozmaite osoby w różnych miejscach miasta Warszawy, prawdopodobnie z zapewnieniem szybkiego przeczytania i zwrotu niemniej pospiesznego. I nic już więcej nie było w tym pokoju oprócz zgniłego powietrza, które jak tajemnicza zmora, wdzierało się przez otwarte okno, płynąc ze śmietników i oprócz poczucia nędzy. To ostatnie nadawało przedmiotom ów wyraz zagadkowy i złowieszczy, który tak nękał Kubusia. Nauczony przez biedę czuł on w sobie tę pewność, która zresztą istniała w nim nie w postaci myśli sformułowanej, ale raczej jako bojaźń nerwowa, że ani na całym świecie, ani nawet we własnym mózgu, zmysłach, i ciele niema żadnego punktu oparcia, żadnej gwarancyi posiadania, żadnego prawa własności, że wydany jest na łup przypadków, pędzących w chaosie, z których jedne uderzają jak tępe kije, inne palą jak płonące żagwie, inne kalają jak bagno, albo zamierzają się jak wrogowie i w chwili śmiertelnej trwogi omijają z chichotem, pogrążając całe jestestwo w tym większym upadku. Okrutnie cierpiał, czując, że człowiek na ziemi nie wie dnia ani godziny, że dzięki długotrwałym głodom i dzięki wynikającym z nich prawom, które gdzieś w nieznanych głębiach pracują bez ustanku, utracić może niepostrzeżenie wzrok, słuch, władzę chodzenia, kochania kobiet, zdolność trawienia i logicznej kalkulacyi, nie przestając być sobą, które

wie, oraz nie wyzbywając się rdzenia i treści wszystkich nieszczęść, to jest zestawień i rozmyślań. Jedyną dziedziną i jedyną formą własności posiadania, której czuł się pewnym o tyle, o ile pewnym był posiadania mózgu i żołądka, stawały się czasami wspomnienia. Działo się to jednak wówczas tylko, gdy nie podlegał głuchym na wszystko i skostniałym zamroczeniom rozpaczy, gdy dobrotliwa władza pamięci jak anioł zasłaniała skrzydłami rzeczywistość.

A chwile takie przychodziły coraz rzadziej i trwały coraz krócej. Właśnie tej nocy leżał na łóżku w stanie reminiscencyi. Rozmyślał o tem, jak niezmierną przebiegł drogę życia, choć przeżył dopiero lat dwadzieścia cztery! Zdawało mu się, że na wiele setek lat przed Chrystusem zaszły te wypadki, które właśnie przesuwały się w jego pamięci niby martwe widma na białym ekranie. Był w y r y w a n y do Owidyusza, wcale dobrze odpowiedział, później zapakował tornister i wraz z trzema towarzyszami, ze względu na przypadającą uroczystość »ostatków«, powziął idyotyczny zamiar udania się do knajpy, do rzeczywistej knajpy, pełnej pijanych szewców i obywateli niewiadomej kondycyi. Zdawało mu się, że bierze udział w tym bankiecie, składającym się z trzech kufli nędznego piwa, że jeszcze odczuwa przyjemność piątoklasisty, upijającego się po raz pierwszy. I uczuł znowu ten ostry ból w sercu, to drgnienie w sobie, jakie uczuł wówczas, gdy nagle we drzwiach cuchnącego szynku zjawiła się uśmiechnięta twarz inspektora gimnazyum. Przez długie ośm lat wspominał ten wypadek, a jednak nie można go wyrwać z pamięci. Ba! – gdybyż to nie owe trzy okropne

kufle piwa... Wypędzono go z gimnazyum raz na zawsze, jako łotra »zepsutego do szpiku kości«.

Dwaj współwinowajcy byli synami ludzi zamożnych, to też skonstatowano, że szpik ich kości w lepszym jest stanie, pozwolono im tedy udać się do innych gimnazyów i pokończyć je chlubnie. A nędzarzowi wiatr w oczy. Nędzarz został na bruku, opuszczony przez wszystkich i wskazywany palcem przez oględnych ojców rodzin synom z klasy piątej z jednej strony, jako przedmiot obrzydzenia, a z drugiej, jako »przykład«. I służył przez czas długi, jako ów przykład. Dalecy krewni, którzy po to, zdaje się, są na kuli ziemskiej, aby dawać znać o swem istnieniu wówczas, gdy trzeba gromić dalekich a niezamożnych krewniaków, spełnili co do nich należało. Zgromili »zakałę całej familii« już to słowem, usty wypowiedzianem, już wypisanem przy pomocy wielkiej kolekcyi błędów ortograficznych na dużych arkuszach papieru — i zajęli się swymi interesami, nie cierpiącymi zwłoki. Jakże wiele wówczas przecierpiał! Nietylko ciotki, wujenki, siostry cioteczne, nauczyciele, koledzy, dewotki i ulicznicy, ale nawet pijacy z nałogu, jawni lub ukryci żłopacze tego samego piwa i stokroć bardziej wyskokowych rosolisów, uważali za rzecz »wskazaną« obdarzać go, jeżeli nie wyrazami, to przynajmniej spojrzeniami pogardy. Nie mógł przesunąć się przez ulicę, aby nie usłyszeć za plecami takiego, albo ten sens zawierającego dyalogu:

— Ten kawaler to już podobno nieźle piwko żłopie. Już nawet i nosek mu dojrzewa w barwie odpowiedniej. Ładne czasy nastały! O wąsach jeszcze ani dudu, a już go podobno za nogi z pod ławy u Centkiewicza policya

wywlekła. Taki go przecie nałóg ogarnął! Wyrzucili, szelmę, z klas — i słusznie. Parszywa owca... Całą szkołę mógłby do picia przyuczyć!

Pogarda, którą przytłukli go ludzie, miała w sobie coś z kupy kamieni. Ilekroć usiłował dźwignąć się z pod niej, tyle razy doświadczał jak niezmiernym jest jej ciężar i upadł na nowo. Teraz przechodził całą drogę dawnej rozpaczy i tego czegoś, co zapewne mieli na myśli prawodawcy, wykonawcy i społeczeństwo, to jest skruchy i żalu. Tylko już teraz nie bolało to tak bardzo. Już to dawno przeszło i najgłębsze rany od najzłośliwszych uderzeń dawno się zabliźniły. Tylko skutki ich, głęboko ukryte do dziś dnia trwały. Najwyraźniejszym z nich była bezradność.

Może zresztą niezaradnym był od urodzenia i opieka ludzka jedynie ten zły przymiot znieczulała i trzymała w stanie martwoty. Dopiero bowiem od czasu wypędzenia z gimnazyum stal się ofiarą rozwagi, która »czyniła go tchórzem« wówczas nawet, kiedy wcale nie doświadczał ucisku ludzkiej nienawiści. Rozwaga ta miała nadto wiele składowych części zabobonu i mistycznego zestawienia zjawisk odległych. Jakkolwiekbądź, wkrótce po katastrofie udał się do prezesa Izby skarbowej i podał prośbę o przyjęcie go na pisarczyka biurowego. Wiedział dobrze, co ów prezes, ów wytrawny Moskal sądził o jego moralności, o konduicie »wypędka«, którego palcami wytykało całe miasto, o postępkach siedemnastoletniego pijaka, wywłóczonego za nogi od jakiegoś Centkiewicza. Nie wiedział tylko o tem, że prezes, przyjmując go do kancelaryi i wyznaczając mu 15 rubli pensyi miesięcznej, oddawał się marzeniom patryotycznym.

Wyciągnąć za uszy tonącego w oceanie nędzy, przygarnąć sierotę, dać opiekę i niejaką otuchę pogardzonemu przez ogół, znaczyło dla tego patryoty zdobyć »człowieka«, jędną z tych poczwar moralnych, jakie rozpładza i hoduje duch moskiewski, jedną z tych istot głupich i podłych, które są zimne, jadowite i plugawe, jak ropuchy. Gdyby nie okruszynka wiedzy, zdobyta w szkole i druga ambicyi — pewno spełniłoby się marzenie prezesa, nikt bowiem nie wsparł Kubusia ani jednem życzliwem spojrzeniem. Młodzieniec zaopatrzony w jego wiadomości, a nie wyzuty z odwagi i sprytu, byłby w przeciągu lat czterech, nawet nie przechodząc na prawosławie, dobił się w biurze znośnego kawałka chleba. Ulewicz nie dobił się niczego, ponieważ tęsknił. A za czem? Za czemś, co leżało w jego naturze, a czego nie znał.

Byłby dobrym obywatelem na każdem stanowisku, gdyby tylko nie zmuszono go do walki o byt, do bitwy i deptania. On miał wstręt do robienia z niczego karyery,— no i bał się.

Był, jak powój, czy bratek, który potrzebuje dobrego i ciepłego gruntu, tkliwego światła i miękkiej opieki, a musiał być, jak podły bluszcz, który wbija pazury nawet w mur i ssie z niego soki. Swoją drogą lubiono go tam w owej »pałacie« za pilność i nawet, co dziwniejsza, za pewien gatunek dystynkcyi. Przyszedł wszakże czas, że Kubuś nie mógł wyżyć w rodzinnem mieście. Koledzy, z którymi spotykał się od czasu do czasu, pokończyli gimnazyum i ruszyli do Warszawy. Wówczas uczul się tak samotnym i opuszczonym, jakby utracił najbliższych współbraci w tych, którzy zaledwie tolerowali go w swo-

jem towarzystwie. Nieznośna refleksya dręczyła go ciągłym powrotem i przypominaniem, że za owe trzy kubełki piwa przehandlował życie. Bo czyliż można było życiem nazywać przebywanie w rodzinnym Włocku? Pół dnia trawił w biurze na wykonywaniu figlasów kaligraficznych, w południe zjadał obiad za 40 kopiejek, a później odbywał włóczęgę po mieście, łażenie z ulicy na ulicę, łażenie bez celu, bez zamiaru, nudne, jednostajne, obrzydłe samo w sobie, zabijające, okropne, jeżeli dopisywała pogoda, albo wysiadywał w zakopconej cukierni podczas słoty, odczytując trzy czy cztery gazety konserwatywne, co było czynnością stokroć nudniejszą, niż samo wydeptywanie chodników. Czasami grywał w bilard, jeżeli ta satysfakcya nie groziła przeskoczeniem budżetu. Poza tem nic się nie zdarzało na tym stepie dni jednostajnych, w tej zatęchłej sadzawce, jaką (dla urzędników P a ł a t y) jest miasto gubernialne.

Najuboższy człowieczek w Europie może za swoje trzy cwancygiery nabyć numer liberalnego, czy humorystycznego piśmidełka i pośmiać się, pozłościć, naodgrażać, albo przynajmniej rozerwać umysł skłopotany jakąś wiadomostką o rzeczach ciekawych. W miastach gubernialnych Azyi nadwiślańskiej dla urzędników Izby skarbowej nic nigdy nie ukazuje się na horyzoncie, niema zjawisk zajmujących, albowiem rzeczy ciekawe pochłania policya. Urzędnicy P a ł a t y są tam dużemi, grzecznemi dziećmi, które niczego się nie napierają i które niczego nie są ciekawe, wskutek tego prawdopodobnie, że nie przypuszczają istnienia rzeczy ciekawych. Jedynym sfinksem, który niepokoi ich umysły przez rok cały — jest noworoczna

gratyfikacya. Kapnie człowiekowi dziesięć rubli, czy nie kapnie — oto jest jedyne, godne pałaciarza pytanie. Poza tą rozkoszną dywersyą — żadnych wzruszeń. Nawet młodość nie może ukazywać tego życia w odmiennych żywszych kolorach. Nawet miłość jest tam tak martwą i skostniałą, jak inne myśli i uczucia. I w rzeczy samej czyż miłość żywa nie byłaby okrutną niedolą dla człowieka, pobierającego miesięcznie dwadzieścia rubli pensyi? Młodzian tamtejszy ożenić się może tylko ze starą i brzydką babą, jeżeli jest bogatą i wówczas jest, jak wiadomo, — głupcem, albo z młodą, piękną i ukochaną, ale szwaczką i wtedy jest, jak stwierdza mądrość wszystkich ciotek na ziemi, — głupcem.

W duszy Kubusia zrodziło się rozpaczliwe pragnienie: do Warszawy! Choćby przyszło ulice zamiatać, albo drwa rąbać — byleby mieć przynajmniej więcej gazet konserwatywnych do czytania, więcej twarzy do widzenia i więcej ulic do spaceru. I stał się cud. Oto jeden z kolegów Ulewicza, a wówczas już student medycyny w uniwersytecie warszawskim, dawał lekcye w domu wysoko postawionego urzędnika filii Banku państwa. Dygnitarz bywał liberałem w chwilach wolnych od pracy biurowej i od zatrudnień w przeróżnych komitetach towarzysko-społecznych, wyraźnie lub skrycie rusyfikatorskich. Lubił wtedy rozprawiać o bytności Boga i spierać się z młodym studentem o ową »duszę« i o owe »prawdy«, oraz »hipotezy...«

Pewnego razu studentowi udało się zręcznie zalecić Jakóbka, z którym czasami korespondował. Działo się to w czasach takich, kiedy jeszcze młodzi sarmaci nie byli

kupami wyrzucani z urzędów, czyli w czasach nietyle odległych, ile odmiennych od chwili obecnej tak wyraźnie, jak epoka nasza odmienną jest od mioceniczne). Wielki urzędnik kazał Jakóbowi przez studenta podać skrypt, zwany dokładnaja zapiska i wkrótce potem dał mu miejsce w Banku z pensyą 35 rubli na miesiąc. Z dreszczem radości w sercu puścił się Ulewicz do Warszawy... A teraz, gdy leży bezwładnie na łóżku, tak nienawistnie ową chwilę przeklina!

Przez półtora roku wzorowo służył w Banku i zarobił na przyjaźń kolegów biurowych, a nawet na życzliwe uśmiechy zwierzchników.

Nagle, jak piorun, wypadło nieszczęście.

Od dawna zauważył, że jeden z naczelników, Moskal przewrotny i intrygujący, zwraca na niego uwagę.

Ilekroć spotykali się na korytarzach, Kuba czuł na sobie wzrok zimny, bezlitosny i złowieszczy. Stopniowo zaczął obawiać się tej postaci. Nieraz w toku zajęć, czytania, wesołej pogawędki nieświadome myślenie wynosiło z mroku tę twarz suchą z rzadkim, szarym zarostem i z trupim uśmiechem groźby na wązkich wargach. Z tej głuchej obawy wyrosła nienawiść i idące po jej tropach nieodstępne złe przeczucie. I nie zawiodło... Jak się później okazało, ów Moskal był śmiertelnym nieprzyjacielem Jakóbkowego protektora. Pewnego razu zaszła okoliczność taka, że Ulewicz musiał w sprawie urzędowej zetknąć się oko w oko ze swym wrogiem i został przezeń potraktowany w taki sposób, że się uniósł i wpadł w pasyę. Za ostre słowa wówczas wypowiedziane, w chwili upokorzenia i gniewu — stracił posadę. Ten wypadek rozbił

go zupełnie. Uganianie się za nowem miejscem, poszukiwanie zarobków przygodnych, cała wreszcie działalność intenzywna przedstawiała teraz zupełny obraz niedołęztwa. Na miejsce resztek wytrwałości i odwagi rozsiadł się zabobon i wessał w siebie wszystkie władze ducha. Codziennie Kuba wysiadywał w administracyi *Kuryera* pospołu z tłuszczą szukającą posad, aby natychmiast po ukazaniu się numeru odczytać jednym tchem dział »Posady i prace«, potem bez namysłu »rwać« w jakimś kierunku, do jakiegoś celu i przybywać za późno. Nie wiedział o tem, że owo poszukiwanie pracy po upływie pewnego czasu było już tylko śmieszną głupotą. W wyścigu, gdzie posadę chwytał najsilniejszy, Kubuś nie mógł otrzymać żadnego miejsca, ponieważ miał z nędzy pozór waryata, czy jakiegoś sentymentalnego złodzieja. Oczy jego z głodu i rozpaczy nabrały wyrazu półobłędu, czy idyotyzmu, twarz miała barwę zielonawo-żółtą, ubranie spadało. Ostatnia koszula zgniła i cuchnęła na ciele brudnem i pocącem się z nieustannej gorączki. Kiedy sprzedał wszystko aż do ostatnich brudnych strzępów, pozostało, jako jeden jedyny środek do życia w literalnem znaczeniu tego wyrazu — zaciąganie pożyczek. Wyszukiwanie krynic kredytu ułatwiał ów student medycyny, kolega i gimnazyalny i współlokator mieszkania. Wkrótce jednak i on wyjechał na kondycyę letnią. Za nim powyjeżdżali nieco bliżej znani Jakóbkowi młodzi ludzie. Udawał się tedy w chwilach okrutnych upadków na siłach do dalszych i coraz dalszych znajomych. Nieraz odchodził od przytomności ze wstydu, kiedy spotykał na ulicy ludzi ledwie mu znajomych, do których trzeba

było przyczepiać się, wymawiać zdania o treści okropnie obcej, straszliwie obojętnej i kończyć ich szereg niedbałem zapytaniem:

— Czy nie mógłby mi pan na pewien przeciąg czasu pożyczyć 20 kopiejek?

Czasami odnosił nad sobą straszliwe zwycięstwa: — nie przyczepiał się do osób, które byłyby mu pożyczyły z pewnością nawet dwadzieścia pięć kopiejek. Mieszkania od trzech miesięcy nie opłacał, a nie mógł się stamtąd wyprowadzić, choć było niesłychanie drogie, bo dokądże miał się wynieść i jakim sposobem? W ciągu kilku ostatnich tygodni nie jadł nic gotowanego, nie pił nawet ohydnego napoju, zwanego herbatą, ponieważ nie miał za co kupić nafty. Zjadał tylko chleb po 12 groszy bochenek, jeżeli naturalnie zdołał »pożyczyć« od kogoś pieniędzy. A ileż to razy musiał obiedz pół Warszawy zanim owe 12 groszy zdobyć mu się udało! Ile razy brak dwu groszy rujnował marzenie o kupnie chleba i łykaniu wielkich kęsów, ogromnych klusków ciasta!

Zazwyczaj siedział w Łazienkach na pewnej ławce w najbardziej oddalonym kącie parku. Czasami włóczyli się po tej zapuszczonej uliczce żołnierze z ohydnemi łajdaczkami, a w ogóle panowała tam już cisza i było samotnie. Jakóbek rozciągał się na ławie, zżerał swój bocheneczek chleba i już to płakał całemi godzinami, jeżeli był w nastroju lirycznym, już wpadał do głębokich szybów głupiego cynizmu.

Między nim i owymi pewnikami, w których pomroce błąkał się nieraz, doznając moralnych ran i roztłuczeń, stała owa nabyta bezradność, owo tchórzostwo nawet



wobec grzechu. Jak w tracheotomii, tem sztucznie wprowadzanem powietrzem oddychał. Częstokroć zrywał się z ławki i wielkimi krokami szedł — kraść. Dochodził do końca alei i powracał nie dlatego wcale, aby się budziło w jego chorej istocie sumienie, lecz dlatego, że mu się przewracać zaczynały urzędnicze wyobrażenia. Kiedyindziej zrywał się z ławki i szedł — pracować. Rąbać drwa, zamiatać rynsztoki, czyścić kloaki, rozwozić węgle!... Powracał na swą ławę jeszcze szybciej, gdyż wiedział, że do żadnej z tych robót zabrać się nie jest w stanie. Wiedział również, że do żadnej z tych robót go nie przyjmą. Nauczono go tajemnie *ut consecutivum*, pisania *jat'* we właściwych miejscach, ułamków, algebry, naznaczono mu duszę niezmazanem znamieniem tużurkowego dostojeństwa — i nic nadto. Tużurkowość była w nim tą cechą, która go wyłączała ze sfery motłochu. Ani jedną arteryą nie był związany ze światem pracujących i wyzyskiwanych, a wszystkiemi zrośnięty ze światem jeżdżącym dorożkami. Teraz miał się wyrzec siebie, przestać być »jednostką inteligentną«, skryć się w szeregu robotników czy stróżów. Zupełnie jak na zawsze skoczyć w bagno i zanurzyć się wyżej oczu... To też z dnia na dzień łaził pokryty brudem i wszami, trawiony przez gorączkę, ścigany przez jędzę spodlenia w każdej minucie dnia i nocy. Tej nocy ostatniej na domiar złego nie mógł usnąć. Miasto ucichło zupełnie. Ani jeden odgłos nie dochodził z ulic, ani jeden szmer nie zagłuszał huku, rozlegającego się w uszach i czaszce Jakóbka. I huk ten wzmagał się ciągle, a był straszny, jakby wody walącej się w przepaść bezdenną z ciasnych upustów. Wrzaskliwe

ulice kamienne podwórza, ściany i chodniki, jęczące wiekuiście od łoskotu i echa stąpań, domy, w których kotłuje się ciągły gwałt życia, cały ten krajobraz z kamieni i żelaza, widzialny z otwartego okna, teraz z nagła skonał, stężał i oniemiał. Kubie zdawało się, że oderwany został od ziemi, rzucony w przestwór i że tam stoi nad cmentarzem niezmiernym, zasypanym dziwacznymi grobowcami. Ogarniała go trwoga, jak zimne powietrze i wzmagały się napady sentymentalnego egoizmu. Przy nikłem świetle rozniecającego się dnia odwijał rękawy koszuli i oglądał wychudłe ręce, macał twardy brzuch, boleśnie współczuł żołądkowi, który nie był w stanie trawić i płakał gorzkiem szlochaniem nad zwiędłymi członkami. Z niewymowną żałością głaskał swe ręce, wyczuwał palcami bieg krwi w wenach i, jęcząc, wołał na nią: — no, idź, leć, ruszaj się, pracuj!... Bojaźń i przeczucie utraty tych członków wznosiła się w jego umyśle, jak chmura, w której latają pioruny. Począł głośno stąpać po izbie, aby zagłuszyć huk w uszach i dodać sobie odwagi. Na szczęście gdzieś daleko począł dudnić wóz po bruku, potem ozwała się pierwsza dorożka, jakiś dzwon się rozśpiewał, później świst przybywającego pociągu zaleciał aż do miasta po rosie z odległych lasów. Szum w uszach zaraz zacichł, ale nie odstąpiły owe koncepcye dziwaczne i wyobrażenia fantastyczne. Około godziny ósmej rano, po nocy zupełnie bezsennej i nic nie jadłszy, Kubuś opuścił mieszkanie z zamiarem usadowienia się w parku wcześniej niż zwykle. Kiedy wymijał pośpiesznie sień główną, unikając spotkania ze stróżem, posłyszał niespodziewanie głos wychodzący z dużej baby, ozdobionej czerwo-

nym nochalem, która stała na pierwszej platformie schodów:

— Panie, ty panie, jak się tam nazywasz?... Dlaczegóż to pan nie płacisz mi komornego?

— Dlaczego nie płacę komornego? — zapytał Ulewicz z głębokim namysłem. — Komornego? Zapewne... Dlaczego ja w samej rzeczy nie płacę komornego?

— Co pan mówisz? Matko Boska!

— Że zapłacę pierwszego.

— Którego?

— Pierwszego.

— Ale którego pierwszego?

— Którego pierwszego? Nie rozumiem takiego gdakania, moja pani.

— Masz się pan przecie wynieść pierwszego?

— Mam.

— No więc co tam pan bzdurzysz?

— Bzdurzę, że zapłacę pierwszego.

— Zapamiętaj-że se pan!

— Zapamiętam se.

To powiedziawszy, wyszedł na ulicę i ruszył w stronę Łazienek. Spodnie zupełnie mu się podarły, a kort zbutwiał ze starości tak dalece, że się rozłaził pod igłą. Jakóbek ześcibywał codziennie nogawkę z nogawką i doszedł wreszcie do takich rezultatów, że t. z. krok jego spodni zaczynał się tuż nad kolanami. Wskutek tej ostateczności, idąc forsownie, Kuba wykonywał ruchy dziwnie zabawne. Przyzwyczaił się już był do swego ubrania, a jednak tego dnia czuł w sobie jakieś przemierzłe znużenie i zimno, jakby po jego duszy pełzał ohydny,

lepki ślimak. Całe jestestwo czujące wstrząsało się od tych dotknięć i cierpiało niezmiernie każdą swoją odrobiną. Na rogu ulicy Wspólnej i placu Aleksandra Kuba przypadkowo rzucił okiem na chodnik przeciwległy i oderwał się od swoich utrapień.

Po drugiej stronie ulicy szedł powoli młody jegomość z twarzą tak ogorzałą, że od razu poznawało się w nim wieśniaka. Kubuś przeszedł w poprzek ulicy i zaczął postępować za owym szlachcicem. Doznawał takich uczuć, jakich doznawać musi robotnik przyczepiony do liny i zsuwający się po prostopadłej powierzchni skał na tle przepaści, aby podmurować wanty wiszące nad linią kolei gotardskiej. Jeżeli towarzysz, który trzyma koniec liny przez blok przerzuconej z rąk ją wypuści, — ha — wola Boska... Wszak człowiek wielekroć sam się ocalić nie może i wisi na łasce drugiego człowieka. Westchnął raz jeszcze i dogonił opalonego pana.

— Przepraszam... — rzekł, pociągając go za rękaw, — zdaje mi się, że Szyna... Walery...

— Kubuś! jak mi Bóg miły... Kubuś... — zawołał tamten.

— Właśnie cię zobaczyłem teraz... o tam szedłem, po tamtej stronie. Zobaczyłem cię, Walery... Właśnie dopiero co wyszedłem z domu... — plótł jednym tchem Ulewicz.

— Cóż ty chory jesteś, czy co? Takiś strasznie mizerny!

— A tak, głowa mię troszkę boli...

Szyna obejrzał kuzynka od stóp do głów jednem ukośnem spojrzeniem i coś zmiarkował. Ujął go pod ra-

mię i wprowadził do najbliższej kawiareńki. Kiedy usiedli w kącie izby i wyfiokowana »facetka« napełniała dwie szklanki t. z. białą kawą (a właściwie fusami rozmąconemi w mleku), co leci za odkręceniem kurka z jakiegoś ogromnego szaflika, oraz zaopatrywała każdą z tych szklanek w pewną wstrętną niemożliwość, wyobrażającą kożuszek śmietanki, — Szyna nachylił się i zapytał szeptem:

— Kubuś, — może ty straciłeś posadę.

— O już dawno...

— A teraz z czegóż ty się utrzymujesz? Przepraszam cię, że się pytam, ale tego... uważasz...

— Teraz... — zaczął młody człowiek i umilkł. Wargi mu zadrżały i dwie cienkie strugi łez puściły się po policzkach.

— Słuchaj-no, jakże to można! Czemuż ty nie pisałeś?... Tak przecie nie tego... Jedź do mnie na wieś! Posiedzisz, wyrestaurujesz się. Potem znowu pomyśli się o posadzie.

Ulewicz przymknął oczy, uczepił się rękami swego towarzysza i długo, bardzo długo nie był w stanie rozgiąć palców.

Dopiero zapach kawy i bułek skierował jego uczucia w inną nieco stronę. Szybko wypili podany napój i rozeszli się, naznaczywszy sobie godzinę spotkania na dworcu nadwiślańskim. Kubuś powrócił do swego lokalu, uprzątnął śmieci, związał łachmany w jeden tobół i ofiarował je wraz z łóżkiem i siennikiem złośliwemu stróżowi, jako znak i wyraz uczuć przyjaznych. Następnie udał się do mieszkania gospodyni domu i wręczył jej sumę należną za mieszkanie, a pożyczoną dopiero co od

kuzyna. Przez cały dzień błąkał się po ulicach miasta, jak człowiek bardzo pijany. Widział ludzi, konie, pędzące powozy, domy, drzewa i cały zakres zmieniających się zjawisk, ale nie czuł się związanym z niczem ani jedną myślą. Świat naoczny sprawiał na nim takie leniwe półwrażenie, jakie sprawiają na nas nędzne drzeworyty w starych książkach dla chłopów. Coś one tam wyobrażają, coś usiłują przypominać, ale co?... Świadome sądzenie spadło w nim do zera. Stała w jego pamięci jedna tylko idea: o siódmej być na dworcu. Trzymając tę myśl w mózgu, szedł powoli z ulicy na ulicę, z miejsca odpoczynku na miejsce inne. Kilkakroć w ciągu dnia doznał dziwnego popędu: — upaść na twarz wśród zgiełku ludzkiego i wyłkać się, spłakać, ażby zwilgotniały, zmokły rozprażone kamienie, ażby pękła obręcz ściskająca myśli. Zjadł obiad mięsny, wypił później w cukierni filiżankę kawy czarnej z likierem, około godziny czwartej znowu się posilił i już o szóstej był na dworcu. Kiedy się tam znalazł przez tę gnuśną i bezwładną niewiedzę, w jakiej trwał ciągle, przelatywać go poczęło od czasu do czasu elektryczne przerażenie: a jeżeli ten Walery wcale nie przyjdzie, jeżeli go się tym sposobem pozbył? Na kilka minut przed siódmą Szyna zjawił się w poczekalni i życzliwie ucałował Kubusia.

— Zobaczysz, stary, — wołał, — że nam będzie fajn! Lubisz kapuśniak? Twój ojciec, przypominam sobie, pasyami lubił kapuśniak z wieprzowiną.

— Lubię, ale ja dotąd nie wiem, gdzie ty mieszkasz.

— Jakto? To ty nie wiesz? Ano w Skakawkach! Jestem rządcą u hrabiego Hwilken-Pardwica. Powiadam

ci — mam roboty po uszy. Cztery folwarki, gorzelnia, buraki nasienne, stajnie zarodowe — coś okropnego! Teraz jeszcze szelma stary wyzbył się kasyera i na mnie wszystko ulokował.

Wesoło i głośno rozprawiając o pracach i stosunkach folwarcznych, Szyna ulokował Kubusia w przedziale klasy trzeciej i roztasował się naprzeciwko niego na całej ławie. Wkrótce pociąg ruszył przez most na Wiśle w kierunku Mławy. Do zachodu słońca szlachcic gadał, ale po nastąpieniu zmroku zaraz począł chrapać. Kubuś siedział nieruchomo wyprostowany, z rękami opartemi na kolanach i patrzał przez okno na pomykające krajobrazy. Ta sama nieruchomość woli jeszcze go nie opuściła, tylko snuły się teraz w jego wyobraźni dziwne widziadła, podobne do bezlitosnych duchów śmierci z zakrytemi twarzami. Nie mógł pojąć żadną władzą swego umysłu, co z nim było, dlaczego tak rozpaczał, a raczej dlaczego jeszcze dziś rano był tak straszliwie nieszczęśliwy. Owo zdumienie i niemożność pojęcia minionego głodu był to stan duszy nadzwyczajnie cudaczny. Kubuś czuł jeszcze na sobie okropny ciężar, jakby na nim leżały olbrzymie stosy dębowych belek, a jednocześnie nie mógł uchwycić ich formy, jakby były tylko cieniami, samym nieujętym kształtem czy słupami światła. Z niewymownem obrzydzeniem wspominał wszystkie przeżyte upadki, niedole, głupie rozpacze, spowodowane brakiem dwu groszy i pogrążał się we wstyd ciężki i dotkliwy. Szyna chrapał ze swobodą.

Zaświecono lampę i blask jej padł na tęgi kark śpiącego, na twarz obrosłą, koloru spalonej cegły. Kuba spo-

glądał od czasu do czasu na zdrowego szlachcica i począł uczuwać najgłębsze uszanowanie. Od woli i zachcenia jego, — myślał, — od fantazyi po prostu zależy moje życie. Jeżeli mu to będzie na rękę, to mię ocali, a gdyby go cała sztuka znudziła przypadkiem, to ja musiałbym powracać do Warszawy. Ta myśl tknęła go wreszcie i obudziła z letargu takim bólem, jak gdy kto odkrytą ranę rozedrze ostrzem noża.

Na pola, lasy, na zboża, na równo, szeroko i daleko rozłożone łąki spływało jasne światło księżyca. Cień pociągu leciał już to po białych równiach, już łamał się co chwila po przykopach, skakał po rowach, zagonach, zbożach, chatach, migał na płotach i lasach brzozowych, przybierając najfantastyczniejsze postacie. Nad tym dziwactwem fruwały kształty dymu, strzelające w białą próżnię niewyczerpanym zasobem pędzących naprzód kłębów. I jakąś dziką rozkosz poczęła teraz sprawiać Kubusiowi pewność, popierana tym nieustannym widokiem, pewność, że jedzie, że leci wraz z tym pociągiem, że od Warszawy ucieka, ucieka, ucieka...

* * *

Zjeżdżając z szeroko rozpostartego zbocza góry łagodnie pochyłej, drogą wysadzoną kasztanami, dostrzegało się w nizinach na tle łąk spory płat lasu, przeważnie olszowego, a w głębi tego lasu korony drzew rozmaitych i dachy zabudowań dominium Skakawki. Na niewielkim

wzgórku stał pałac ze wszech stron oblany basenami zapleśniałej wody. Kanały wodne, służące ku ozdobie tego miejsca i ku zaopatrzeniu okolicy w malarye, oraz bite drożyny przecinały park w najrozmaitszych kierunkach. Za ostatnią grupą drzew, już u stóp góry stał murowany dom rządcy, noszący nazwę »Monbiż« (zapewne w starożytności *mon bijou)*. Obszerna i wysoka sień dzieliła to domostwo na dwie połowy. Jedna z nich była zupełnie nie zamieszkaną. Stały tam kadzie z gorzelni i rozmaite popsute części młockarni, pługów i t. d. Właściwe mieszkanie Walerego Szyny składało się z dwu obszernych pokojów z oknami zakratowanemi, wysokich i czysto wybielonych. W tych dwu izbach znajdowały się dwa łóżka żelazne, dwa stoliki, trzy stołki, pięć batów, dubeltówka, kilka regestrów i kilka piór tak dalece zardzewiałych, że wyobrażały prędzej wykopaliska z czasów przedchrześcijańskich, niż współczesne narzędzia, służące do stwierdzania pismem na tak zwanych kwitkach najwyższej, jaka być może, stopy wartości dodatkowej. Sam gospodarz tego mieszkania był człowiekiem niesłychanie przyjemnym. Gdy w okrągłym, miękkim kapeluszu, krótkiej marynarce i sztylpach harcował na koniu, niejedna dama zatrzymywała na nim spojrzenie, choć wcale pięknym nie był. Brak wykształcenia fachowego, a właściwie mówiąc absolutny brak wykształcenia, zastępował skutecznie energią, wytrwałością prawdziwie żelazną i wiadomościami, wyłowionemi z rozmów lub zdobytemi w t. z. szkole życia. Owa szkoła życia jest instytucyą naukową wcale niezłą, jeżeli takimi jak Szyna wychowańcami poszczycić się może. O każdej rzeczy, o każdem zjawisku miał on

pojęcie dosyć jasne, chociaż tak rzadko zaglądał do książek. Dziedzic Skakawek nie przyczyniał się wcale do administrowania majątkiem. Był to dość pospolity pewien rodzaj hrabiego, zajęty jedynie misteryami arystokratycznemi i podchodzeniem rzadcy. Całe tedy agronomiczne kierownictwo, administracya, a niejednokrotnie i ekonomskie wykonywania własnych rozporządzeń leżało na barkach Szyny. Tymczasem urodzaje były dobre i dochody z majątku zwiększały się stale. Prawda, że i robotnik był tani, zwłaszcza, jeżeli umiało się go zażywać sposobami, w których Szyna celował, t. j. wyzyskać do ostatniej niteczki. Gorzelnia również funkcyonowała dobrze, inwentarze były w stanie wyśmienitym, kultura majątku szła w górę i hrabia ze Skakawek nietylko począł uchodzić za znakomitego agronoma, ale nawet czasami, w chwilach poobiedniej miłości bliźniego, nosił się z marzeniem o ufundowaniu we włości swej modnego szpitala dla kilku niedołęgów. Tak szczęśliwą i zazdrości godną była i jest po wsze czasy dola hrabiów, która im się zresztą najsłuszniej należy, jak tego dowiódł przed wiekami czcigodny rycerz z Manszy, mówiąc: »Dowiedz się przyjacielu Sanszo, że ze sług dobrych lub złych biorą ludzie miarę o wartości pana, a gdybyś zdołał przenikliwiej w świat spoglądać, dostrzegłbyś snadnie, że całą przewagę wielkich panów nad tłumem stanowi to, że posługują się ludźmi, którzy od nich niekiedy więcej mają rozumu«.

Po przyjeździe do Skakawek, kiedy Kuba Ulewicz, udając się na spoczynek po raz pierwszy, zdjął surducik, Szyna przeraził się widokiem bielizny swego gościa i aż

na chwilę oniemiał. Zaraz tej samej nocy podzielił się z nim pół na pół koszulami, surdutami, paltotami, czapkami, butami i t. d. Nazajutrz Jakóbek wykąpał się w rzece, wyczesał, ubrał w czystą bieliznę i całe odzienie. Prawda, że ten zagłodzony urzędniczek na jelenich nogach, wziąwszy na się palto z ramienia tęgiego Szyny, zmajstrowane przez izraelitę w bardzo małem miasteczku sąsiedniem, wyglądał jak tyka ubrana w siennik, ale za to jakże się rozkoszował czystą bielizną. Była to w pierwszych chwilach błogość szczytna, zarówno fizyczna jak moralna. Nie mniejszą a nie słabnącą sprawiało mu nieustanne, cogodzinne, prawie dotykalne odradzanie się ciała i ducha. Była to jakby uciecha natury i sił organizmu, odosobnionych i nie podlegających świadomości, które wraz zaczęły pokonywać swe skrzywienia, zanik, czy zwyrodniałość. Kubuś dowiadywał się teraz o istnieniu w jego duszy wyobrażeń i uczuć, nigdy dotąd nie doświadczanych. Z dnia na dzień umysł jego rozszerzał zakres swego objęcia. Tak jeszcze niedawno cała ta ziemia, pospołu z plemieniem ludzkiem i niezmiernymi owocami jego pracy, była dla niego istotną pustynią, zawaloną gruzami i rządzoną przez bezprawia podłości. A oto teraz nietylko żywił głębokie do cna prawdziwe braterstwo dla Szyny i wielu innych mieszkańców tego folwarku, ale nadto, co go nieraz aż zastanawiało, czuł w sercu górne i trwałe szczęście z tego błahego powodu, że pewnym wierzbom tak dobrze było rosnąć, ssąc wilgoć ze smugów nad stawami, że pszczołom dobrze się pracuje w upalne przedpołudnia po szczytach lip, że młody owies tuż za gankiem ma w swej barwie czarnozielonej, w swo-

ich tęgich, szorstkich i grubych szypułach jakąś zbójecką hartowność, jakąś zaciekłą namiętność rozrastania się, wzmagania, życia. Gdy sam jeden szedł w ciszy, pośród głębokich cieniów, rozpostartych przez wspaniałe drzewa, albo gdy się wylegiwał w bujnych trawach nad brzegiem rzeki i gdy beztroska dochodziła do szczytu, był w stanie przypominać sobie nawet Warszawę, jej wrzask, jej rozpalone chodniki i ściany, jej zgniłe powietrze. Najczęściej wszakże stawało mu w oczach pewne drzewko warszawskie, rosnące na ciasnem podwórzu żydowskiej fabryki kapeluszy. Drzewko to widywał codziennie z okna swego mieszkania, ale teraz dopiero zaczął o niem myśleć. Stało samotne na dziedzińczyku, wylanym asfaltem, usiłując wszczepić okaleczałe korzenie w odrobinkę gruntu, która je otaczała. Na koronę tego młodego kasztana bez przerwy buchała para, w stałych odstępach czasu wypadająca z rury owej nędznej fabryczki — i połowę jego liści oparzyła i zdarła. Wspomnienie to kojarzyło się z myślami o samym sobie, o owych w biały dzień spadających na człowieka czarnych nocach i o tych wszystkich synach człowieczych, którzy nie mają, gdzieby głowę skłonić...

Dusza Jakóbka stawała się wówczas czułą jak rana, zdolną do jakichś wdzięczności bezprzedmiotowych i niezbadanych, do współcierpień i współczuć i tak wysoko ludzką, że docierała aż do granic mądrości. No — ale bo też jadł owe krupniki, pekelfleisze, barszcze, a osobliwie owe młode kartofle z jeszcze młodszem masłem! Zdarzało się przecie, że zjadłszy jednym tchem wszystko, co było na obiad i zakąsiwszy tę rzecz bocheneczkiem

chleba, poczynali obadwaj z Szyną wrzeszczeć przeraźliwymi głosami:

— Babo, mało!

I przytrafiło się nawet, że nie można ich było umitygować jakąś donicą poziomek ze śmietanką, albo koszykiem małgorzatek. Zmuszali starą kucharkę do ponownego »podbierania«, skrobania i gotowania sagana kartofli. Po obiedzie Szyna wsiadał na koń i ruszał w pole, a Ulewicz szedł piechotą w łąki albo do lasu na medytacye. Czasami, gdy zjawiali się szynkarze, dobierał i odmierzał wódkę w zastępstwie swego kuzyna, czasami podejmował akcyźników, rewidujących gorzelnię, albo pisał kwitki i wykazy dni roboczych. Po upływie mniej więcej miesiąca wypasł się, jak żubr, opalił, wyprostował i wyprzystojniał nadspodziewanie. Był teraz zwinny, zgrabny, dowcipny i wesoły. Tylko w oczach miał jakąś mgłę niepokoju, która jeszcze Szynę gniewała. Kiedy tak już rzeczy stały, dowiedzieli się o egzystowaniu Kubusia w Skakawkach dalecy jego krewni, którzy w tych stronach mieli swoje siedziby. Walery Szyna rzadko u nich bywał, już to ze względu na nawał obowiązków, już dlatego, że niezbyt szczelnie pasował do krewnych, trzymających z dawien dawna dzierżawy donacyjne albo posiadających folwarki. Tymczasem spadł na obudwu niespodziewanie list takiej ciotki Karoliny, jaka uległa w pamięci Kubusia zupełnemu przedawnieniu, a imaginacyi Walerego przedstawiała się w postaci dużego cienia w czepku i okularach. W liście było stanowcze żądanie, aby Kuba, nie zwlekając, jechał do siedziby owej ciotki i zapewnienie, że krewni, których w tamtej okolicy było pełno, zapraszają

go wszyscy razem i każdy swoim dworem z całą gościnnością.

Kuba przypomniał sobie z goryczą potępiające go listy tych samych ciotek, kiedy najbardziej, najniezbędniej potrzebował rady i jakiej takiej opieki, ale machnął ręką i oświadczył Szynie, że ma chęć a nawet zamiar poznajomienia się z familią. Po głębokiem rozważeniu rozmaitych okoliczności, z tem postanowieniem związanych, uradzono, że pojadą obadwaj w wigilię dwu świąt, przypadających w najbliższym czasie. Owe dwa dni poprzedzały generalne rozpoczęcie żniwa we wszystkich folwarkach i stanowiły jakby chwilę ciszy przed burzą. Gdy nadszedł oznaczony dzień wyjazdu, Szyna załatwił hurtownie, przy pomocy Kubusia, wypłatę tygodniową, objechał folwarki, wydał rozporządzenia i kazał założyć parę koni do maleńkiej bryczki. Mikroskopijny chłopaczyna sterczał w kielni, Szyna sam powoził, siedząc z Kubusiem na przedniem miejscu. Wyjechali już nad wieczorem. Dzień był cudnie pogodny, lśniący tem łagodnem światłem, co zdaje się bić nawet z ziemi. Od Skakawek do Wrzecion, gdzie mieszkał Wincenty Wzorkiewicz, cioteczny brat Kuby, było sześć mil opętanych najbliższą drogą, którą puścił się Walery, omijając trakt bity. Jechało się po rozmaitych wertepach, nieraz miedzami, a w ogóle drogą niesłychanie polską. Wyminąwszy małą mieścinę żydowską wjechali w lasy i piachy, ciągnące się na przestrzeni mil kilku. Piasek był tak głęboki, że tęgie konie mogły iść tylko noga za nogą. Wózek posuwał się ledwo, ledwo, huśtał w piasku tam i jakby napowrót, a niósł podróżnych niby kolebka na

biegunach. W tych dużych lasach noc ich zaskoczyła. Naokół stała knieja, wyciągająca nad szarą pręgą dróżyny czarne gałęzie jodeł i świerków. W ciemnem sklepieniu nieba poczęły błyskać gwiazdy i niecić dziwnie łagodną, szarą półświatłość. Ani jeden wietrzyk, ani jeden szelest nie wydobywał się z głębin lasu, spoczywających w mroku. Obadwaj jadący byli w niezwykłym nastroju, który tak rzadko jest udziałem człowieka. Nic im nie dolegało, nic nie było ani za nimi, ani przed nimi takiego, o czem trzebaby pilnie pamiętać, a co ważniejsza, o co trzebaby się troszczyć i niepokoić. Spokój niezakłócony leżał w głębi ich istnień, zupełnie taki sam, jak ów otaczający. Czasami tylko rozkosznemi wrażeniami uderzał rozczuloną imaginacyę Ulewicza las i noc czarowna. Sterczące gałęzie i zuchwałe obok nich mroki przybierały co moment kształty najrozmaitsze i najbardziej cudaczne. W jednem miejscu widać było zgarbionego chłopa ogromnych rozmiarów, który wyciągał rękę, podobną do komina lokomotywy, gdzieindziej czaił się potwór podobny do mandryla, ale ozdobiony zabawnie skrzywionym dzióbem, dalej sterczały do góry dwie nogi jakiegoś podartego kadłuba, albo z nienacka wynurzała się z cieniów twarz nieprawdopodobnie, nadziemsko, cudownie piękna, twarz biała i przejrzysta, jakby wykrojona z mgły, a przecie żywa i wyrażająca coś strasznego, niby myśl o śmierci. Ta twarz ze spuszczonemi powiekami równo płynęła w powietrzu, prosto do oczu Jakóbka i kiedy miał z krzykiem przerażenia rzucić się Waleremu na szyję, rozpadała się w nicość, jak inne złudzenia.

Pod wpływem tych ułud wzroku doznawał zara-

zem przemiany i cofania się wyobrażeń, aż do stanu ledwie dających się uchwycić pamięcią wrażeń dzieciństwa, aż do owego chaosu niezłożonych pojęć, kiedy bajka piastunki sprawia istotną rozkosz artystyczną.

Szyna rozpowiadał tymczasem o krewnych, dalekich kuzynach i ludziach, znanych Kubusiowi ze słyszenia zaledwie, z dawno zapomianych legend familijnych. Opowiadał wybornie, ilustrując rzecz gestami i tonem, do czego przyuczył się, przebywając ciągle na otwartem powietrzu i w polu. Pokazywał tedy różnych dziadków stryjecznych i ciotecznych, których widywał, będąc b e r b e c i e m. Każdy prawie z takich służył w ułanach albo w trzydziestym roku w krakusach, albo przynajmniej jakieś tam miał zajścia z Konstantym. Te opowiadania w sposób szczególny kojarzyły się w umyśle Kubusia z owemi figurami cieniów i nikłych świateł, jakie las przybierał. Zepsute i przeinaczone przez prostaka Szynę podania, świetne, pełne chwały i honoru uczynki »wojskowych«, odznaczenia się w wielkich bitwach, wybryki dumy czy fantazyi — wszystek ten świat umarły, schowany w nimbusie legendy, był dla Kubusia w owej chwili jak piękny sen, czy zachwycenie, co raz się przed oczyma nędzarza przesuwa i przepada.

Miało się pod północek, kiedy nareszcie wyjechali z lasu na obszerne, zbożowe pola. Droga tam była twardsza, to też konie poszły ostrego kłusa. Na prawo i na lewo widać było w rozmaitej odległości migające światła we wsiach i folwarkach. Wkrótce płaska równina wyginać się poczęła w nieznaczne wzgórza i rozdoły. Co pewien czas wózek wspinał się na strome pagórki

i zaraz zjeżdżał wąwozami do dolin, tchnących chłodną wilgocią i przykrytych oponami mgły nocnej. Czasami ukazywały się obok drogi duże czarne sylwety zabudowań folwarcznych i wyniosłe smugi topól, podobne do śpiczastych słupów, albo szarzała długa, szczelnie zabudowana kolonia chłopska. W pewnem miejscu droga wykręciła się i poszła w górę po dnie wąwozu, na którego lewem zboczu czerniały szeroko zarośla ogrodu, otoczone parkanem. Na szczycie, wśród tych drzew, błyskały ostro światła w mieszkaniach i zarysowywały się liczne budynki. Największy z nich był dworem widocznie, bo światło biło zeń na zewnątrz przez szereg dużych okien i słychać było grę na fortepianie. Przez oszklone, szerokie, a w owej chwili otwarte drzwi, biała masa blasku padała na balkon, wiszący nad drogą. W pokoju, sąsiadującym z balkonami, ktoś grał ognistego walca z prawdziwym entuzyazmem i odpowiedniem waleniem w instrument.

W polach, które o północy wydawały się głuchem i ziębiącem pustkowiem — ten walc podziałał na podróżujących bardzo żywo i posilnie.

— Kto tu mieszka? — zapytał Kuba.

— Tutaj... Wiesz, że nie mogę się zoryentować. Poczekaj-no...

Mimowoli Walery wstrzymał konie i zaczął przyglądać się zarysom budowli. Wtem muzyka ucichła i na balkon ktoś szybko wybiegł, a właściwie jednym susem wyskoczył. Ulewicz dostrzegł kształt głowy owej osoby, kiedy drzwi wymijała. Wydało mu się, że jest to młoda panienka. Osoba sparła się obiema rękami na balustradzie ganku i pochyliła nizko głowę, jakby pragnąc rozpoznać,

czy zobaczyć przyczynę szelestu w wąwozie. Zdawało mu się również, jakoby wymówiła półgłośno jakiś wyraz. Wówczas głowa jej znalazła się znowu w najżywszym promieniu światła i włosy dziwnie zalśniły.

— No wiesz, że nie mogę zmiarkować... Czyżby to był Radostów?... — rzekł Szyna. Cmoknął na konie i wkrótce wyjechał z wąwozu na równinę wielkiego płaskowzgórza.

Kubuś nie mógł odjąć wzroku od sylwetki na balkonie, która nagle tak go zastanowiła, przejęła taką szczególną ciekawością, jakby zobaczył nowy, fantastyczny dziw lasu, co za chwilę, za pierwszem zmrużeniem oka zamieni się w gałąź, albo cień. Był niemal pewny, że całe to widzenie było śmiesznem urojeniem, po prostu grą nocy.

Wózek wtoczył się do alei lip, ciemnej, jak krypta. Folwark wraz z oświetlonemi szybami przepadł w mrokach. Na końcu alei drogi rozbiegały się w rozmaitych kierunkach. Lecieli tedy pierwszą lepszą, na chybił trafił, podśpiewując i z prostacka sadząc się na tłuste dowcipy. Po obudwu stronach drogi stały wysokie zboża. Kiedy bryczka zsuwała się w płytkie, wysłane pyłem wąwoziki, Kuba widział tuż nad swą głową czarne źdźbła i nagięte kłosy żyta, które zdawały się zaglądać mu do oczu i coś szeptać, kiwając się jednostajnie. Jadąc noga za nogą pod górę, słyszeli szelest zbóż dojrzałych cudownie melodyjny, podobny do jakichś nabożnych dźwięków.

Franek w tyle wózka wytrzeszczał oczy, usiłując nie spać, choć jego magierka chwiała sie co minuta bez-

władnie w najrozmaitsze strony. Znowu majaczeć poczęły jakieś domostwa i drzewa.

— A co to za wieś, ojcze? — spytał Szyna człowieka w białej koszuli, przechodzącego w tym momencie obok wózka.

— Wrzeciona, panie...

— To traf! — zawołał Walery. Wyobraź sobie, że jesteśmy u celu. Tu właśnie mieszka Wzorkiewicz. Wjechał na podwórze folwarku i skierował konie przed ganek obrośnięty dzikiem winem, gdzie się jeszcze świeciło.

— A kto tam? — zawołano od progu.

— Swoi! — rzekł Szyna. Panowie ze Skakawek.

— Przyjechali... — zawołał jakiś głos życzliwy.

Za chwilę Kuba znalazł się w objęciach osób, których nigdy w życiu nie widział. Ściskał go przedewszystkiem szlachcic krępy, rozpęczniały w pasie, wąsaty i łysawy, z szyją tak grubą i głową tak niewielką, że cała kombinacya w sumie przypominała — wydrę. Następnie podstawiła mu upudrowany policzek młoda jeszcze dama z noskiem krótko przyciętym i uśmiechem bardzo kokieteryjnym.

Byli to właśnie pp. Wzorkiewiczowie, którzy pobrali się przed trzema laty i siedzieli dzierżawą na owych Wrzecionach. Wniesiono zaraz salaterkę z piękną potrawką cielęcą, półmiseczek z kartoflami i wskutek tego najciekawsze odpowiedzi przyjezdnych utonęły w sosie. Po kolacyi, przy herbacie nastąpiła chwila rozmowy, z konieczności sztywnej i nieszczerej, a wkrótce później wszyscy udali się na spoczynek. Jakób nocował z Szyną w dużej izbie jadalnej. Posłano im na dwu szerokich so-

fach, które tam stały. Młody jegomość był rozmarzony wrażeniami, jakich dnia tego doznał.

Długo nie mógł zasnąć. Z rękoma wsuniętemi pod głowę leżał na posłaniu bez ruchu i wpatrywał się w otwarte okno, widzialne w grubej ciemności, jako szary prostokąt. Z zewnątrz szły szelesty i niepochwycone głosy nocy letniej na wsi, które tak skłaniają do marzeń, gdy się jest młodym i gdy się ze wszystkich sił pożąda życia. Przejażdżka ta była dla Ulewicza po wszystkich nędzach warszawskich czemś absolutnie nowem i bardzo rozkosznem. Usypiał wśród marzeń nieziszczalnych, niedorzecznych i pragnień namiętnych a bezcelowych, które są niby fizycznem rozrastaniem się duszy człowieka.

* * *

Wzorkiewiczowie z wielką gościnnością zatrzymali u siebie Jakóba na czas nieograniczony. Szyna sam nazajutrz wieczorem do Skakawek odjechał.

Zaraz następnego dnia Kubuś począł tęsknić za kawalerskim żywotem, spędzanym w gościnie u Walerego. We Wrzecionach musiał się krępować i znosić cierpliwie, a nawet z przybranym uśmiechem radości, kokieteryę pani domu. Była to kobieta bardzo nieszczęśliwa, jak zresztą większość szlachcianek w tamtej okolicy. Nic one tam nie robią, sieroty, wzorując się na wielkich damach, ale za to nudzą się, jak mieszkanki haremów, ponieważ

nie kosztują ani jednej z tych rozrywek, które dla dam rzeczywistych stanowią jedyną postać pracy. Wzorkiewicz nigdzie nie bywał, nawet u najbliższych sąsiadów i nikogo literalnie u siebie nie przyjmował, zupełnie tak samo, jak wszyscy jego sąsiedzi. Orał, siał, młócił i był w stanie rozprawiać tylko o siewnikach, pernoletach, drapaczach, walcach, młocarniach, grabiarkach, źrebiętach, ocieleniach i t. d. Pani Natalia nie zajmowała się żadnem z tych zjawisk. Siedziała i patrzyła w okno. Siadała zaś i zakładała nogę na nogę w sposób tak oryginalny, że widać było jej pończochy (zazwyczaj opadnięte) i kolana. Lubiła nadto rozwalać się kokieteryjnie na kanapach i na szezlongu. Małżonek jej, cuchnący, jak sam mówił, — wiatrem, a właściwie potem i nawozem końskim, mawiał z szyderstwem, że ów szezlong kazała zbudować specyalnie w tym celu, aby do zupełnej fiksacyi pozami swemi doprowadzić miejscowego proboszcza, człowieka usiłowań ascetycznych, a jedynego mężczyznę, na którym mogła co niedziela doświadczać potęgi pończoch zamanifestowanych. Teraz, gdy przybył Ulewicz, »kuzynka« zupełnie dała pokój cnotliwemu księdzu. W miarę wzrostu kokieteryi — Kuba tracił do kuzynki sympatyę. Spragniony był wsi, ciszy, prostych rozmów i wszelkiemi siłami unikał wzruszeń, a kuzynka wprowadzała go przemocą do jakiegoś duszącego świata, który był śmieszną karykaturą miejskiego zepsucia. Mąż kuzynki wyjeżdżał najspokojniej o wschodzie słońca do żniwa i zabierał ze sobą wszystką służbę aż do ostatniej pokojówki. We dworze pozostawało tych dwoje ludzi. Upał rozczulał widocznie instynkty miłosne pani Natalii do ostatniego

stopnia, bo zapominała nieraz całkowicie, co wyrabia. Nosiła kostyumy tak przeźroczyste i powycinane, że Kuba do reszty obrzydził sobie jej krostowate plecy i brzydkie ramiona. Już po upływie tygodnia pałał mocnem postanowieniem ucieczki. Truchlał na samo przypuszczenie, że negliże pani Wzorkiewiczowej mogą go fizycznie rozbestwić, a nie chciał przecie w sposób tak nikczemny sponiewierać zaufania swego ciotecznego brata. W trakcie namysłu nad planem i pozorami tej rejterady, wypadł właśnie odpust w parafii sąsiedniej, najważniejsza uroczystość o tej porze w całej okolicy. Ponieważ ten przypadał w same żniwa i to w czasie robót najgwałtowniejszych, był tedy istotnym dniem wypoczynku i wesela. Było to święto spalonych na słońcu najemników, ludzi zgiętych od dni kilkunastu, była to uroczystość hołoty, która, zarobiwszy kilka złotówek, bawiła się raz do roku z całej duszy. Od świtu tego dnia słychać było we wszystkich wioskach, na wszystkich drogach, ścieżkach i miedzach głośne bębnienie i śpiewy. Ciche zboża, nieme łąki i pastwiska roiły się od barwnych kompanij i rozbrzmiewały echami litanij nabożnych.

Na głównym gościńcu wzbijała się kurzawa, a z niej wypływały co chwila jaskrawe barwy. Czerwieniły się w słońcu szalinowe chusty starych babek, jaśniały fartuchy dziewek, pracowicie wyhaftowane, dalej widać było bronzowe sukmaniska chłopów, a w górze połyskiwał i migał szkarłat rozpuszczonych chorągwi, obszytych złoconemi taśmami i frędzlą. Gościniec rozciągał się na brzegu rzeki w szerokiej rozpadlinie między wzgórzami. Około godziny dziesiątej z rana posuwała się po

nim wyścielana bryczka państwa Wzorkiewiczów. Konie, dla ścisku panującego na drodze, szły noga za nogą, kiwając łbami i puszczając w ruch ogony dla opędzenia się od much i bąków. Kuba siedział na przedniem miejscu, tyłem do koni, a twarzą do pani Natalii zwrócony. Pozycya ta narażała go na potajemne deptanie po nogach, któremu z niezmąconym stoicyzmem, godnym lepszego skutku, oddawała się pani Natalia. Zniecierpliwienie Ulewicza zamieniło się w niemy uśmiech »do zimnych liców przymarły«. Rozglądał się na prawo i na lewo, pragnąc czemkolwiek zająć uwagę nękającej go damy i przerwać głupstwo, jakiemu bezwładnie i ze wstrętem ulegał.

Pośród tłumu obleczonego odświętnie, z największym pośpiechem dreptał Abraham Machtyngier, pchający przed sobą na ręcznym wózku o dwu kołach towar odpustowy t. j. beczkę z kiszonymi ogórkami i opałkę ulęgałek. Drewniane trepy jego kołatały na ścieżce twardo udeptanej, powiewał kaftanik na bokach rozpruty i nastrzępiony u dołu cycełesami, odsłaniając bardzo starą i nieco brudną perkalową koszulę. Wszystkie siły Abrahama były już wyczerpane. Postępował jeszcze i popychał swój wózek, ale były to już ostatnie spazmy muskułów. Po wychudłem obliczu żyda spływały strugi potu, a może i łez. Spojrzawszy na tego człowieka, gdy go zwolna wykwintna bryczka omijała, Kuba poznał, że ma przed sobą nędzarza wysokiej próby. Twarz zielonobiała w największym upale, »*nasus acutus*«, usta spieczone żarem wewnętrznym, obwisłe ramiona i te oczy, to spojrzenie!... Gdy już został w tyle za plecami Wzor-

kiewicza i jego żony, nadobnie tkwiących na głównem siedzeniu, żydzina podniósł głowę i począł z wielką pokorą, z paroksyzmem pożądania dopraszać się czegoś od Kuby gestami i zagadkowymi znakami. Znaczyło to, że chce nieznacznie przyczepić dyszelek swego wózka do bryczki i błaga o sekret. Cała głębia duszy Ulewicza drgnęła. Wydało mu się z nagła, że to on tam idzie, ciągnąc wózek, że to jego tam, za bryczką, bolą nogi, ramiona i serce, że to jemu samemu dolega ciężar beczki ogórków z soporem i nadmierny ciężar życia. Twarz Kuby krzywiła się z żalu i oczy mgłą zapłynęły. Podniósł ręce i wymamrotał do żyda jakieś wyrazy, jakieś dźwięki bez treści i sensu. Wzorkiewiczowie parsknęli śmiechem, spostrzegłszy tę zabawną mimikę. Kuba zaraz oprzytomniał, zawstydził się i zaczerwienił tak, że mu mało krew nie trysnęła z uszu. Chciał wytłómaczyć przyczynę swego wzruszenia, przedstawić wysiłki nędzarza, ale miało to taki skutek, że barczysty furman śmignął Abrama Machtyngiera batem przez plecy. Bryczka potoczyła się raźniej.

Z za ostatniego ramienia góry widać już było kościół. Jaskrawo czerwieniła się jego dachówka pośród wielkich drzew i przeglądały ściany białe. Dokoła muru, opasującego cmentarz, roił się, podawał naprzód i cofał, mienił kolorami i bełkotał ogromny tłum ludzki. Nad nim kołysały się, przekręcały, opadały i wznosiły szmaty chorągwi, podobne do fruwających płomieni ognia. W powietrzu gęgało potężne bicie w dzwony.

Kiedy bryczka Wzorkiewiczów zatrzymała się pod kościołem, właśnie rozpoczęła się była procesya.

W wązkim cmentarzyku, między opasującym go murem i ścianami kościoła, posuwała się zbita w masę ruchomą gromada ludzi, podobna do tłoku, szczelnie przystającego do ścian naczynia. Kilkunastu wysokich i barczystych chłopów, postępując tuż za baldachimem niesionym przez czterech surdutowców, rozpierało się w ramionach i wstrzymywało napór tej masy ciał na podobieństwo stawidła, osadzającego w miejscu nacisk gwałtownych nurtów rzeki. Przed księdzem wzbijały się jasnymi kłębami pachnące dymy kadzidła, przesadnie wystrojone dziewczątka szlacheckie rozprószały kwiaty i na twarz upadały rozmodlone kobiety. Tłum śpiewał, jak jeden człowiek, z całego serca, z całej piersi, z całej gardzieli. Jednostajne i przeciągłe wylewy surowej melodyi rozrywały się przez potężne uderzenia w dzwony, niby przez twarde cezury na części rytmiczne. Ten jęk dzwonu zachwycał dusze chłopskie. Bił tam w górze nad wszystkimi, jak wzburzone serce, które uderza za wszystkich. W głębi starej dzwonnicy stali parobcy w koszulach, spoceni, z czuprynami spadającemi na czoła i targali za liny z całej siły. Gdy postępujący za procesyą okrążyli kościół i zwalili się przez wązkie drzwi do wnętrza, chłopcy puścili z rąk sznury i, wycierając spocone szyje rękawami, ruszyli za innymi do zakrystyi. Chudy kościelny z przebiegłemi oczami snuł się teraz po stratowanej murawie, roznosząc krzesła dla księży spowiedników i ustawiając je w cieniu. Serca dzwonów uderzały jeszcze, ale już z cicha, coraz rzadziej, coraz jękliwiej.

Placyk się oczyścił. W cieniu, na gzemsie muru zasiedli starcy, wydobyli olbrzymie różańce i poczęli uważnie

odmawiać pacierze, zrzucając ziarnko po ziarnku, jak dzieci wyuczające się trudnej lekcyi. Konary lip osłaniały to zacisze od promieni słońca, nie chroniły go jednak od skwaru, który bił od murów. To też twarze chłopów, ich spalone, prawie czarne i pomarszczone karki ociekały brudnym potem i roztopionym tłuszczem słoniny, którą na tak wielką uroczystość wysmarowali swe włosy. W kościele dawał się słyszeć już to głos organów, jęk pobożnych, witający monstrancyę, przeraźliwy hałas dzwonków, już to starczy, ochrypły i gdakający głos kanonika, śpiewającego sumę. Księża do spowiedzi, ubrani w komże, wysuwali się po jednemu z zakrystyi i zasiadali w krzesłach, porozstawianych w cieniu. Byli to starzejący się, albo zupełnie starzy proboszczowie z parafii sąsiednich. Najstarszy był starowina z nagiętym pałąkowato grzbietem, z obwisłą dolną wargą i krzaczastemi brwiami. Dreptał po murawie, upatrując wygodnego miejsca, wycierał machinalnie czerwoną chustką swój nos wystający, wpychał ją w rękaw wytartej sutanny, znowu wyciągał, skręcał w węzełek i zabawnie tarł sobie nim pomarszczoną łysinę. Przed podniesieniem zaległa cudowna cisza. Nawet organy nie śmiały jej przerywać. Głos ich łkał jakiemiś rzewnymi półtonami, a tak cicho, że słychać było gwar pszczół pracujących na lipach, szmer os i much, a nawet szelest żyta, uderzającego dojrzałymi kłosami o mur cmentarny. Naokół lud z cicha szeptał modlitwy, co sprawiało takie wrażenie, jakby się było na jesieni w brzozowym lesie, gdy wszystko stoi w niemem milczeniu i tylko liście dziwne i przejmujące trwogą prawdy szeleszczą.

Wtem z otwartych okien plebanii dał się słyszeć głos popędliwej gospodyni:

— Jak cię, flądro jedna, wytnę w zęby, to ty mi się nogami nakryjesz i oduczysz tego wylizywania rondlów! Rypaj po sałatę!

Kuba stał na cmentarzu obok Wzorkiewiczów, z gracyą wysunąwszy naprzód lewą nogę. Bardzo dawno nie był w kościele wiejskim, nie czuł się jednak obcym w przybranej pozycyi szlachcica. Gdy w ciszy jęknęły dzwonki i wszystkie głowy chłopskie schyliły się ku ziemi i Kuba pochylił się nieco. Właśnie w owej chwili dał się słyszeć turkot jakiegoś jeszcze pojazdu. Po chwili na cmentarz weszło kilka nowych osób. Na przodzie szedł gruby i łysy szlachcic w staromodnym surducie, z pewnością siebie, spokojem i jakby nabożnem skupieniem ducha roztrącając kolanami klęczących chłopów, a pięścią rozmodlone baby. Za nim postępowała dama w czarnym woalu i czarnej mantyli, dalej szedł młody jegomość w pięknym paltocie angielskim, połyskując zadartą i artystycznie rozczesaną głową. Na samym końcu posuwała się młoda panna, wystrojona podług ostatniej mody i z szykiem wielkomiejskim. Twarz jej zasłaniała biała woalka. Całe towarzystwo, spostrzegłszy Wzorkiewiczów, zbliżyło się do nich i poczęło witać, ale w sposób taki, że stary pan zaledwie końcami palców dotknął ręki Wzorkiewicza, Kubę zmierzył ostrem spojrzeniem, natychmiast odsunął się i zatopił w nabożnem sapaniu. Pani, panna i młody człowiek, uśmiechający się nieustannie a dziwnie bezprzedmiotowo, pozostali przy kuzynce Natalce i wszczęli rozmowę szeptaną. Młoda dzie-

wica uklękła zaraz obok matki na trawniku, wydobyła książkę w aksamitnej oprawie i, otworzywszy ją, zaczęła pochylać głowę miarowym i dosyć szybkim ruchem, co we wszystkich prawie guberniach »kraju Przywiślańskiego« wyobraża głębokie pogrążenie ducha w modłach i rozmyślaniu.

Kuba zauważył nietylko ruch tej głowy, ale również jej nadzwyczajną piękność. Uderzyła go przedewszystkiem wytworność tej postaci, tak żywo odbijająca od tła, na które składały się grube rysy i obrzydliwie prostackie stroje dziewek wiejskich, a głównie puder, zaspami leżący w zagłębieniach, około nosa p. Natalii. Zamknąwszy książkę wcześniej, niż można było przewidywać, piękna nieznajoma uniosła woalki i spojrzała na Kubę z takim wyrazem, jakby mu chciała powiedzieć: — o ile mi wiadomo, nie miałeś pan jeszcze sposobności widzieć moich oczu; — oto są...

Ujrzawszy te piękne oczy niebieskie, o połyskliwości żywego srebra, zamglone cieniami długich rzęs, ze spojrzeniem zarazem naiwnem i tającem w sobie lubieżność, tę twarz cudowną, bez rumieńca, białą twarz dziewczyny ledwie rozwiniętej, a już namiętnej, — od razu się zakochał. Zdawało mu się, że jakiś wysoki, najgórniejszy, ostatni jaki jest ton organów ścisnął mu serce i zawarł w niem na zawsze przedziwne szczęście. Kiedy z rozkoszą i nienasyconą ciekawością przyglądał się nieznajomej, znienacka, niby błysk świetlisty spadła na niego myśl, że to właśnie ona, że to ta sama, co stała wówczas na balkonie, którą kochał już od dni kilku, za którą tęsknił i wzdychał. Żadne słowo nie zdoła wyrazić

radości z powodu tego odkrycia... Było to szczęście skupione i zamknięte w sobie, krótkie, jak chwila westchnienia.

Nabożeństwo skończyło się. Lud tłumnie począł się cisnąć ku wyjściu, głośno rozprawiając. Wówczas Wzorkiewicz przedstawił Jakóba damie w mantyli, jej córce i synowi z twarzą figlarną. Okazało się, że dama jest matką, a panienka siostrą kuzynki Natalki. Wszyscy razem udali się na plebanię, gdzie już proboszczowie pospołu z wikarymi »zaczynali od żytniówki«. Ścisk i zaduch panował w nizkich izdebkach księżego domu. Na kanapie i krzesłach z poręczami siedziały wiekowe damy oraz kanonicy, a reszta gości przestępowała z nogi na nogę, pragnąc wynieść się co rychlej z tej atmosfery, przesyconej zapachami sosów i dowcipów klerykalnych.

Kubuś i panna Teresa znaleźli się przypadkowo obok otwartego okna, wychodzącego na ogród. W tym ogrodzie, tuż na rabatach, rosły prześliczne lilie białe, któremi ubierano co niedziela ołtarze kościelne. Ulewicz zamierzał ze szczególną śmiałością rozpocząć rozmowę od komplementu, mianowicie od przyrównania p. Teresy do jednego z tych kwiatów, ale nie mógł schwytać w myśli wyrazów odpowiednich. Stał obok niej zawstydzony, czerwieniąc się coraz nieprzyzwoiciej. Kiedy wreszcie udało mu się podnieść oczy, to spostrzegł, że i ona wstydzi się jakichś swoich wrażeń, że i na jej policzkach kwitną przelotne, nikłe rumieńce, a na ustach siedzi bojaźliwy uśmiech. Wówczas rozpanoszyła się w jego pojęciach taka mglistość, że wcale nie był pewny, czy stoi na własnych, nieco wykrzywionych obcasach, czy na

obłoku, wysoko w przestworze kołyszącym się nad tą ziemią, przepełnioną nędzami.

Wkrótce jednakże potem poczęły go przerażać myśli, że będzie zmuszony co prędzej zapomnieć o tej istocie tak w sobie cudnej, wyzbyć się tych wszystkich wrażeń, które niby krople wody, poza jego wolą i samowładzą, wsączały się, niosąc nieziemską ulgę, do jego zdrętwiałego serca. Rozmawiając sztywnie o rzeczach obojętnych i bardziej słuchając tonu i dźwięku słów, niż ich treści, doczekali się chwili odjazdu. Pani Zabrocka zbliżyła się do Jakóba i zaprosiła go na obiad do Radostowa. Wzorkiewicz odjechał sam do domu pod pretekstem wypłaty niedzielnej. Na obiad do owego Radostowa pojechała jego żona i Kubuś. Wszystkie trzy panie wsiadły do ogromnego powozu, znanego w okolicy pod pseudonimem *Arki Noego,* albo *Dorożki N. 464,* — a trzej panowie na wózek. Kubusia umieszczono na głównem siedzeniu. Obok rozsiadł się pan Zabrocki. Czasami, gdy powóz jadący przodem wolno usuwał się ze wzgórza, twarz panny Teresy, jej niewymownie kształtna głowa w małym kapelusiku, wynurzała się z pyłu — i po chwili znowu niknęła.

Stary pan Zabrocki należał do tego stronnictwa obywateli ziemskich, które zapatruje się na wszelkie sprawy ziemi, a nawet na cały wszechświat ze stanowiska, znajdującego się w samym środku gumna. Wiadomo, że z takimi ziemianami najtrudniej jest prowadzić grzeczny dyskurs, osobliwie hołyszom ze stronnictwa Kuby. Zabrocki wypytywał go naprzód (ze zbyteczną uniżonością) o stanowisko społeczne i rodzaj zajęcia, a skoro

tylko posłyszał o utracie posady, w tej chwili wszczął indagacyę z odmiennego tonu, bardzo szczegółową i przeplataną wcale niedbałem sapaniem, czego przed chwilą wystrzegał się z pewnym, nawet widocznym przymusem.

— A i cóż pan zamierzasz w dalszym ciągu?... Teraz o kawałek chleba piekielnie trudno — ho — ho — mój panie!

Kubuś literalnie nie wiedział, co zamierza nietylko w dalszym ciągu, ale i w najbliższej perspektywie, odpowiedział jednak z fantazyą:

— Proszę pana, — posadę znajdę sobie jeszcze lepszą!

— Proszę... Również w banku?

— Nie. Myślę rzucić się do kolei.

— Piękna myśl, bardzo piękna. Taki naczelnik stacyi psu drogi nie pokazuje w dzisiejszych czasach. Żaden folwark podobnej intraty panu nie da, jak miejsce naczelnika, albo, jeszcze lepiej, — kasyera, osobliwie towarowego.

Młody Zabrocki nie brał żadnego udziału w rozmowie. Wydymał tylko nozdrza, dumnie marszczył brwi i oglądał szczegóły ubrania Kuby.

— Kochany panie, — ciągnął pan starszy, — ale czyż to tak łatwo znaleść miejsce przy kolei? Ach, mój Boże! Ci Moskale, kochany panie... Gdybym ja to dla mojego cymbała mógł wyskrobać posadę pomocnika konduktora towarowego ostatniej rangi, to i tak suszyłbym przez trzy piątki...

Mówiąc to, wcale na syna nie patrzał, to też Kubuś domyślił się tylko, że to mowa o młodym elegancie.

— Tata znowu ze mną zaczyna, — zaperzył się pan Zygmunt. Już tacie tyle razy mówiłem, żebyś tata ze mną nie zaczynał i dał mi święty pokój do wszystkich dyabłów!

— Przecie, mój panie, ten głąb już mi łysieć zaczyna, — mówił uroczyście do Kuby pan Zabrocki. Nęka dziewczyny w całej gminie, ale to w całej gminie, i żeby panu palcem o palec uderzył od czasu, jak go wyrzucili z trzeciej klasy...

— Nie trzeba było skąpić na łapówkę dla Szulca, tobym się był nie »zerżnął« z łaciny! — zawołał pan Zygmunt. Sameś tata winien!

— Gdzież pan myślisz starać się o to miejsce, na jakiej drodze, jeżeli wolno zapytać?

— Na petersburskiej, — wypalił Kuba bez namysłu.

— Dobra myśl, bardzo dobra...

Wózek począł się wdzierać na strome wzgórze i zajechał przed ganek dworu w Radostowie. Na spotkanie przybyłych wybiegła osóbka nizka, brzydka, podstarzała i sterana. Kubuś dowiedział się wkrótce, że to była panna Tugend, niegdyś guwernantka, a obecnie towarzyszka panny Teresy. Ona głównie z panią Wzorkiewiczową usiłowała bawić go, gdyż piękna panna nie brała jakoś w rozmowie udziału. Siedziała pod oknem i tylko ukradkiem śledziła postać Kubusia i jego ruchy. Skoro wytoczył się z kancelaryi papa Zabrocki, przybrany w pantofle i stary surdut, wszyscy umilkli i on zaczął gadać. Te jego monologi były nieprzerwanem, bezlitosnem i nieszlachetnem szydzeniem z syna, zięcia, żony i owej panny Tugend. Ostatniej dokuczał najbardziej w sposób gruby

i tłusty, zanosząc się od śmiechu z własnych nużących i prostackich konceptów.

— Cóż to Tugendka taką dziś krótką spódnicę włożyła? Czy aby odrobineczkę z przodu nie krótsza? Oj — oj... Daj Panie Boże, żeby mię wzrok mylił... — gadał monotonnie, gdy guwernantka kręciła się dookoła stołu, nalewając rosół na talerze...

Nieszczęsna stara panna spłonęła rumieńcem i przełknęła łzy, które jej w oczach stanęły. Stary dziad obrabiał już tymczasem swego zięcia.

— Cóż to Wicunio, — mówił do pani Natalii, — obrażony, słyszę, na mnie grzesznego za to, że mu twojego posagu nie wypłacam? Nie przyjeżdża do mnie, gardzi, okrutny, moją strzechą i moją zupą. Niech gardzi, niech gardzi... Cóż pocznę? Ja nie mam, złamanego szeląga nie mam przy duszy. Cóż mu dam? Te pantofle? Obydwoma nie mogę go wyposażyć, ale jeden... z miłą chęcią... Ten gorszy z oderwanym napiętkiem...

Mówiąc to, zdjął z nogi pantofel i podawał go córce, gdy ta brała do ust pierwszą łyżkę rosołu.

— Wicuś poczciwina rozgłasza o mnie różne niemiłe szczegóły, opowiada, żem kutwa i skrobigarnek, który wszystkie skarby chce ze sobą zagarnąć do grobu! Cukiereczek! Powiedz mu z łaski swojej ode mnie, żeby sobie mną ząbków nie wycierał, bo to i tak wszystko napróżno. Ja ani jeszcze nie myślę umierać, ani nic nie mam takiego, coby warto zabierać ze sobą, idąc do Abrahama na piwo. Sama przed nim zaświadcz, Natalciu, jak podły rosół jadam na obiad. Nieprawdaż, panie Ulewicz?

— Ale gdzież tam, panie dobrodzieju!

— Więc to, według pana, ma być dobry rosół? Dziwi mnie to pańskie złudzenie, mocno mię dziwi. Nie, panie! Jest to najnędzniejsza rosolina pod słońcem. Racz pan tylko zwrócić uwagę, jak to on j e ł o p a w ząbki kole.

Kubuś domyślił się, o kim mowa, ale nie myślał podnieść oczu.

— Ja syna mojego, kochany panie, syna mojego, który tutaj siedzi, Zygmusia, nazywam j e ł o p e m... — ciągnął bezlitosny gderacz.

Na twarzach wszystkich osób obecnych malowała się głęboka i przygnębiająca cierpliwość. Można było poznać odrazu, że jest ona tam utartym zwyczajem.

— A ty czegoś się tak znowu dziś wyfiokowała? — zwrócił się pan Zabrocki do panny Teresy, — ale ta, w chwili gdy tylko mówić zaczął, porwała się od stołu i z płaczem wybiegła do sąsiedniego pokoju.

Panna Tugend rozpoczęła silny dyskurs z Kubą o powieściach, gazetach, teatrze, polityce i t. d., byleby gadanie starego zatkać jakim ciekawym szczegółem. Okropnie jej się to nie udało!

— Tere-fere-kuku, strzela baba z łuku! — zawołał. Co tam pan będziesz się nudził z tą starą romantyczką. Jeszcze jedna minuta i zacznie panu wiersze deklamować. A niech raz zacznie — no! Lepiej bądź pan łaskaw przyprowadź moją córkę z tamtego pokoju. Wiem dobrze, że pana jednego, jako gościa posłucha...

Kubuś stracił pewność w nogach i przytomność umysłu w sposób opłakany. Wiercił w palcach serwetę i uśmiechał się niedowcipnie.

Mówię panu — zrób to z łaski swojej, gdyż inaczej ta koza stamtąd nie wyjdzie.

Ulewicz wstał i nieśmiałymi kroki zbliżył się do drzwi sąsiedniego pokoju. Właściwie mówiąc, był bardzo wdzięczny staremu. Zabaczywszy pannę Teresę, siedzącą przy oknie z głową opartą na rękach, zapomniał z kretesem o komizmie tej całej sceny i wszedł do dziewiczego pokoiku. Schyliwszy się nad płaczącą panienką wyrzekł:

— Niech pani nie płacze... Cóż to pomoże... Na litość...

Podniosła głowę i spojrzała na niego przez łzy, stojące w źrenicach.

— Ach, jak mi przykro, jak mi przykro! — westchnęła. Ten obrzydły stary tak pana przyjmuje! On to na złość... ja wiem... Co pan sobie o mnie pomyśli? Jeszcze pan gotów posądzać mnie o co złego...

— Co ja mogę pomyśleć, o co panią posądzać? — rzekł szeptem, schylając głowę jeszcze niżej. Któżby tam zwracał uwagę! Niech pani przyjdzie do stołu...

— To on znowu zacznie...

— Co tam! Niech sobie... Za to o całe pół godziny dłużej...

To zdanie tak prosto i prędko biegło z głębi jego serca, że ledwo zdołał powstrzymać się od wyrzeczenia w całości myśli tyle śmiałej.

Panna Teresa posłuszna wstała, poleciła Kubie, żeby zbadał, czy nie znać, że łzy obficie dopiero co spłynęły po jej policzkach i przyszła do stołu.

Stary zajęty był właśnie drwinami z pana Zygmunta i ledwo przelotną uwagę zwrócił na młodą parę. Aż do końca obiadu wszyscy zgromadzeni czuli na sobie ucisk

moralny tyranii patryarchy rodu. Od pewnej chwili odczuwał ten ucisk i Kuba. Po czarnej kawie, gdy tyran zapalił cygaro i zwolna, klapiąc pantoflami, pofatygował się do swego gabinetu, wesołość ogarnęła umysły. Panna Terenia bardzo dyplomatycznie dla każdej osoby wynalazła jakieś pilne, albo przyjemne zajęcie i rozpędziła całą gromadkę. Bratu ułatwiła wykradzenie kluczów od śpichlerza z kancelaryi drzemiącego papy i *eo ipso* sprzedanie po kryjomu kilku korcy zboża, matkę zczepiła z panią Natalią, a sama, przybrawszy sobie za towarzyszkę pannę Tugend, wyszła z Kubą do ogrodu. Ogród ów zsuwał się po stromej pochyłości parowu. Ze szczytu widać było obszar bardzo rozległy. Najbliżej leżała płaska dolina, usiana smugami wiosek i kępami folwarków. Za nią wznosiło się nizkie płaskowzgórze, którego daleki kraniec znikał w szaroniebieskiej przestrzeni. Wszędzie dokądkolwiek biegły stamtąd oczy, stały zboża, zboża, zboża... Upał był jeszcze, a opadał nietylko z bezchmurnej, ciemnofioletowej pustyni nieba, ale promieniował zewsząd, jakby się tliły ściany zabudowań, dyle mostków, daszki, belki starych parkanów i deski ławek ogrodowych. Cały sad w dole spoczywał w milczeniu i pławił w gorącu. Na wysokich trawach obok zarosłych drożyn leżały rozkoszne, czarnozielone, grube cienie.

— Widzi pan tamten folwark z temi topolami, — mówiła p. Teresa do Kuby, wskazując mu ręką kierunek, — to są Mostowice, a tamto — Jabłonowa Góra, a to na szczycie — Ciepielówek...

Kuba nietylko nie był w stanie odróżnić Ciepielówka od Mostowic, ale nawet prawicy własnej od wła-

snej lewicy. Patrzał zresztą nie tam wcale, gdzie mu rozkazywano. Co prawda, to i panna Terenia pomagała mu do pospiesznego odwracania wzroku od Jabłonowej Góry. Wpatrywali się nawzajem w swe oczy i przyglądali ustom tak badawczo, jakby postanawiali w owej minucie na zawsze sobie zapamiętać ich kształt, kolor i najlżejsze drżenia. Kiedy dla samej przyzwoitości wypadało odwracać głowy, zaraz nękała ich obawa, że o tem wszystkiem zapomną i rozpoczynali badanie na nowo.

Jakób rzekł cicho:

— To pani była na balkonie od strony drogi pewnego wieczora z dziesięć dni temu, kiedy przejeżdżałem tam w dole z moim kuzynem?

Panna Terenia zatrzęsła się na te słowa i raptem pobladła. Oczy jej nakryły się powiekami, a usta powtarzały z niepojętą trwogą ten sam ciągle frazes:

— Pan mię widział, pan mię widział?...

— Przez krótką chwileczkę. Była pani oparta o poręcz. Widziałem tylko, że pani ma jasne włosy, bardzo jasne włosy. Nie widziałem wtedy oczu pani, ani ust, ani brwi, ani rzęs...

Panna Tugend siedziała na ławeczce, stojącej w cieniu dużego świerka i pogrążoną była w głębokich na pozór marzeniach i zadumaniu. To zadumanie z blizka miało wszystkie prawie cechy twardej drzemki, nie wyłączając chrapania. Ulewicz i panna Teresa spacerowali po ulicy, prowadząc przyciszoną rozmowę. Nigdy jeszcze młody ex-urzędnik nikomu nie opowiadał tak otwarcie swojego życia. Mówił o wszystkiem, co przeżył, wspominał nawet o nędzy i dniach głodu. Jakieś go owiało

pobudzenie do takiej spowiedzi. Zwierzenia sprawiały mu ulgę i głęboką radość, czuł to bowiem, że każdy z jego życia wypadek i sam opis tego wypadku wywiera na słuchaczkę taki urok, jakby to była historya jej własnej doli, po raz pierwszy opowiadana przez kogoś innego. Te szeroko otwarte, królewskie oczy zdawały się zaglądać aż do ostatnich głębin jego duszy, ażeby zobaczyć to nawet, czego on nie był już w stanie wyrazić słowami. Nawzajem i ona opowiadała mu wiele o sobie. Dowiedział się, że nigdy jeszcze nie była w Warszawie, ani nawet w żadnem większem mieście. Przeżyła na wsi, w tym oto dworze okrągłe lat dziewiętnaście od chwili przyjścia na świat aż do obecnej. Jedyną »koleżanką« jej była i jest panna Tugend.

— Ho, ho, — mówiła, — Tugendka miała ze mną niemało utrapienia...

— Czy tak?

— Tak, proszę pana. Udało się jej wyuczyć mię kilkuset słówek, ale co się tyczy geografii i wszelkich arytmetyk, to całuję rączki... Zresztą, mój panie, to jest takie nudne... Człowiek się uczy, czyta różne książki, żeby iść za mąż, potem idzie za mąż...

— No i może sobie czytać, a nawet uczyć się w dalszym ciągu, — wtrącił Kuba nieśmiało.

— A to znowu po co? Przecie żona nie będzie z mężem książek czytać!

Rzekłszy to, zarumieniła się przecudnie i zamilkła na chwilę. Potem mówiła znowu:

— Teraz tak się już biedna Tugendka zestarzała, że przestały ją zajmować nawet plotki.

— Cóż tu panie porabiają, w zimie naprzykład?

— To samo co i w lecie: — nic nie robimy. Mama zajmuje się domem, ogrodem, stołem naszym i czeladzi, piwnicą, konfiturami, a mnie kiedy niekiedy tylko każe drélować jakie wiśnie. Są to jednak nudy jeszcze bardziej nudne, niż inne...

— Za to panie zaczytują się, ręczę, w romansach...

— Ech... Myśli pan, że są u nas jakie romanse? Te, które przywiozła ze sobą Tugendka, gdy ja byłam małą dziewczynką, przeczytało się tyle razy, że nie mogę wspominać o nich bez obrzydzenia. Tatko prenumeruje gazety, ale ja nie gustuję w gazetach. To dobre dla panów, co to nie wstydzą się już wychodzić do dam w pantoflach. Czy i pan czytuje już może gazety?

— Tak, niekiedy, choć nie mam jeszcze nic wspólnego z pantoflami.

Kuzynka Natalka ukazała się na uliczce, przywołała do siebie pannę Terenię i odeszła z nią do dworu. Kuba zaczął przechadzać się po najbardziej zacienionej ścieżce. Doszedłszy do jej końca, znalazł się na brzegu parowu. Widać było stamtąd ów balkon, na którym stała panna Terenia. Ulewicz zatrzymał się tam i zamyślił. Kiedy wdziewał czystą bieliznę i zrzucał łachmany w domu Szyny, doświadczał niejakiej podobizny tego przewrotu moralnego, jaki się w nim teraz dokonywał. Ale tamto było tylko cieniem... Teraz dopiero naprawdę wychodził ze starych łachmanów i porzucił je bardziej niż ze wstrętem, bo z poczuciem zupełnej niemożebności powrotu do nich. Własne istnienie pośród tych drzew, w tych polach, gdy naokół stały piękne, pachnące kwiaty, zwa-

rzone upałem, daleka przestrzeń, rozwidniona w owej chwili tak wspaniale, wszystko, co z istotną rozkoszą i czułą miłością obejmował oczami — wydało mu się tak dziwnem, tak niepojętem, tak cudownem! Na żadnym utartym pewniku, na żadnem wytłómaczeniu, na żadnej odpowiedzi — co to jest, to wszystko i dlaczego — umysł jego nie mógł spocząć i cała dusza usiłowała wydrzeć się z samej siebie, ażeby i siebie i cały ten cudowny byt pojąć.

Wtem na balkonie ukazała się panna Terenia. Spostrzegłszy go, kiwnęła głową i zaraz powróciła do mieszkania. Po upływie chwil kilku była już w ogrodzie. Zbliżając się do Jakóba, miała na ustach uśmieszek niewinnej kokieteryi, który widać było tak wyraźnie, jakby był pierwszem kłamstem, plamiącem te usta. Dopiero gdy stanęła na tej samej uliczce, Kuba zauważył, że ma na sobie inną suknię, koloru wody i z materyi lśniącej, migotliwej i pełnej łagodnych cieniów, jak przeźroczysta woda. W tym nowym stroju szyja jej była odkryta i stokroć lepiej spostrzedz się dawała przecudna harmonia ramion, piersi i okrągłej kibici. W miarę jak się zbliżała, Kubusia owiewał ogień zachwytu. Gdyby ktokolwiek z ludzi zmusił go w tej minucie do odwrócenia głowy i do zgubienia z oczu jednego jej ruchu, jednego miękkiego pochylenia głowy — chybaby takiego zabił jednem uderzeniem pięści. Zdawało mu się, że gdy ona idzie, to z nią razem płyną zapachy wszystkich kwiatów ogrodu, że dokoła jej ślicznej postaci roznieca się złoty blask zachodu słońca, że cała orkiestra koników polnych w kojącej rozkosznej melodyi swej posłuszną jest taktowi

jej stąpania. Szedł obok ze zwieszoną głową nie, będąc w stanie zahamować głośnego bicia serca, wydobyć głosu z piersi, napawając się szelestem jedwabiu, ledwo słyszalnym.

— Trzeba już iść, — rzekła cicho. Natalka chce jechać...

Skierowali się ku domowi. Przed gankiem stały już konie. Wkrótce wyszła pani Wzorkiewiczowa, odziana w szatę podróżną z żaglowego płótna. Kuba pomógł jej zająć miejsce na bryczce, pożegnał ukłonem pannę Terenię i jej rodziców, usiadł obok pani Natalii i zaraz pogrążył się w martwy smutek. W tym stanie, nic prawie nie mówiąc do towarzyszki podróży, przybył do Wrzecion. Zmrok już wtedy zapadał. Na ganku podawano właśnie kartofle ze skwarkami i zsiadłe mleko. Wzorkiewicz ćwiczył jedne i drugie z prawdziwym apetytem. W przerwach rozpytywał Kubę o wrażenia, jakie na nim wywarli teściowie i Radostów. Kuba zbywał go mdłymi wyrazami, w których nie było nic oprócz sylab.

— Cóż kochany mój teść w dobrym był humorku?

— O tak.

— Gadał dużo?

— Dosyć dużo.

— O mnie?

— A i o tobie.

— Muszę cię uprzedzić, Kubusiu, — rzekł szlachcic, obcierając wąsiska, — że to jest stary łajdak ten Zabrocki. Żadnemu jego słowu wierzyć nie masz potrzeby. Trzyma się zawsze tej strony, która jest choćby o rubla droższa, a najlepiej rezonuje z za talerza sałaty z pie-

czonemi kurczętami. Obiecał mi dać za Natalką cztery tysiące rubli posagu, a dał figę marynowaną. Jest to podły oszust. Notabene umie on znakomicie podchodzić ludzi. I mnie pysznie zmanił. Byłbym dla tego człowieka dał sobie nos oberżnąć...

Tu Wzorkiewicz nachylił się do ucha Kuby i mówił:

— Ma on pieniądze — ho — ho! Ale nie da nikomu złamanego szeląga, choćbyś mu pod progiem umierał z głodu. Nie pamiętasz, co mówił o mnie?

Kuba przypatrywał mu się szklanemi oczami, które spoglądały ze śmiertelną niechęcią. Zaczął mozolnie przypominać sobie wyrażenia starego Zabrockiego i przytaczać je Wzorkiewiczowi...

* * *

Piąty dzień, długi dla Kuby, jak piąte stulecie, upływał od wizyty w Radostowie. Pan Wzorkiewicz był w polu, pani Natalia spała na swym szezlongu. Obok ganku przeciągały co chwila ogromne wozy ze zbożem, skrzypiąc i dudniąc na twardej i wyschniętej drodze, tysiące komarów przewalały się, jak drżące słupy dymu w ognistych promieniach słońca, mnóstwo wróbli hałasowało na topolach.

Kuba leżał na ławce w ganku — i »zajmował się tęsknotą«. W tem oczekiwaniu nie było już żadnej nadziei, żadnej pociechy, żadnej nawet formy określonej. O co się tu kusić, czego pragnąć, na co czekać? Co chwila powtarzał sobie w myśli, że tylko wyjazd i poddanie się jakimś okrutnym cierpieniom mogłyby go wy-

leczyć. Ach, zapomnieć! Wyrzucić ze siebie ten gryzący nowotwór, w którym krzyżowały się, jak w ognisku chucie i sny rozkoszne, nie do pokonania z targającymi je paroksyzmami ironii, żalu, trwóg jakichś niesłychanych i nadziei tak obłudnych, jak sami ludzie. Skoro jednak trzeba było przyjść naprawdę do decyzyi wyjazdu, truchlał aż do zimnego potu. Wyobrażenie o głodzie już się w jego imaginacyi zupełnie i dawno zatarło, ale z samej myśli o Warszawie wysnuwało się coś tak bolesnego...

Ogromny wóz, szeleszcząc suchymi źdźbłami i kłosami żyta, wymijał ganek zwolna. Ulewicz przymknął oczy, aby przeczekać niemiły szelest, przerywający mu tok rozmyślań. Wóz się zasunął za kraj gęstej zasłony dzikiego wina, ale tuż ukazały się dwa łby końskie, ich nogi, kadłuby, ogony, przód wózka, furman z głupią miną i wreszcie pani Zabrocka, panna Teresa i Tugendka.

Zajechali tak cicho, ponieważ nie mogli na wązkiej drodze wyminąć wozu z żytem.

Podczas gdy Ulewicz zabawiał rozmową na ganku mamę Zabrocką, panny pobiegły do «gotowalni» kuzynki Natalki dla naprawienia koafiur. Niebawem nadjechał z pola Wzorkiewicz i bardzo życzliwie, bez cienia urazy witał swoją teściowę. Podano kawę i wszyscy zgromadzili się na ganku. P. Zabrocka wystosowała do Wzorkiewicza gorące słowo przeproszenia za to, że ma zamiar narzucić mu «kozaka», (jak nazywała pannę Teresę) i Tugendkę na cały dzień następny, gdyż te obiedwie postanowiły skorzystać z bytności p. Ulewicza i zwiedzić razem z nim ruiny zamku w Krzywaśnem. Ponieważ zaś «stary» zapowiedział, że koni dalej jak do Wrzecion nie

da za żadne skarby tego świata, uradzono tedy prosić chociażby o najlichszą furmankę jego, pana Wzorkiewicza. Obiedwie panny, a nawet pani Natalia — zaczęły łasić się do nieszczęsnego Wzorkiewicza i w krótkim czasie wytargowały furmankę, która miała się składać z czterech koni, zaprzężonych do wozu drabiniastego. Wskutek tej decyzyi panny miały zanocować we Wrzecionach. Nad samym wieczorem matka rodu odjechała, zostawiając najmłodszą córkę na opiece p. Natalii. Zaledwie bryka radostowska zniknęła na zakręcie drogi, wszyscy, z wyjątkiem Wzorkiewicza, wpadli w szalenie świetny humor. Dla Kuby były to chwile upojenia. Chodzono do późnego zmroku po ogrodzie, prawiono komplementy, hałasowano i bawiono się na obraz i podobieństwo dzieci.

Nadeszła jednak chwila tragiczna: trzeba było udać się na spoczynek. Pannie Teresie i jej towarzyszce posłano w pokoju bawialnym, jednej na sofie, drugiej na szerokiej kanapie. Kubuś zazwyczaj sypiał w pokoju stołowym, przylegającym do owej bawialni. Tego wieczora jednak posłano mu aż w kancelaryi i sypialni zarazem Wzorkiewicza, na końcu dworu. Gdy Kubuś udał się na spoczynek, Wzorkiewicz był już w łóżku i czekał tylko na jego przybycie. Młody jegomość rozebrał się szybko i rzucił na posłanie. Zamykał z mocą powieki, żeby usnąć co prędzej. Chciał, żeby ta noc, co go dzieliła od poranka i od widoku ukochanej minęła, jak mgnienie powieki. Serce jego zamierało z niecierpliwości i z tęsknoty. Jakże niezmiernie długiemi były chwile tej nocy! Im uparciej zmuszał się do snu, tem mocniej przekony-

wał się, że wcale nie uśnie. Liczył zwolna, przepowiadał sobie tabliczkę mnożenia, dzielił duże cyfry w pamięci... Co chwila przenikała go nawskróś słodycz pewności, że to ona sama jest tutaj, w domu, gdzie tyle już nocy przemyślał o niej, gdzie tyle razy usiłował ją cudem zobaczyć. I teraz znowu wytężał wszystką imaginacyę, aby ją uprzytomnić sobie, zobaczyć choć jeden jej śmiech...

Zegar wydzwaniał kwadranse i godziny. Wybiła jedenasta, później kwadrans, dwa, trzy... Wzorkiewicz usnął zaraz, jak tylko świeca zgasła. Do sąsiedniego pokoju, gdzie spała pani Natalia drzwi były uchylone i słyszeć się dawał w ciszy równy oddech śpiącej.

Kuba usiadł na posłaniu, narzucił na ramiona kurtkę i długo tak pozostawał bez ruchu. Opanowała go myśl po prostu desperacka: przejść na palcach przez pokój pani Wzorkiewiczowej, wejść do bawialnego, pochylić się nad śpiącą Terenią i cicho, cichutko ucałować jej włosy, które leżą na poduszce i zwieszają się długiemi pasmami. Rozkoszne jakieś porywy miotały jego uczuciami i nosiły je, dokąd chciały. Słodkie łzy szczęścia płynęły po jego twarzy, a po za tem wszystkiem wzmagało się zimno decyzyi, której nie był już w stanie opierać się dłużej. Wstał — i boso, ubrany tylko w nocną bieliznę poszedł na palcach. Pchnął lekko pierwsze drzwi, przez chwilę posłuchał uważnie, czy kuzynka Natalka śpi mocno, a słysząc jej oddech i chrapanie Wzorkiewicza, przeszedł prędko przez pokój, nacisnął klamkę drzwi, prowadzących do salki, otwarł je bez szelestu i stanął, znowu nasłuchując. Wtedy dopiero przyszła mu myśl, że nie wie, na którem posłaniu śpi p. Terenia. Bał się poruszyć

z miejsca, gdyż niezbyt wyraźnie słyszał oddechy wskutek bicia serca i szumu w uszach. Jak kleszcze chwyciło go przerażenie na sam przebłysk myśli, że Tugendka nie śpi i że go już widzi. Stał tedy bez ruchu, jakby stopy jego gwoździami były do podłogi przybite. Po upływie niejakiego czasu usłyszał oddechy obudwu panien. Nadaremnie łamał sobie teraz głowę nad sposobem odróżnienia pościeli Tereni od pościeli tamtej. Wytężał oczy, chwytał uchem oddechy... Nagle błysnęła mu szczęśliwa myśl. Przypomniał sobie, że Terenia miała na nogach pantofelki, a p. Tugend skórkowe trzewiki. Niewiele myśląc poszedł do sofy najbliższej, zaciął zęby i schylił się przy posłaniu. Macając ręką po podłodze, ujął za miękki pantofelek. Serce jego zdławiła straszna boleść...

Kiedy tak stał nizko pochylony, panna Terenia usiadła na posłaniu. Wyciągnął rękę i objął nagie jej ramię.

— To ty? — wyszeptała głosem cichym jak szmer. Dotknęła jego włosów, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i upadła na poduszki.

* * *

Na bezbarwną ziemię padał cichy blask jesienny, który, zdawało się, już nie rozgrzewa, lecz oświeca zaledwie. Sześć pługów dwuskibowych krajało ostatnie konicznisko. Dwie pary wielkich wołów ciągnęły każdy z tych pługów. Jarzma fałdowały m a ć k o m podgarla, wrzynały się w karki i literalnie wgniatały w pierwszy kręg grzbietowy. Gdy pług puszczono na ośm cali w zie-

mię gęsto przerosłą korzonkami, oczy wołów wyłaziły na wierzch. Długie, ciemne skiby, połyskujące wilgocią kładły się równo na niwie. Tuż za piętami oraczów, prowadzących pługi, maszerowały, wrony, wydzióbując białe pędraki. Po ścierniach jeszcze niezaoranych tłukły się całe stada tłustych gęsi.

Kuba przypatrywał się orce, siedząc na uboczu, i mimo chęci zestawił życie swoje z ciężką dolą tych wołów. Jakiś śmieszny przypadek wprzągł go raz do jarzma pracy przymusowej i odtąd coraz dotkliwiej ciężar jego uczuć mu daje. Znowu napełniała go bardzo dawna niechęć i gnuśna wzgarda wszystkich zjawisk życia. Trzy tygodnie z górą siedział już w Skakawkach po opuszczeniu Wrzecion. Wyjechał stamtąd z zamiarem niezwłocznego szukania posady w Warszawie, ponieważ w tym jedynie wypadku, gdyby dobre miejsce zaraz otrzymał, panna Terenia mogła zostać jego żoną. Taki nieodwołalny warunek postawił stary pan Zabrocki. Tereni samej było wszystko jedno, najzupełniej wszystko jedno: zgodziła się zostać jego żoną zaraz owej nocy szczęśliwej i w tajemnicy przed wszystkiemi uzyskała zezwolenie matki. S t a r y nie chciał o niczem słyszeć, dopóki Kuba nie będzie siedział na posadzie. Co prawda — można było stawiać warunki, jakie się żywnie podobało, wiedzieli bowiem i widzieli wszyscy, jak Kuba jest zakochany. Terenia sama radziła, żeby jechał jak najprędzej do Warszawy, — więc pojechał, nie odwiedziwszy nawet ciotki Karoliny, która go listem swoim do tamtych okolic wezwała. Zdawało mu się, gdy w połowie września z Radostowa wyjeżdżał, że uda się wprost aż do

tej Warszawy... Tymczasem ugrzązł już w Skakawkach i to na parę tygodni...

Przyczyną tej zwłoki był przestrach. — Sama myśl o powrocie, samo przypomnienie nazw ulic i pewnych placów uczyły go takiego moresu, wstrząsały takiem obrzydzeniem, jak gdyby mu zadawano gwałt osiedlenia się na stałe w trupiarni. Ileż to przeżył w tych Skakawkach fałszywych wybuchów zgniłej odwagi, sztucznych stanów tęgości charakteru, zelektryzowań przez miłość i opłakanych złamań duszy! Udawał przed sobą częstokroć pozytywnego karyerowicza, który nie jedzie do Warszawy na chybił trafił, aby znowu doczekać się ruiny obydwu nogawic i wysiadywać w redakcyi *Kuryera*, imaginował się sobie w kształcie młodego narzeczonego, który przybywa do przeklętego miasta z gotowym planem, który udaje się do dwu, trzech potentatów i w przeciągu dwu, trzech dni ustala podstawę swego szczęścia. Na obmyślenie szczegółów tego planu zużywał całe noce, dnie i tygodnie. Wszystkie te rozmyślania były w gruncie rzeczy pretekstem do marzeń i odmienną formą jedynej treści jego bytu t. j. niezmiernego żalu i płaczu po ukochanej. Smutek ten był tak zupełną chorobą, jak nią jest zapalenie płuc, albo mózgu. Dzień w dzień Kuba błąkał się po ogromnym parku, po wązkich alejach, podobnych do naw w kościołach gotyckich. Jasnożółte, albo rdzawoczerwone liście wisiały na starodrzewie tego wielkiego lasu. Najlżejszy podmuch strącał je w kałuże błota i do zgniłych basenów. Szelest tych liści i ciężki huk konarów i mgły długotrwałe, wszystkie zresztą miejsca tej doliny smutne były, jak pogrzeb, rozżalały

Jakóba coraz okrutniej i niosły jego duszę do tamtych miejsc i do niej. Jak człowiek obłąkany czytał po raz nie wiedzieć który jedyny list od narzeczonej, otrzymany w Skakawkach i rozkochiwał się w każdem jego słowie.

«Jakże żałuję — pisała panna Terenia, — że już skończyło się! Chciałabym, żeby tak trwało ciągle, bez końca! W piątek będę we Wrzecionach, jakże smutno mi będzie w tym domu, gdzie byłam z tobą parę godzin tak szczęśliwą! Wszystko, coś do mnie mówił, pamiętam doskonale, jakby to było przed chwilą, a to już kilkanaście dni upłynęło od tamtego czasu, pamiętasz, mój najdroższy... Ach, jak cię kocham nad życie, mój najsłodszy, mój jedyny! Wszystko to było tak urocze, że z przyjemnością myślę o naszem życiu. To też staraj się jak możesz o posadę i bądź mi wierny. Ach, jak ja cię kocham!...»

Słowa listu, jak pewne dźwięki słyszane w szczęśliwych chwilach życia miały cudowną własność zarówno wywoływania obrazów przeżytej rzeczywistości, jak i wzbudzania z siłą stokroć większą doświadczonych wtedy uczuć. Tylko, że rozkoszne uczucia sprawiały teraz boleść, a wyobrażenia kłuły, jak ciernie. Były chwile, że Kuba wątpił spokojnie, czy w rzeczy samej wszystko to się stało, czy ta bogini, której postaci nie zdołałby wyśnić nawet w rozpasaniu zmysłów, była tyle razy jego namiętną i posłuszną kochanką. Czy te miłosne przygody nie były omamieniem, widzianem w chwili obłędu? Wszystko było jak dawniej: to co poprzedzało chwilę wyjazdu z Warszawy z tem, co ma nastąpić za powrotem łączyło się w jego wyobraźni, jak dwa ogniwa że-

laznego łańcucha, okrutnego, jak kajdany, zapowiadające cierpienia te same i niechybne. A między jednym a drugim prętem żelaza — ściele się to łoże rozkoszy zaiste nadziemskich, to doskonałe szczęście, w którem niema miejsca ani na jednę sekundę smutku, ani na jedno żałosne westchnienie, ta miłość, bez której i po za którą całe życie byłoby jednym głupim bólem.

Za parkiem, wśród pól i łąk, ogołoconych teraz z traw i zboża — widać było wyraźnie drogę, prowadzącą w stronę Wrzecion. Niejednokrotnie Ulewicz puszczał się tą drogą i brnął wiorst parę, nie mogąc odmówić sobie ulgi w smutnych rozmyślaniach, jaką ta wędrówka w stronę Tereni wywołała. Z tych przechadzek wracał na folwark późno i, unikając rozmowy, szukał znowu samotności, albo udawał, że śpi i całemi godzinami leżał na łóżku bez ruchu. Szyna był widocznie nieco znużony tą zmianą jego usposobienia. Wyjeżdżał tedy na folwarki, do miasteczka, grał w karty z akcyźnikami, albo wałęsał się wśród pól na koniu.

Owego popołudnia, kiedy Kuba łaził po parku i przyglądał się orce, a Szyna był «na gorzelni», — przed dom jego zajechał p. Wzorkiewicz. Wylazłszy z wózka, długo otrzepywał swą zabłoconą «bundę» na ganku, wyczekując, że go ktoś powita, następnie uchylił drzwi do kancelaryi, przeszedł całe mieszkanie i trafił aż do kuchni. Od babiny, zajętej właśnie potajemnem wyrabianiem masła, dowiedział się, że samego pana w domu niema, a «ten młody kasi się flańta po hrabskim ogrodzie». Wzorkiewicz nie mógł zrozumieć, co za młody może się «flańtać», przypuszczał bowiem, że Kuba od dawien

dawna siedzi w Warszawie. To też zdziwił się bardzo, kiedy służąca jego właśnie wprowadziła do kancelaryi. Kuba ucieszył się niewymownie i lżej odetchnął, zobaczywszy konie z Wrzecion, jak gdyby do płuc jego wpadła struga tamtejszego powietrza.

— Czy podobna? Kubuś tutaj! — zawołał Wzorkiewicz?

— A tak... zeszło... — jąkał się młody narzeczony.

— Ależ dlaczego? czyś nie chory?

— Nie, tylko, uważasz, zawsze to do kolei mil stąd dwanaście. Furmanka tutaj kosztuje ogromnie drogo, a Walery w żaden sposób nie mógł mi teraz dać koni. Mają właśnie w tych dniach jechać dzieci gorzelanego, to się zabiorę... Miały jechać wcześniej, ale się zwlekło i tak...

Kuba kłamał, jak najęty, ani razu bowiem nie wspominał Szynie o koniach. Miał wprawdzie bardzo mało pieniędzy, bo zaledwie kilkanaście rubli, pożyczonych od tegoż Szyny, ale wysiadywanie w Skakawkach wcale sytuacyi nie polepszyło. Trudno było wymagać większego zasiłku od rządcy, który zresztą znaczną część swego zarobku posyłał dwu siostrom, ze szlachecką godnością i fachową ignorancyą »zajmującym się krawieczyzną« w mieście gubernialnem. Ulewicz nie mógł wytłómaczyć swemu kuzynowi dość jasno przyczyn zwłoki, to też podsunął mu naprędce pierwszy lepszy wymysł, aby tylko indagacyi uniknąć.

Wzorkiewicz z wielkiem współczuciem ofiarował do jego rozporządzenia swoje konie i gotów był zabawić w Skakawkach ze dwa dni, byleby już wyjazdu nie od-

włóczyć. Przybył w celu oddania Szynie wizyty, a otwarcie przyznawał się, że rad popatrzy z boku na wielkie gospodarstwo i przefiltruje nieco mózgownicę. Kubusia ta jego ofiarność jak nożem przeszyła. Należało jechać i to nazajutrz rano! Należało wracać i znowu znaleźć się na kamiennych ulicach, gdzie tak łatwo umrzeć i gdzie, wśród tylu tysięcy ludzi, ani jeden człowiek, oprócz człowieka-stójkowego i człowieka-reportera nie zatroska się o tego, ktoby umierał. Co najstraszniejsza, na tak niezmierną odległość trzeba było oddalić się od Tereni! Jeszcze raz jednak odwołał się do swego honoru, jeszcze raz powiedział sobie, że Terenia jest jego ofiarą, że powinien ją pojąć za żonę... Zmusił się tedy do radosnego uśmiechu i zaczął pakować swoje manatki. Nadjechał właśnie Szyna i z drobnoszlachecką emfazą jął podejmować swego gościa. Przy herbacie Wzorkiewicz wspomniał o wyjeździe Kuby.

— To ty jedziesz? — zawołał Szyna.

— A tak... jutro...

— Cóż za pośpiech? Nic pilnego! Posiedź jeszcze u mnie...

— Ale! Jemu pilno, — rzekł z uśmiechem Wzorkiewicz. I tak się dziwię, że wytrzymał tutaj aż dotąd.

— No?

— Musi sobie przecie miejsce znaleźć.

— To swoją drogą... — rzekł miękko Szyna.

— Zresztą zakochanym narzeczonym zawsze pilno — wymówił Wzorkiewicz głosem przyciszonym i tak jakoś jak gdyby się wstydził tej sentencyi.

— Narzeczonym! Albożto Kuba jest narzeczonym? Czyim?

— No tak... prawie... — rzekł prędko Ulewicz. Panna Zabrocka zgodziła się wyjść za mnie, jeżeli będę miał odpowiednie utrzymanie.

— A — to tak jest... Nie wiedziałem o tem, — wycedził Szyna przez zęby. Spojrzał jednocześnie na Wzorkiewicza z dziwnym wyrazem ostrego szyderstwa czy pogardy — i umilkł. Kuba spostrzegł to spojrzenie i wytłómaczył je sobie, jako nowy objaw niechęci Szyny. Rozmowa na ten temat ucięła się i zeszła na całkiem inne tory. W ciągu całego wieczora Szyna był małomówny i roztargniony. Zimno spoglądał zarówno na Kubę jak i na Wzorkiewicza i zdawał się odpychać ich obudwu tem spojrzeniem. Kilkakrotnie wyraz jego twarzy mienił się od jakichś uczuć czy wzruszeń. Za każdym razem Wzorkiewicz, zgadując widocznie kierunek myśli Walerego, rozpoczynał dyskurs o rzeczach postronnych. Tak zeszło do późnego wieczora. Nazajutrz wczesnym rankiem Kuba odjechał.

W polach stała lekka i przejrzysta mgiełka, która ginie dopiero w południe. O wczesnym poranku ciągnął się równinami chłód surowy, wypędzając z łodyg zieloność i warząc ostatnie listki. Po obudwu stronach gościńca wynurzały się z pod mgieł rozorane role i czarne kartofliska, okryte białem szkliwem wilgoci. Duże krople wody, zupełnie podobne do kulek żywego srebra, ciężko leżały na włóknach jesiennej pajęczyny. Gdzieniegdzie stały obok drogi rzędy wysmukłych brzózek z korą białą i miotłami nagich już prętów, do których przytulał się

ostatni, mały, żółty listeczek, gdzieniegdzie czerwieniła się zdaleka swymi koralami jarzębina, a na niej świergotały stadka jemiołuchów z różowemi podgardlami. Gdy wózek z turkotem nadjeżdżał, ptaszyny zrywały się gromadnie i, niby płacząc, rzucały się w mgłę. Za każdym razem Ulewicz przeprowadzał je wzrokiem i smutnemi myślami, które były podobne do jednostajnych strof poezyi. Lećcie, — myślał, — ptaszyny różowe, daleko, daleko, daleko... Jest za jej oknem piękne drzewo jarzębiny. Może ona, gdy was zobaczy, przeczuje, że wy ode mnie lecicie, różowe ptaki... Świergoczcie, że ją kocham, i że tak mi żal...

Konie szły dobrego kłusa, lekki wózek wartko pomykał po twardym gościńcu. Stałym jego ruchem, stukiem kopyt i drżeniem podsycały się myśli oderwane od rzeczywistości i uczucia daleko błądzące. Na przedniem siedzeniu sterczał nieruchomo duży kadłub furmana. Był to mężczyzna dużego wzrostu, z twarzą poważną i piękną. Od dawna służył u Wzorkiewicza i cieszył się szacunkiem wszystkich osób, należących do tej rodziny. Woził on Kubę kilkakroć z Wrzecion do Radostowa, — a teraz przypomniał mu żywo tamte chwile. Każdy sznurek na jego płaszczu liberyjnym, kształt jego głowy i czapki, kolor włosów i uśmiech — kojarzyły się we wspomnieniach Kuby ze słodkiemi myślami, od których oderwać się nie było sposobu. Zakochany musiał co chwila trzeźwić się z omamień i przypominać sobie, że nie do Tereni jedzie, że z za tej mgły nie wychyli się dom jej kochany...

— A co tam, Józefie, dobrego słychać w Radosto-

wie? — zapytał po długiem rozmyślaniu, od czegoby zacząć rozmowę i tak ją chytrze kierować, żeby jakąś wiadomostkę o Tereni usłyszeć.

— W Radostowie? a cóż tam może być słychać nowego, proszę pana... — odrzekł furman, odwracając się bokiem do Ulewicza.

— Byliście tam w tych czasach? Z panią może?

— A jeździła nasza pani, nawet dwa razy.

— Zdrowi tam wszyscy... nie wiecie?

— A... Bogu dziękować.

— Pani Zabrocka zdrowa? — zagadnął Kuba, zdaleka dążąc do celu.

— Juści zdrowa musi być. Nie widziałem samej wielmożnej pani. Pana Zygmunta tom widział, bo chodził po gumnie.

Kuba wstydził się tych indagacyi. Za nic w świecie nie chciałby był zdradzić swych uczuć przed chłopem, a tak gorąco pragnął usłyszeć o narzeczonej jakiś choćby obojętny szczegół, choć wymówione jej imię. To też zadał furmanowi dosyć niedorzeczne pytanie:

— Nie słyszeliście, Józefie, panna Teresa nie idzie za mąż?

Chłop milczał przez chwilę, — potem zasiadł się mocniej w siedzeniu i mruknął:

— Nie, nie słyszałem.

Kubuś zamilkł, widząc, że nic mu z tego wszystkiego nie przyjdzie. Czuł zimno przejmujące. Nękały go wewnętrzne drgnienia niepokoju. Zasunął dłonie w rękawy, postawił kołnierz paltota, podwinął nogi pod siedzenie i zagrzebał je w siano. Po długiem mil-

czeniu furman znowu odwrócił się bokiem, chrząknął i rzekł:

— Przecie panna Tereska nie o ż e n i s i ę z tym Buzowszczakiem...

— Z jakim Buzowszczakiem? — zapytał Kuba.

— A jest w Ciepielówku ekonom, nazywa się pan Buzowski. Ma syna — a chłopak już wąsaty. Jest pisarkiem młodszym w kancelaryi u wójta. To ten lata do niej, ale mi się nie zdaje, żeby państwo dali za takiego, bo gdzież to...

— Jakto... lata do niej?

— A to mi już dawno, będzie z rok temu opowiadał polowy z Radostowa, że raz spostrzegł w nocy człowieka, jak szedł miedzami ku folwarkowi. Myślałem, — powiada, — że złodziej, poszedłem za nim zdala. Zaszedł ten człowiek do Radostowa, ale się nie wziął ku stajniom, tylko przez parkan skoczył w ogród. Polowy to samo wlazł do ogrodu. Przyszedł ten Buzowszczak pod samo okno, gdzie panna Tereska spi i zakołatał palcem w szybę. Zaraz, powiada, wylazła do niego przez okno i bawili się tam pod krzakami sporo w noc.

— I często tak przychodził ten pisarz? — rzekł Kuba.

— A mówił Wawrzyniec, że ciągle chodzi do niej. Teraz, po żniwach, to mu gorzej, bo jak zboże stało, to sobie pod sam ogród zbożami docierał. Teraz musi aż z za łąk przez parów przełazić i dopiero do ogrodu.

— To on i teraz do niej chodzi?

— A kiedyż to? — w niedzielę mówił nam polowy, że go znowu w tym tygodniu dwa razy widział. Mówi-

łem mu, żeby go złapał i do pana zaprowadził, ale nie chce. Z takim pisarzem nie bardzo warto zaczynać, a pan Zabrocki wie dobrze, co potrzeba. Niech se, powiada, łazi, nie moje dzieło...

— Niech sobie łazi... — powtórzył Ulewicz.

— Ona i tak nie bardzo porządna jest panna, choć i ta panna Tereska. Do niej i ten pisarz chodzi i fornal jeden młody, co z panem Zygmuntem jeździ, chwali się, że z nią spał. A i sam starszy pan złapał ich przecie oboje z ogrodowczykiem. Kobieta jak się trafi świnia, to nie daj Panie Boże...

Józef obejrzał się po za siebie i przestał mówić. Twarz Ulewicza była biała i martwa, jak maska pośmiertna z gipsu. Siedział wyprostowany, jak przedtem i uważnie słuchał. Pomimo, że furman dawno już mówić przestał, on wciąż jeszcze słyszał jego mowę. Przez kilka minut zimno rozważał, czy ten człowiek nie mówi tego umyślnie, z czyjejś namowy, albo czy nie powtarza kłamstw cudzych. W mgnieniu oka jednak szalę przeważył ów wczorajszy uśmiech Szyny. Zresztą — w tem opowiadaniu chłopa była prawda, uczuł ją bowiem, przebijającą na wylot, jak wystrzelona kula.

— Jakże mogłem domyślić się? — Wszak prawda, prawda... prawda... Wówczas jeszcze byłem cokolwieczek zdziwiony, a to dlatego... Aha, — więc to dlatego tak było... Aha, — więc to dlatego...

Znagła stanął w bryczce na równe nogi, złożył ściśnięte razem pięście i z rozmachem, z całej siły zwalił furmana w ciemię. Niespodziewane uderzenie zepchnęło Józefa z siedzenia i o mało nie strąciło na głowę pod

koła. Oparł się jednak szczęśliwie rękami na orczykach i wydźwignął. Wówczas Ulewicz począł wściekle bić go kułakami w plecy, w kark, w głowę. Sparł się kolanem na przedniem siedzeniu i chwycił go za gardło. Paznogcie jego wbiły się w szyję chłopa, jak szpony. Józef, odzyskawszy równowagę, szarpnął się raz, drugi i wyrwał z rąk Kuby, ale obadwaj zlecieli z wózka na ziemię. Konie przestraszone skoczyły na bok i obaliły wózek na pryzmę kamieni.

Furman zerwał się pierwszy i uchwycił zaraz Ulewicza za ręce.

— A i cóż ty, panie, ogłupiałeś, czy co u Boga Ojca? Widzicież wy, moi ludzie!

— Puść... — szepnął Kuba.

— A i czegóż ty chcesz, panie!

— Daj pokój.

Józef puścił ręce Ulewicza, odsunął się i zaczął otrząsać z błota ubranie, podnosić wózek, porządkować splątaną uprzęż. Młody człowiek siedział na pryzmie kamieni i osłupiałym wzrokiem patrzał na białą linię gościńca już przebytego, która widniała na pewnej przestrzeni. Tak upłynął spory przeciąg czasu.

— My pojedziemy dalej, czy nazad? — spytał Józef.

— Dalej, bracie.

— No to niech pan siada.

Ulewicz zajął miejsce na bryczce.

— Panu się wydało, żem ja zełgał...

— Daj pokój... siadaj... — rzekł Kuba oschle.

Bryczka potoczyła się znowu. Z bocznego traktu wbiegła na szosę. Tam już trafiali się ludzie, szły fury

z gontami, z drzewem, skrzynie z kartoflami, bryczki, powozy...

W pewnem miejscu z drzewka jarzębiny znowu zerwało się stadko jemiołuchów i, odlatując, przemknęło przed oczyma Jakóba Ulewicza...



POGANIN



Po nieustającym, kilkudniowym deszczu nadszedł dzień nie pogodny jeszcze, lecz cichy przecie i ciepły. Łagodny wiatr zachodni darł jednolite sklepienie burych chmur na płyty tytaniczne, kładł jedną na drugiej warstwami, tworząc z ich krawędzi jakby wywrócone schody, od krańca widnokręgu do bezkształtnej głębiny niebieskiej wiodące.

Szedłem miedzami i ścieżkami polnemi, których kierunek i kształt pamiętałem, jak przez sen z czasów dzieciństwa. To ta sama równina podlaska, zlekka powyginana w płaskie zagłębienia łąk, w okrągłe wzgórza, te same zmurszałe ze starości płoty z opadającemi żerdziami, te same rokiciny, wikle i sity nad błotami, dalekie wydmu-

chy szarego piasku i Bug jasnoniebieski, które śniły mi się tylekroć.

W ciągu kilku lat ostatnich nie wyjeżdżałem zupełnie z Warszawy i, żyjąc jej życiem, byłem »chory na Moskali«, na chorobę dziwną, nie dającą się określić, lecz bezwątpienia wyniszczającą organizmy psychiczne tysiąca ludzi. Wytwarza ona w jednostkach pewnego rodzaju melancholię, odrazę do wszystkiego, cokolwiek się wszczyna a jednocześnie chorobliwą i bezradną nadwrażliwość na ludzką niedolę, która nęka co godzina, codziennie, wszędzie toczy duszę, jak skir i równa się jakiemuś nieprzerwanemu szarpaniu żył. Choroba ta nie jest ani sentymentalizmem, ani szowinizmem, ani nienawiścią, ani miłością, lecz jest po prostu głuchą i niemą rozpaczą umysłów. Pokazuje nicość systematów myślenia, idei, ukochań, prac w pocie czoła, w zaparciu się siebie, w obeldze i potwarzy, bohaterstw cicho spełnianych, jak zbrodnie, poświęceń tajemniczych, — uczy, że jeden jest pewnik nieomylny, jeden cel i wynik wszystkiego: »*pożałujtie w żandarmskuju!...*«

Był początek czerwca, żyta szły w słup i czarna fala goniła już po ich powierzchni falę płową, na łąkach trawy po deszczu puściły się bujnie, ostre żółte jaskry pokładły na ich jasnozielonem tle smugi płomieniste, pachniały poziomki, dojrzewające zioła i cały ten dziwnie wonny, nieujęty czad wilgotnej łąki. Na czystych, małych kałużach wody deszczowej wiatr wzdymał drobne, ciemnogranatowe fale, a te kołysały rytmicznie badyle mietlicy z długiemi ościami u plewek kwiatowych i grube pozginane sitowia. Cisza, nareszcie cisza, samotność i pola!



Zapuszczona i ledwie widoczna ścieżka szła wzdłuż rzeki, nad którą zwieszały się gęste zarośla, tworząc na dalekiej przestrzeni łąk pas, zataczający półkola. Za rzeką, na nieznacznem wzgórzu piaszczystem, zaczynał się las, sięgający aż owych wydmuchów nad brzegiem Bugu. Maleńkie półwyspy, utworzone przez rzeczne zakręty, podobne były do zacienionych bujną krzewiną, samorodnych altanek. W jednej z takich siedział, plecami o krzaki oparty, stary chłop — pastuch. Był to typowy jadźwing — Polak: chudy, kościsty, zgarbiony, o twarzy ściągłej, czarnej prawie, o ustach wązkich, zaciętych,

brwiach zsuniętych. Ubrany był w zgrzebny, na czerwono ufarbowany *spancer*, w takież spodnie oberwane i podarte i słomiany kapelusz, z pod którego zwieszały się siwe, długie i rzadkie włosy. Bose nogi z zakrzywionymi i pozbijanymi palcami, z wypchniętemi w tył piętami, wyciągnął przed siebie i tak był zatopiony w pracowite plecenie łapcia lipowego, że mię nie spostrzegł. Obok niego leżał *kancerek* z kory olszowej, osadzony na długim kiju — do łowienia raków.

— A co to majstrujesz stary? — zawołałem, pochylając się nad nim.

Szybko podniósł głowę i, łypiąc zabawnie oczami, wpatrywał się we mnie.

— Widzisz przecie, panulu, bydło pasę, raki łowię, taj łapeć plotę... — odpowiedział po chwili starczym, zdławionym głosem, lecz tą polszczyzną śpiewną, czystą i piękną, jaką mówi lud pochodzenia jadźwingo-polskiego tamtych okolic.

— A cóż, raki ci się łowią?

— On-by się i łowił, rak bestyja, po deszczu, ta, widzisz, żaby tej paskudnej nagnać nie mogę. Taka mądra i żaba nastała: po tej stronie gdzie bydło chodzi, po pastwisku nie siedzi, po trawie skacze a trawy maścić grzech — bogata trawa jaka!

Mówiąc to, wpatrywał się we mnie uparcie, zawzięcie, jakoś chytrze i nieufnie. Gdzieś tę twarz za lat dziecięcych, zapewne, widziałem, lecz gdzie i kiedy, usiłowałem przypomnieć daremnie. Zachowało ją nieświadome jakby myślenie — tę samą, z pałającemi posępnie oczami. Wiedziałem jednak, że oczy te dawniej, wtedy — miały

wyraz inny. Dzisiejsza ich nieufność i szydercze wejrzenie przykrość i ból mi sprawiały.

— Gdzieś ja ciebie już widziałem, dziadu...

Zezem spojrzał na mnie i rzekł:

— Dużo ja się po świecie tłukł, może mię gdzie i zaznałeś. A ty, panulu, skąd?

Nie odpowiadając, zapytałem wymijająco:

— Pastuchem jesteś — we dworze?

— Ni — gromadzkie bydło pasę.

— Szmaciny na tobie liche...

— Dziadowskie. Dawno ja się z dziewkami kochać przestał — prawie takie.

— Zasług u tej gromady pobierasz dużo?

— Zasług?... zaśmiał się. Przyodziewek mi dają.

— I strawę?

— Gdzie zaś? Jagód to mało? Czerwona jagoda w lesie jest, malina się trafi, — malina w tutejszych miejscach duża, słodka, czernica będzie, *dziad* rośnie w jarze. Raków nałowię, w *wąglach* napiekę... żywcem ich, — ta tak się objem! Rybka, płoteczka biała na śpilkę się łapie, ślize się pod kamykami pluskają, tłuste, jak wieprzki.

Zapalając się coraz bardziej, prawił:

— Ej — o jednem ja tu kaczem gnieździe wiem — duże kaczki, krzyżówki. Jak *klapaki* wyrosną, jak w pałach będą, rękami pobiorę, łby poukręcam, w hlinę każde z osobna zalepię, w wągle te kule pokładę — pałek skubać nie trzeba, bo do gliny przyschną, a jadło jakie — ha!

Kiedy to mówił i oczy mu się zaśmiały łagodnie, przypomniałem sobie wszystko.

— Toż ty z Pratulina!

Chłopu dolna warga drgnęła i oczy dziko błysnęły.

— Z Pratulina? — zapytał przewlekle. A tobie na co, skąd ja?

— Ja ciebie widziałem dawno, jak zbrodnia była.

Patrzał mi teraz w oczy surowo, pokaszlując z cicha.

— Tyś miał dużą kolonię, bogatym byłeś chłopem, sołtysem — pamiętam...

— Coś ja nie przypomnę, — dawny to czas, — szeptał, jakby do siebie szyderczo. Dawny to czas, — ja teraz russki mużyk, prawosławny...

— A cóż, na pastuchy zeszedłeś? Gdzież grunt? Przepiłeś, czy jak?

— Grunt? — mówił zamyślony, patykiem uderzając w ziemię. — Ja i żonkę przepiłem i dwoje dzieci. Chłopiec jeden był u mnie rześki, jak ten źrebiec, drugi maleńki... Do Pana Jezusa ja ich przepił, wziął i nie oddaje — he — he...

— Wywieźli?

— Coś ty na mnie *ustygujesz,* panulu, — moskalik ty może jaki, powiatowy może — a?

— Nie, bracie...

Popatrzył na mnie — i sposępniała nagle ta twarz zimna i skrzepła, milcząca głucho, niby pole nagiego gruntu — jakby na nią cień padł znienacka.

— Pod serce ty mnie gryziesz, pod serce... — mówił kołysząc głową. — Ot ja sołtys, ot ja włościjan, ot ja mądry gospodarz, piśmienny człowiek — gromadzkie bydło pasam, w gałganach chodzę, strawy ciepłej nie mam — ot jak... A żonka w stepie po prośbie chodzi, a na synki moje cudzy człowiek pluje — ot jak... U mnie

żyto rosło kłosiste, wysokie, u mnie bułanki dwa rżały, u mnie krów pięć, u mnie... hej — Moskaliki wy, Moskaliki!...

Mówiłem mu o Chrystusie miłosiernym, co łzy nędzarzów w sercu trzyma, co krzywdy wszystkie pamięta, co karał będzie barbarzyńcę...

Słuchał mnie uważnie, ze ściągniętemi brwiami, głową potakiwał, — aż nagle przerwał:

— Miód u ciebie w uściech, jak u księdza. Młodziuteńki ty... A ja, widzisz, stary, dawno ja to już słyszałem, dawno... Służył ja Jemu wiernie — temu Panu Jezusowi, a na mnie On nie wejrzał, a na cały naród chłopski — nie wejrzał, w rękę oprawców nas wydał. A służył ja Jemu wiernie, nie gębą — ot jak!

Gwałtownym ruchem rozerwał tasiemkę koszuli pod szyją i obnażył ramię i plecy poszarpane w szwach, w bliznach, w śladach ran ohydnych. Z oczu mu strzelił dziki blask, brwi wzniosły się na czoło, zęby wyszczerzyły i buchnęła na twarz namiętność dzika, głucha, chłopska, dawno zduszona. Zaczął mówić szybko, głośno, głosem ochrypłym:

— Ja się Jego nie zapierał, na rote-m wojska wyszedł z krzyżem i piersi odkrył. Ze mnie ciało kawałkami leciało pod batem — ja imienia Jego wzywał.

Ja w Brześciu między zbójami i łotrami krzyżem leżał po całych nocach, na mnie żołdactwo pluło, grunt mój sprzedali za nic, dzieci wywieźli — ja tylko imienia Jego wzywał, aż raz w nocy statek na mnie przyszedł... Jakby Pan Bóg na niebie był, jakby był sprawiedliwy, toby na świecie nie było tego katostwa.

Widziałem ja Moskwę, Niżni-Nowgorod — tam moskiewskiego luda moc. Jeśli w naszej religii prawda — to za cóż tamto wszystko w błędach żyje? Gadki księdzowskie!

— Tu niema prawdy — to gdzież ona? W niebiesiech? — Hej — pieniędzy to nabiorą za tę gadkę popy, a księdze! Ja się na prawosławnego podpisałem, tam, w tym Niżnim, ale mi i cerkiew i kościół — tfu!

— Dziadu — ej dziadu!

— Tak to... Sam byłem i choć-em cierpiał, gorzkość tylko miałem w sercu z modlitwy, z postów, umartwień. Teraz swoją rzecz wiem. Gruntu mi Moskal nie oddał, bo żona, powiada, oporna jest. A no nic — to i dobrze. A grzyby te i jagódki, rybki i raki — to już przecie niczyje, ludzkie, nie jego — pieczątki nie nałoży.

— A któż te grzybki i jagódki stwarza dla ciebie?

— Tego to i ty nie wiesz, panulku... Samo ono tak stoi. Słoneczko ono może jasne... Jak ja je zobaczę — oto mi w sercu lubo, a w głowie jasno. Wstaje se ono codzień, pracuje, traweczki hoduje, zioła przeróżne, a nie ukrzywdzi nikogo, nikt za nie w skórę nie dostał — tak to... Idzi, panulu, a nie gadaj Moskaliskom nic, bo mię tu znowu *tarpać* przyjdą...

Poszedłem... Mroki wieczorne spływały na ziemię...

DO SWEGO BOGA



Wązka drożyna przeciska się przez las zwarty, podszyty młodą sośniną, tworząc między szczytami drzew przedział nieznaczny. Gałęzie świerków, na których leżą grube, soplami obwieszone kiście śniegu, zginają się pod ciężarem nad tym leśnym przesmykiem, zaledwie oznaczonym dwiema skibami śniegu, które sanie chłopskie odwróciły.

Dzień był marcowy — jasny a mroźny.

Teraz, gdy się na zachodzie rozpościerać zaczyna półzmierzch błękitny, nawet zaspy, pozataczane dokoła pniów, stają się sypkiemi, jak mąka. Na przedziwnie czystej przestrzeni niebieskiej, jaka płonie już zorzą wieczorną — las stoi nieruchomo, niby wielki ejkonostas świątyni greckiej; nieznaczne podmuchy strącają z wierz-

chołków drzew drobniutkie pyły śniegowe i płyną między gałęziami, po tle purpurowem, jakby poplątane smugi nikłego dymu, wzbijające się z niewidzialnych kadzielnic...

Cisza tam głucha, nieskończona, śmiertelna...

Drożyną ową idzie stary, zgrzybiały, siwy jak gołąb chłopowina Felek z wnuczką Teofilką, — poły lichego kożucha za pas zatknął, kij daleko przed się stawia, szeroko rozkracza nogi, sapie i kaszle, lecz nie ustaje, choć mu zaczerwienione oczy łzami zachodzą, choć pot się sączy zmarszczkami zwiędłej, przez wiatr wychłostanej twarzy. Teofilka staje swymi wielkimi butami w śladach dziadowskich, co chwila chuścinę na piersiach zawiązuje mocniej i, pomimo że upada ze znużenia, dotrzymuje staremu kroku. Z trwogą spoglądają na zorzę, rozniecająca się nad szczytami i spieszą coraz bardziej. Od czterech dni idą tak, krótko odpoczywając przy stogach siana i pustych szopach, nocując po chatach, zdaleka za wsiami stojących, przebywają pustkowia bezludne, lasy czarne i głuche, brną po zaspach głębokich, po lodach rzek i stawów, śniegiem przyprószonych, pod nogami dzwoniących — idą leśnemi, dalekiemi a zapadłemi drogami — z pod samego Drohiczyna aż za Warszawę-miasto... spowiedź »*uhopić*«...

Co roku tak chodzą we dwoje — odkąd na wiarę cudzą zapisani. Grzesznicy oni wielcy oboje, zdrajcy oboje...

Stary Felek jeszcze przed »zbrodniami« synowi swe pięć morgów odpisał, wnuczki się doczekał, synowę pochował i pacierze, pod piecem siedząc, odmawiał już tylko, gdy mu się nagle a niespodziewanie na ruskiego

podpisać kazano. Synowi też, wnuczce też całej wsi... Sam arcypop coś do nich gadał, gdy ich wszystkich do gminy zapędzono. Wieś się oparła.

Pewnej nocy zimowej wojsko naszło, ludzi wypędziło z chat na szare pole, w mróz trzaskający. Trzy dni kozaki po chatach obozem stały, bydło rżnąc i niszcząc mienie, trzy dni ludzie stali z odkrytemi głowami na polu, na śniegu, do Boga się modląc. Wreszcie naczelnik wojskowy wielkim się gniewem zapalił — dawaj bić. Do naga rozbierali mężczyzn i kobiety, bijąc po kolei a srogo — aż się naród całej wsi zawściekł i jął się rozbierać sam, pod baty kłaść sam, pokotem; — aż się Felków syn z pięściami podsunął do naczelnika do Gołowińskiego... Dopiero nastał sądny dzień!

Bili tego Leona nahajkami na śmierć, w sześciu, szmaty z niego zwlekli, naczelnik ostrogami grzbiet obnażonemu, na śniegu, we krwi leżącemu szarpał, wrzeszcząc w zapamiętałości: *podpiszyś!*

Na nic!

— Ni, ni, ni... — szeptał tamten.

To go umierającego dźwigać kazał, twarzą do siebie obracać i pytał:

— Ty russki?

— Ni — Polak, na polskiej ziemi się urodził... Tak i *uświerkł*, szepcąc do siebie ni — ni!...

Gdy wzięli wnuczkę Teofilkę bić — Felek nie wytrzymał: podpisał duszę swoją i wnuczki na złą wiarę. Stare u niego było serce, dziadowskie... Jak liść dygotał, u nóg Moskalowi się wlókł, przyszwy butów całował — aż podpisał.

Odtąd rok rocznie przed Wielkanocą idą Bogu się kajać za zdradę. Dziad taką drogę zna, gdzie nietylko żandarma, ale człowieka żywego nie spotkasz.

Jest daleko, za Warszawą-miastem, kościółek maleńki, stary; ksiądz tam jest młody, świątobliwy a miłosierny. Oczy u tego księżyka we łzach, słowo ciche, a takie mądre, a takie słodkie!...

Przyjdą w nocy, zastukają, dziad przez szybkę poszepce, — wnet on ich boczną furtką do kościoła prowadzi, spowiedzi słucha, a sam płacze, serdeczny, *ślózami* gorzkiemi. Potem wszyscy krzyżem leżą aż do rannego świtania. Gdy odchodzą, naucza ich ten sługa boży zawsze jednakowo: miłujcie nieprzyjacioły wasze, miłujcie nieprzyjacioły wasze...

Nim słońce wejdzie, nim się ludzie pobudzą, już oni od miejsca tego daleko... Teraz oto, gdy dzień się szybko nachyla, spieszą już co tchu, aby na wiadomy dziadowi nocleg trafić. Las rzednie, otwiera się pole czyste, śniegiem równo zasłane, bezludne, dalekie, bezmierne.

Na skraju lasu Felek przystanął, oczy dłonią od blasku nakrył, z nogi na nogę przestępuje, wargi mu drżą. Pola tego on nie zna, chałup tu kilkoro powinno stać pod lasem.

— Obce pole... szepce do siebie w trwodze. Na środku pustkowia wiatr wzdyma sypkie bryłki śniegu, to je rozmiata, to wieje, jak zboże szuflą, to cały obszar przestworza ciągnie za sobą, jak obrus, to go daleko, daleko lejkiem w górę podrywa, to jakby w falach dymu od końca do końca leci.

– Zbłądził ja, stary głupiec, hej! — mówił cicho, w tył zasuwając czapkę.

— Za tym torem chodźmy, dziadku...

— Za torem...

Ruszają znowu i brną po kolana. Śnieg na polu głębią leży, wiatr *luty*, burza idzie. Bylinki zeszłoletnie, suche, cieniutkie gdzieniegdzie nad śniegiem stoją, kiwają się w wichrze żałośnie, jakby nad tą dziewczyną zawodziły, jakby za nią świstały: ej, ej... Tarnina, od lodu i sopli błyszcząca, badyle głogu czepiają się jej spodnicy, jak ręce miłosierne, co chcą zatrzymać...

Buty obojgu przemokły do cna, nogi kostnieją, tchu brak.

— *Isz ty*, wnuczko, jak nas ten wiatr, moskiewski sługa, od Boga odpędza — mamle półzrozumiale dziadowina.

Nagle coś dudni i wre głucho za nimi. To wicher w las uderzył. I zakołysał się las, zastękał... Teraz burza w nich bije, szmaty rozmiata, w oczy garściami śniegu, ostrego jak tłuczone szkło, ciska. Chwilami, jak żywy siłacz brzemiona śniegu z miejsca na miejsce przerzuca, zdziera go, aż do gruntu nagiego i fryga wysoko — nad las.

Kamień tam był wielki na polu, do niego się dowlekli, usiedli odpocząć...

Noc zeszła nagle ciemna. Burza w niej wre — długo, długo... Czasem znienacka ucichnie, wówczas z wysokości niebieskiej pada na oblicze pustkowia blade, zimne, znikome półświatło miesiąca, dotyka lodowatymi promieniami przytulonych do siebie, skrzepłych, śniegiem przy-

sypanych głów, zimnych oczu otwartych i łez na rzęsach wiszących, co się w sople lodu ścięły...

Gdy wstaje i płonie zorza poranna, znowu na równinie cicho, tylko z wierzchołków drzew niewidzialne podmuchy strącają pył lekki, śniegowy i płynie niby biały dym znikomy, wzbijający się z niewidzialnych kadzielnic...



SPIS RZECZY.